

Grażyna Barszczewska
– aktorka wielu żywiołów

Polityczna walka
na memy i fake newsy



NA STOS

W powstaniu
warszawskim
zginęły
33 tysiące
dzieci

FILM
FRANÇOIS OZONA
REŻYSERA „8 KOBIET” ORAZ „BASENU”

FRANTZ



11 NOMINACJI



NAJLEPSZY DEBUTANTSKI
MĘSKI AKTOR

W KINACH OD 4 SIERPNIA

Co-funded by the
European Union



Creative
Europe
MEDIA



CYTATY

DANIEL PASSENT,
KOMENTATOR

*Gdzie się podziła
dobroduszna ciocia
Szydło, która miała dla
nas tyle obietnic?
„Polityka”*

LUDWIK DORN,
BYŁY MARSZAŁEK SEJMU

*Z PiS nie negocjuje się
bez pistoletu. Prezydent
nie ma szans wygrać
z Kaczyńskim.
„Rzeczpospolita”*

**PROF. BOGDAN
DE BARBARO,**
PSYCHIATRA,
PSYCHOTERAPEUTA

*Postawa „zostawmy
politykę politykom” to
nonsens. Bo jeśli nawet ja
zostawię politykę, to ona
nie zostawi mnie.
„Tygodnik Powszechny”*

ANDRZEJ DEPKO,
SEKSUOLOG

*Nasi politycy Polek nie
kręcą. W ich fantazjach
zabrakło też polskich
celebrytów.
„Wysokie Obcasy”*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Duda kroi pod siebie

To, że PiS ma problemy z Andrzejem Dudą, nie oznacza, że zmieniła się sytuacja tych Polaków, którzy stają w obronie konstytucji i trójpodziału władzy. Spór w PiS nie znaczy przecież, że zaczną tam serio traktować konstytucję, na którą przysięgali. Przysięgali, ale od początku mają ogromną chęć ją obalić i nową skroić pod siebie. Znałe są liczne inwektywy Dudy pod adresem konstytucji. Manifestacyjna pobożność tego dewocyjnego polityka ani razu nie powstrzymała go przed podpisywaniem niekonstytucyjnych ustaw. I przed nocnym zaprzysięganiem sędziów dublerów na członków Trybunału Konstytucyjnego. Tyle są warte przysięgi „Tak mi dopomóż Bóg”.

Polityk, który tak traktuje swoją funkcję i odpowiedzialność przed wyborcami, nie może liczyć na szacunek. Na usprawiedliwienie, że ulegał, ale pod silną presją Kaczyńskiego, też niech nie liczy. W historii zapisze się jako współsprawca demontażu państwa prawa. Przypadkowy kandydat, którego Kaczyński wyciągnął kiedyś jak królika z kapelusza i w podobny sposób wraz z zużytym kapeluszem go wyrzuci. I tyle zostanie z niezlomności Dudy, którą sam ogłosił.

Niestety, zostanie jeszcze coś znacznie gorszego. Podpisane ustawy. Duda poświęcił sądy powszechne, oddając je pod ścisły nadzór Ziołbrze. Te sądy, do których Polacy trafiają najczęściej, PiS już zdobyło. Napisana na kolanie i uchwalona nocą ustawa została zaaprobowana przez Dudę. Jakoś mu nie przeszkadzało, że w niczym nie usprawnia ona pracy sądów. Ani to, że o wszystkim będzie decydował prokurator generalny.

Duda zapowiedział, że prześle do Sejmu swoje projekty ustaw. Czy ktoś ma wątpliwości, że jedyną różnicą między nimi a tymi zawetowanymi będą jego uprawnienia? Większe od tych, które chciał dla siebie Ziobro. Tylko część naiwnej opozycji, która oklaskiwała Dudę, może wierzyć, że prezydent zgłosi ustawy usprawniające i uspołeczniające pracę sądów. Niedługo zobaczymy powtórkę z wydarzeń lipcowych. A wniosek, jaki można z nich wyciągnąć, jest taki: Obywatelu, jeśli chcesz takiej władzy, jakiej oczekujesz i na jaką zastugujesz, musisz do tego wziąć się sam. Taka Polska jest możliwa.

FAUL

Amok w TVP Info

Rekord dziadostwa i prymitywnej manipulacji pobiła TVP Info. Znowu! Bo ta telewizja wyspecjalizowała się w szczuciu i opluwaniu przeciwników PiS. Amok, w jaki wpadła, pokazując lipcowe protesty, bierze się chyba ze strachu przed utratą ogromnej kasy, którą dają tam za takie choćby brednie:

- > Szokujące zapowiedzi opozycyjnych bojówkarzy <
- > Brutalny atak Michnika na dziennikarza <
- > Obrońcy pedofilów i alimenciarzy twarząmi oporu przeciw reformie <
- > Bojówkarze przed Sejmem <

Po lekturze takich pasków informacyjnych uczciwemu człowiekowi nie wypada nic innego, jak zostać puczystą. Czas ujawnić listę płac w TVPiS.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Kogo posłuchał Duda?**
Weto – epizod czy emancypacja
- 11 Walka na memy i fake newsy**
– rozmowa z Wojciechem Kardysiem
- 20 Od pucybuta do milionera**
przez zasiedzenie
Jak zdobyć grunt w Krakowie
- 22 Ryzyko letniego blackoutu**
Polskie kłopoty z prądem
- 42 Zafascynowani światem arabskim**
Dlaczego wybiera się arabistykę
- 52 Bobry – opanowały kraj,**
zdobywają Warszawę
Ochrona tego gatunku musi być racjonalna

HISTORIA

- 15 Na stos**
Dzieci – ofiary powstania warszawskiego
- 48 Niewygodny arcybiskup**
Kto stał za zabiciem abp. Romera

ZAGRANICA

- 24 Korupcja u Dzieciątka**
Skandal finansowy w Watykanie
- 26 Trudne małżeństwo**
Kanada nie ma łatwo z Trumpem
- 28 Wrzenie w Zatoce**
Kryzys polityczny na Półwyspie Arabskim
- 44 Żona terrorysty**
Szwedka wśród dżihadystów

PUBLICYSTYKA

- 32 Smutek lewicy**
Małe szanse na powrót do parlamentu

KULTURA

- 36 Prawdziwie być**
– rozmowa z Grażyną Barszczewską
- 40 Culturalia**
- 66 Najlepsze dyplomy ASP**

ZDROWIE

- 54 Leczenie dla wybranych**
Za mały dostęp do leków
na samoistne włóknienie płuc

OBSERWACJE

- 56 W cieniu luksusu**
Z faweli do ruin
- 58 Goście, goście jadą!**
Osobliwości islandzkiego życia

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Duda kroi pod siebie
- 31 Roman Kurkiewicz**
Krótki regulamin demonstrowania
(przeciw PiS)
- 35 Tomasz Jastrun**
Odwaga staniała
- 51 Edward Mikołajczyk**
Dziennikarskie ofiary LIPCA 2017



11
KRAJ

WALKA NA MEMY I FAKE NEWSY

– rozmowa z Wojciechem Kardysiem

36
KULTURA

PRAWDZIWIE BYĆ

– rozmowa
z Grażyną
Barszczewską

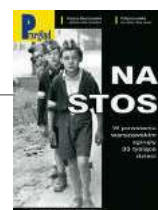


56
OBSERWACJE

W CINIENIU LUKSUSU

Z faweli do ruin

Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. Muzeum Powstania Warszawskiego



Wymazywanie osiągnięć PRL

„Zgodnie z sondażami spora część społeczeństwa nadal dobrze ocenia okres Polski Ludowej”, zauważa prof. Mirosław Karwat (PRZEGLĄD nr 8). Natomiast reszta nigdy się nie dowie, że to za „komuny” wnieśliśmy najwięcej do światowego dziedzictwa – polską szkołę filmową, polską szkołę plakatu, polski jazz. Że to właśnie wtedy polski sport święcił triumfy, że zastąpili polscy himalaści, jak Wanda Rutkiewicz i Jerzy Kukuczka, czy żeglarze, jak Krystyna Chojnowska-Liskiewicz.



Było to możliwe dzięki temu, że państwo otoczyło mecenatem te i wiele innych dziedzin życia. Przyczynił się do tego „zacofany, komunistyczny przemysł”, który miliony Polaków przeprowadził do miast, zapewniając im dostęp do edukacji, kultury, opieki zdrowotnej. Od zera stworzono motoryzację, elektronikę,

stocznię, hutnictwo miedzi, energetykę, petrochemię.

Tego wszystkiego nie wiedzą ludzie poniżej trzydziestki, a postsolidarnościowe elity albo przedstawiają im to w lekceważącej formie, albo dbają o to, żeby w ogóle się nie dowiedzieli. Dlaczego tak im zależy na wymazaniu tych osiągnięć z polskiej historii? Dlatego, żeby nikt nie zaczął się dopytywać, kto i kiedy to wszystko zaprzepaścił. PiS inspirowa teraz młodych do pogardzania dorobkiem „sierot po komunie”. I to skutecznie, bo „sieroty” zostały tak zastraszone i otumanione, że plują na własne życiorysy.

Radosław

Czy harcerstwo ma jeszcze przyszłość?

Liczebność organizacji harcerskich w Polsce (a jest ich kilka) mówi sama za siebie. Skupiają one nie tylko dzieci i młodzież, ale też tysiące wolontariuszy, którzy poświęcają ogromną ilość pracy i energii, aby te dzieciaki wychowywać zgodnie z misją organizacji. Jako komendantka hufca ZHP wiem, ile czasu poświęcam na tę działalność i ile dają go młodzieży pozostali wychowawcy. To nie tylko poprowadze-

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Od następnego numeru w formacie „Tygodnika Powszechnego” i „Polityki”

PROF. PIOTR GARBACZEWSKI
Naukowiec musi wątpić

WOJNA SZEŚCIODNIOWA
– lekcja dla Arabów i... Amerykanów

ALE SZUM, ALE TŁUM
Złoty jubileusz Maryli Rodowicz

nie zbiórki raz w tygodniu, to także jej przygotowanie, które trwa dużo dłużej niż ona sama, to zaplanowanie pracy na cały rok, zorganizowanie zimowisk, obozów, biwaków, rajdów i wielu innych imprez na szczeblu hufcowym, chorągwanym (wojewódzkim) i centralnym. To kursy, szkolenia, samodoskonalenie, za które każdy wolontariusz płaci z własnej kieszeni. A skoro wychowawcom wolontariuszom się chce, ma to sens, a harcerstwo jako idea i działanie organizacji harcerskich ma przyszłość.

Iza Lach

Moim zdaniem harcerstwo nie tyle „może być atrakcyjne”, ile jest atrakcyjne. Inaczej do organizacji harcerskich nie należałoby aż tyle dzieci i młodzieży, a tak wiele młodzieży oraz osób dorosłych nie byłoby w nich wolontariuszami.

Antonina Mielcarek



Czekanie na prawdziwe zawieszenie broni – prowizoryczny szpital z ofiarami ostrzału Irbin, miasta leżącego na terenach zajmowanych przez rebeliantów. Syria, 24 lipca.


www.sklep.mleczko.pl
www.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego PiS nie chce uchwalić ustawy reprywatyzacyjnej?

ROBERT NOWAK,
współautor książki „Wszystkich nas nie spalicie”
o kulisach dzikiej reprywatyzacji

Na razie PiS jest zajęte przejmowaniem kolejnych instytucji państwa, ale jeśli zajmie się taką ustawą, będzie ona tworzona w interesie elit. Partia ta uważa bowiem, że zwrot majątku komunalnego ma sens, jeśli kamienice, budynki użyteczności publicznej czy grunty wracają do prawdziwych spadkobierców. Budynki mieszkalne wraz z lokatorami dalej będą zatem trafiać w prywatne ręce, a potem zostaną sprzedane deweloperom, których praktyki czyścicielskie znamy od lat. Jeśli nie uda się zwrócić dawnej własności, będą wypłacane ogromne odszkodowania, czego skutkiem będzie brak pieniędzy na usługi publiczne. Na razie partia rządząca gra sprawą reprywatyzacji, m.in. tworząc komisję weryfikacyjną, która nie naprawiła żadnej z krzywd lokatorów, a jedynie służy promocji jej członków i rozprawie z PO. Zapewne w przyszłości PiS podejmie temat ustawy. Być może zaprezentuje taką oto narrację: w wyniku działań komisji skończyliśmy z patologiami reprywatyzacyjnymi, przyszła pora na naprawę krzywd prawdziwym spadkobiercom. Gdzie w tym wszystkim troska o lokatorów z już zwróconych lub zwracanych kamienic?

BEATA SIEMIENIAKO,
prawniczka i aktywistka Komitetu Obrony Praw Lokatorów

Ustawy reprywatyzacyjnej nie udało się wprowadzić do polskiego porządku prawnego przez ostatnie 27 lat, a projektów było już ponad 20. Powodów tego stanu rzeczy jest kilka, ale najistotniejszy jeden: finanse. Wiele propozycji zakładało maksymalne zadośćuczynienie krzywd byłym właścicielom lub ich spadkobiercom – zwroty nieruchomości w naturze, nieruchomości zastępcze tam, gdzie nie jest możliwy zwrot pierwotnej, czy wysokie odszkodowania. Z dru-

giej strony jest budżet państwa i bezpieczeństwo finansowe kraju. Trudno uwierzyć, ale do dziś nikt nie policzył, ile są warte roszczenia reprywatyzacyjne i jaki byłby koszt zaspokojenia ich wszystkich. Myślę, że dla PiS ten konflikt między wiarą w konieczność przywrócenia sprawiedliwości dziejowej a wysoką ceną, jaką trzeba za to zapłacić, jest najmocniejszym hamulcem kompleksowego rozwiązania kwestii reprywatyzacji.

MARCIN MASŁOWSKI,
rzecznik prasowy prezydenta Łodzi

Uchwalenie ustawy ograniczyłoby proces wyludzenia nieruchomości, a także zlikwidowałoby patologię związaną z ich nieuregulowanymi stanami prawnymi. Wyeliminowałoby to np. handel roszczeniami metodą na kuratora, która jest często wykorzystywana przez pełnomocników rzekomych spadkobierców byłych właścicieli nieruchomości. Z przykrością odnotowujemy, że kolejne rządy nie są zainteresowane propozycjami legislacyjnymi łódzkiego samorządu. Cieszy nas natomiast współpraca z prokuraturą, policją i CBA, które w sprawie wyludzeń nieruchomości pod pozorem roszczeń reprywatyzacyjnych znakomicie z nami kooperują.

GRZEGORZ TORYŃSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

PiS tropi afery reprywatyzacyjne, by uderzyć politycznie w prezydent Warszawy, a nie z jakichś szlachetnych pobudek. Politycy tej partii nawet nie udają, że chcą ruszyć temat szerzej, koncentrują się wokół najgłośniejszej sprawy działki przy Pałacu Kultury i Nauki i atakują Hannę Gronkiewicz-Waltz, jak mogą. Wydaje się, że każda władza ma w tej sprawie coś za uszami, a chyba wszyscy pamiętają, kto zarządził Warszawą przed Gronkiewicz-Waltz.

Not. Michał Sobczyk

KOGO POSŁUCHAŁ DUDA?

PiS z szoku jeszcze nie wyszło, a Kaczyński zapowiada nowe podboje

Robert Walenciak

Nie oszukujmy się, mało kto się spodziewał, że Andrzej Duda zawetuje dwie z trzech pisowskich ustaw sądowych. A już na pewno nie oczekiwano, że zrobi to tak błyskawicznie, ogłaszając decyzję już w poniedziałek, 24 lipca, o godz. 10 rano.

W kalendarzu na następne godziny miał spotkanie z pierwszą prezes Sądu Najwyższego i z przewodniczącym Krajowej Rady Sądownictwa. Wszystko więc wskazywało, że prezydent odbędzie serię spotkań, wysłuchując różnych stron, by na koniec ogłosić decyzję. Spekulowano, że będzie ona raczej unikiem, że Andrzej Duda skieruje ustawy do Trybunału Konstytucyjnego. A tu taka niespodzianka! Dlaczego?

GŁOS SUWERENA

Pierwsze, naturalne skojarzenie jest takie, że Andrzej Duda posłuchał suwerena. Skala protestów, które przetoczyły się przez Polskę, zaskoczyła Prawo i Sprawiedliwość i na pewno wywarła wrażenie na prezydencie. PiS mogło sobie opowiadać, że protesty są nieduże, że ludziom niedługo to się znudzi, tyle że działo się dokładnie odwrotnie. Protesty zaczynały się rozlewać po całym kraju. Objęły już nie tylko Warszawę czy miasta wojewódzkie, ale i powia-

roku 1989?", 38% ankietowanych odpowiedziało, że negatywnie. A tylko 21%, że pozytywnie. Czyżby więc PiS miało rację? Nie. Bo ankietowanym zadano jeszcze jedno pytanie: „Czy zmiany wprowadzane przez PiS naruszają zasadę trójpodziału władz?”. I aż 40% odpowiedziało: tak. A zaledwie 25%: nie.

Świadomość wielkiej stawki, obawa, że PiS za chwilę zamknie Polakom demokrację, motywowała tysiące ludzi do działania. Do demonstrowania i pikietowania.

Jest teoria, że odwagi dodała Dudzie postawa Kościoła.

Andrzej Duda musiał się zorientować, że za chwilę, gdziekolwiek się pojawi, wyrastać będą demonstranci wołający: „Będziesz siedział!”, „Marionetka!”, „Adrian!” itd. Przez trzy najbliższe lata tkwić zamkniętym w pałacu, a potem stawać przed trybunałami, to kiepska perspektywa.

Szybkie weto odebrało demonstracjom paliwo. Diametralnie zmieniło sytuację w Polsce. I sytuację samego Andrzeja Dudy.

GŁOS WEWNĘTRZNY

A może zawetował, bo miał dość ciągłych upokorzeń? Politycy PiS przypominają dziś Dudzie, że opozycja nazywała go Adrianem i marionetką, że był przez nią regularnie

dów całą sytuację z wetem Dudy i jego przyczynami opisał tak: „Prezydentowi chodziło o uznanie jego podmiotowej roli. Konstytucja go mocno wiąże z systemem wymiaru sprawiedliwości, a nie był w tej sprawie konsultowany. Dawano mu jasno do zrozumienia, że jest notariuszem, który podpisze, co mu podsuną, czy panem Adrianem z »Ucha prezesa«. Nikt nawet nie próbował udawać, że jest inaczej”.

Obrazu lekceważenia i pogardy dopełnia relacja z 24 lipca, kiedy lide-

rzy PiS a to się zbierali, a to jeździli do prezydenta. Pojechała do niego trójka: premier Beata Szydło, marszałek Sejmu Marek Kuchciński i marszałek Senatu Stanisław Karczewski. Z jakim przesłaniem? Ze słowami: „Jarek daje ci godzinę na zmianę decyzji”. Stawiany w takiej sytuacji Duda musiał kiedyś się zbuntować.

Początkowo swoje marzenia o emancypacji sygnalizował dość delikatnie, m.in. wetując ustawę o regionalnych izbach obrachunkowych. Potem już ostrzej – Kancelaria Prezydenta wskazywała np., że Andrzej Duda nie był informowany o ustawach sądowych, nie znał ich treści.

Kolejnym krokiem prezydenta była inicjatywa, aby sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa Sejm wybierał większością trzech piątych głosów. Bardzo źle odebrał ją Jarosław Kaczyński. W Radiu Maryja mówił, że opozycję mieli już pokonaną, a tu nagle włączył się Duda... Ale mimo tak wyraźnych sygnałów ze strony prezydenta PiS wciąż jakby go nie zauważało. Uchwalając ustawy sądowe, praktycznie przeszło do porządku dziennego nad jego głosem. Owszem, trzy piąte uwzględniło, ale już w sprawie Sądu Najwyższego całą władzę nad sędziami oddawało w ręce Zbigniewa Ziobry.

Duda znalazł się więc pod ścianą. Gdyby ustawy podpisał, umocniłby wszystkich w PiS w przekonaniu, że

Błaszczak ewidentnie gotów był do najtwardszych działań.

towe. obrońcy niezależności sądów rośli w siłę, w dodatku stawali się coraz bardziej zdeterminowani.

Wielka demonstracja miała miejsce przed Pałacem Prezydenckim, a gdy prezydent wyjechał na weekend do Juraty – manifestowano także przed jego ośrodkiem.

To nie były żarty. Ludzie wiedzieli, o co toczy się gra. Potwierdza to zresztą sondaż „Dziennika Gazety Prawnej”. Na pytanie: „Jak oceniasz działanie sądów powszechnych po

obrażany. To fakt – mocnych słów Dudzie nie szczędzono.

O ile jednak opozycja i media używały sobie na Dudzie werbalnie, było to przecież niczym w porównaniu z nieukrywanym lekceważeniem, z jakim traktowano go w PiS. Duda był przez Kaczyńskiego, Szydło, Macierewicza, Waszczykowskiego i Ziobrę stale poniżany, traktowany jak ktoś gorszy, zupełnie bez znaczenia. Ludwik Dorn, swego czasu „trzeci bliźniak”, w jednym z wywia-

jest notariuszem. Wetując – zmusza Kaczyńskiego i resztę, by się z nim liczyli. Tak oto Adrian wstał z krzeselka, wszedł do pokoju prezesa i rozejrzał się, gdzie tu wstać swoje biurko.

Dodajmy do tego jeszcze jeden element – relacje ze Zbigniewem Ziobrą. Duda był jego podwładnym w Ministerstwie Sprawiedliwości. To Ziobro wprowadził go na rządowe salony. Później ich drogi się rozeszły – Duda przeszedł do kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego, ale ważniejsze były rozłam w PiS i odejście Ziobry, założenie Solidarnej Polski. Duda nie odszedł.

Nie ma wątpliwości, że między nimi jest jakieś tarcie. Ziobro pewnie wciąż ma w pamięci dawnego Dudę, swojego podwładnego. Prezydent nie chciałby do tamtych zależności wracać, najchętniej by je wymazał. Weto bardzo do tego pasowało.

GŁOS KOŚCIOŁA

OK. Wiemy, że Duda został zepchnięty przez PiS do narożnika i musiał zade-



mogą dominować, trzeba szukać dialogu w oparciu o fundamenty demokratycznego państwa prawa”, mówił KAI, dodając, że żadna reforma nie może być prowadzona przeciwko komukolwiek, ale dla dobra: człowieka i ogółu. Czyli że pisowskie zmiany nie mogą niszczyć trójpodziału władzy.

Biskupów niepokoiły pewnie jeszcze dwie inne rzeczy. Po pierwsze, coraz boleśniej odczuwają, że Kaczyński widzi ich w złotej klatce. PiS gotowe jest obsypywać ich rozmaitymi dobrami, ale w zamian żąda poparcia. Jednocześnie prowadzi pracę polityczną wśród proboszczów, próbując tą drogą wpływać na wiernych. Nie trzeba być specjalnie przenikliwym, by dojrzeć w tych działaniach chęć ogrania Episkopatu, zepchnięcia Kościoła do roli służebnej wobec władzy.

Po drugie, biskupów musiały zaniepokoić protesty uliczne, ich skala i możliwe konsekwencje. Wystarczy posłuchać szefa MSW Mariusza Błaszczaka, który mówi, że opozycja poprzez

Są poszlaki wskazujące, że biskupi odegrali w ostatnich wydarzeniach istotną rolę.

monstrować niezależność. Wiemy, że zrobili na nim wrażenie protesty społeczne, ich skala i determinacja protestujących.

Wiemy również, że zawetowane ustawy obrażały go jako prawnika. Zwłaszcza pomysł, by sędziowie Sądu Najwyższego byli uzależnieni od prokuratora generalnego. Na pewno raziły go tempo i sposób procedowania. Dlaczego bowiem poddano ustawy pod głosowanie nocą, jako projekt poselski? Bez jakiegokolwiek debaty? Co takiego się działo, że PiS nagle musiało przyjąć te ustawy? Jaka wojna Polsce groziła?

Tyle wiemy. Andrzej Duda znalazł się w sytuacji politycznie paskudnej. Ale czy to wszystko wystarczało, by go pchnąć do tak zdecydowanego działania? Przecież przez dwa lata

nie wychylał się, dlaczego więc teraz miałby pokazać charakter?

Jest teoria, że odwagi dodała mu postawa Kościoła. I są poszlaki wskazujące, że biskupi odegrali w ostatnich wydarzeniach istotną rolę. Warto pamiętać, że niedzielę Duda spędził na Jasnej Górze. Czy tylko szukając duchowego wsparcia przed obrazem Matki Boskiej? A może spotkał się tam z kimś ważnym? Odbył rozmowę?

Tego (na razie) nie wiemy. Ale wspominałem o tym tydzień temu – biskupi bardzo zdecydowanie artykułowali swój pogląd w trakcie uchwalania przez PiS ustaw sądowych.

Prymas Polski abp Wojciech Polak apelował do polityków w sposób zupełnie otwarty. „Emocje nie

zamieszki chce obalić władzę, by wyobrazić sobie, w którą stronę to wszystko może zmierzać. Błaszczak ewidentnie gotów był do najtwardszych działań. Może więc warto było, poprzez weto, rozładować napięcie?

Już godzinę po oświadczeniu Andrzeja Dudy abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, pochwalił prezydenta i oświadczył, że biskupi popierają jego działania. Szybkość kościelnej reakcji może świadczyć o jeszcze jednym – że biskupi mieli już przygotowane oświadczenie. To znaczy, że wiedzieli, co prezydent robi, popierali to i uznali, że ich głos musi być słyszany. Tym samym Kościół wkroczył do gry, w dodatku w zupełnie innej roli, niż wyobrażałby sobie Jarosław Kaczyński.

► GŁOS KACZYŃSKIEGO

Jeżeli biskupi wiedzieli o decyzji Dudy, dla Kaczyńskiego była ona zupełną niespodzianką. Tak to zresztą określił w wywiadach dla Telewizji Trwam i Radia Maryja, ale dopiero pod koniec tygodnia. Musiało upłynąć kilka dni, by doszedł

Duda będzie kandydatem PiS w wyborach prezydenckich. Zbigniew Ziobro stwierdził, że prezydent popełnił błąd. A Jerzy Targalski snuł przypuszczenia, że Duda padł ofiarą spisku esbeków, którzy rozszyfrowali jego osobowość i teraz nim manipulują.

„Mieliliśmy wziąć sądy i w ostatniej chwili wyszło to weto” – taki domi-

dzi jej sprawowania. Kaczyński chce rządzić sądami, mediami, tajnymi służbami, uniwersytetami... Jak prawdziwy bolszewik. Interesuje go tylko władza, panowanie nad ludźmi, a nie jakieś tam detale typu ochrona zdrowia, gospodarka, ekologia. Po drugie, ewidentnie widać, że jest on na etapie mobilizowania zaplecza, żeby nie było buntów czy frond. I próbuje się odnaleźć w nowej sytuacji, gdy nie jest już jedynym rozgrywającym, ale musi uzgadniać najważniejsze sprawy z prezydentem. Czyli z kim? Tylko z Andrzejem Dudą czy z kimś jeszcze? To kluczowe pytanie: jaka siła wkroczyła na polską scenę polityczną? Czy prezydenckie weto było epizodem, wołaniem o uznanie, czy też sygnałem, że w ramach polskiej prawicy krystalizuje się nowy nurt?

Co prawda, większość poważnych komentatorów już zdążyła powiedzieć, że nie ma żadnych szans na budowę „partii Dudy”, że PiS zostanie jednością, a między PO i PiS nic już się nie wciśnie. Trudno z tymi

Pytanie kluczowe – jaka siła wkroczyła na polską scenę polityczną? Czy weto prezydenta to tylko epizod?

do siebie. Wcześniej odmawiał jakichkolwiek komentarzy. W poniedziałek po wecie PiS obradowało permanentnie, przecieki mówiły o rozpatrywanych najbardziej fantastycznych scenariuszach.

Ludwik Dorn komentował to dla Wirtualnej Polski: „PiS musi znaleźć narzędzia zarządzania nową sytuacją, której Kaczyński nie kontroluje. Dla PiS to może być trudne i bolesne. Mogą mieć problem ze znalezieniem odpowiednich ludzi i uzasadnieniem nowego przestąpienia. Prymitywizm propagandy pisowskiej był sposobem przekazu nie tylko na zewnątrz, ale i do aktywu partyjnego.

– O tym, że ubecy i obrońcy pedofilów blokują konieczną reformę?

– Tak, przestąpienie polityczne musiałyby się stać znacznie bardziej subtelne. A w TVP, w tygodniku „wSieci”, w „Gazecie Polskiej” nie siedzą ludzie subtelni, ale wynajęci za pieniądze lub kierujący się tępą zapiekłością propagandzistów. Natomiast w kierownictwie PiS poza Jarosławem Kaczyńskim, który niuanse polityki chyba ciągle rozumie, nie ma osób, które

nował nastrój. Podzielał go Jarosław Kaczyński, aczkolwiek, słuchając jego wypowiedzi, można zauważyć, że zaczyna się oswajać z nową sytuacją. Odnowił sojusz z najmocniejszym sojusznikiem, ks. Rydzykiem, i próbuje rozgrywać prezydenta.

Na początek ogłosił, że Andrzej Duda popełnił błąd, ale przecież jeden błąd człowieka nie dyskwalifikuje, ważne jest, by go naprawić. Weto było przykrym „incydentem”, a teraz trzeba przyjąć kolejną ustawę o są-

Droga, którą idzie Kaczyński, nie wszystkim w PiS się podoba.

dach i zrealizować cel. PiS zamierza więc czekać na ruch prezydenta, czyli na prezydenckie projekty ustaw sądowych. A potem?

„Pójdziemy do przodu. Będzie radykalna reforma. Ze znaczącym udziałem prezydenta dojdziemy do celu – deklarował w mediach Rydzyk Kaczyński. – Choć będzie opór”. I wyznaczał kolejne cele: pełna dekomunizacja sądownictwa, dekoncentracja mediów, reforma służb spe-

opiniami polemizować, aczkolwiek nie uwzględniają one zachodzącego na naszych oczach procesu – przesuwania się Kaczyńskiego w stronę nurtu neofaszystowskiego.

PiS było tworzone jako partia prawicowa, ale bliższa nurtowi konserwatywnemu, tradycjonalistycznemu. Tymczasem dziś ten konserwatyzm się ulatnia – stosunek do sądów, Kościoła, mediów, uchodźców, Unii Europejskiej, który prezentuje prezes, już nie jest konserwatywny. To mieszanina zachowań bolszewickich (mówi o tym Karol Modzelewski – że to „czarna komuna”) i neofaszystowskich.

Kaczyński, przesuwając się w kierunku ONR, stawia coraz większą grupę niedawnych zwolenników w sytuacji dyskomfortu i rozczarowania. Widać to było doskonale w czasie wojny o sądy, gdy część prawicowych publicystów zaczęła PiS ganić. Za to, że idzie za daleko. I przywoływać Lecha Kaczyńskiego – choćby jego stosunek do wymiaru sprawiedliwości, do zasady trójpodziału władz.

A jeżeli tak, to sprzeciw Dudy nie był pojedynczym zdarzeniem, tylko sygnałem, że droga, którą idzie

Już godzinę po oświadczeniu Andrzeja Dudy abp Stanisław Gądecki pochwalił prezydenta.

łączyłyby cechy lwa i lisa. Nie ma nawet sierżantów, są tępawi kaprale, czyli – jak mawiało się w czasach PRL – partmordy”.

Reakcje PiS na decyzję Dudy były więc dwójakiego rodzaju. Po pierwsze – zaczęto prezydenta atakować, zarzucając mu zdradę i udział w spisku. Antoni Macierewicz mówił, że Polska stała się obiektem wojny hybrydowej, prowadzonej przez Zachód. Marek Suski ogłosił, że wyobraża sobie, że w roku 2020 nie

cialnych, uniwersytety. To ostatnie wyjaśniał następująco: „Jeśli chodzi o rzeczywistość uniwersytecką – to też jest sfera, która wymaga zmian. Polska wymaga zmian, bo ta choroba zaszczepiona przez prostackie przeniesienie ideologii liberalnej, w zderzeniu z warunkami społecznymi, doprowadziła do skutków fatalnych. I musimy z tego wyjść”.

Jak te wszystkie zapowiedzi ocenić? Po pierwsze, to są „leninowskie” cele, dotyczą władzy i narzę-

Kaczyński, nie wszystkim w PiS się podoba.

GŁOS OPOZYCJI

A opozycja? Chętnie przypisuje sobie wygraną w lipcowym przesileniu. Ale to raczej robienie dobrej miny do złej gry. Na ulice wyszły bowiem dziesiątki tysięcy Polaków i było to autentyczne, nieskażone partyjnym obowiązkiem. Ludzie wyszli, bo czuli taką potrzebę, bo chcieli. W jakimś stopniu te tłumy można porównać do tych z kwietnia 2010 r. Oczywiście nie ze względu na liczbę, ale w obu przypadkach mamy do czynienia z działaniami autentycznymi, niepartyjnymi i takimi, które na długo pozostaną w pamięci. Które będą determinować przyszłe postawy polityczne.

Pytanie tylko, kto ten lipcowy bunt wobec władzy zagospodaruje? Platforma i Nowoczesna? One były najgłośniejsze. Jednocześnie wśród tych, którzy wyszli na ulice, domino wało poczucie, że partie to nie jest dobra rzecz. Dlatego proszono PO, Nowoczesną i inne ugrupowania, by nie eksponowały partyjnych symboli. Za to wszyscy mówili, że czas na coś nowego, na nowych liderów, młodych ludzi...

Innymi słowy, na ulicach polskich miast pojawił się wyborca, zaskakująco młody, który demonstrował przeciwko PiS i jego planom przejścia sądów w obawie przed utratą demokracji i wyprowadzeniem Polski z Unii Europejskiej. Ale ten wyborca był bardzo nieufny wobec głównych partii opozycji – Platformy i Nowoczesnej.

Owszem, one zbierają najwięcej głosów w sondażach, ale bardziej dlatego, że antypisowski wyborca nie ma alternatywy, niż za sprawą ich atrakcyjności. Ten wyborca chętnie by znalazł coś nowego, tylko jeszcze nie wie co.

Odbiciem tych poszukiwań jest na pewno lista nazwisk ludzi, w których kierunku podczas lipcowych wydarzeń zwracały się spojrzenia protestujących. To Władysław Frasyniuk, ale i Kamila Gasiuk-Pihowicz, Paweł Kasprzak, Robert Biedroń i kilkanaście innych osób.

Nikt nie wie, co z tego będzie, co się wykluje. I to jest kolejna zagadka, którą przyniosły nam lipcowe wydarzenia.

Robert Walenciak

WALKA NA MEMY I FAKE NEWSY

Internauci wyszli na ulice, bo identyfikują się ze sprawą, a nie z opcjami politycznymi



WOJCIECH KARDYŚ

– ekspert mediów społecznościowych

Rozmawia Artur Zaborski

Fala protestów załapała Polskę zarówno na ulicach, jak i w internecie. Co było najpierw – pospolite ruszenie w realu czy w wirtualnej rzeczywistości?

– Najpierw było oburzenie Polaków, że ktoś próbuje ograniczyć ich prawa. Do tego oburzenia nie były potrzebne ani internet, ani media społecznościowe, wystarczyła informacja, że Prawo i Sprawiedliwość chce przeforsować niebezpieczną dla obywateli i demokracji ustawę. Internet i media społecznościowe jedynie pomogły niezadowolonym zorganizować się w większe grupy, głównie dzięki wydarzeniom na Facebooku, do których zapisywali się użytkownicy.

Jak jako specjalista oceniasz internetową kampanię protestów? Zdaliśmy test z obsługi mediów społecznościowych czy jednak można było wykorzystać je znacznie lepiej do zmobilizowania ludzi?

– Ale tutaj nie było żadnej kampanii protestów! Wbrew temu, co twierdzą media rządowe, nikt ich wcześniej nie planował. Wydarzenia były spontaniczne, na samym początku nie było żadnych zorganizowanych akcji. Organizować się do wyjścia na ulice zaczęły osoby niezwiązane z opozycją, głównie ci, którzy czuli społeczną potrzebę stanięcia w obronie praw i demokracji. To ważne także z tego względu, że już w momencie, kiedy internet zaczął się stawać częścią demonstracji, zauważalnym trendem było dołączanie do wydarzeń tworzonych nie przez Platformę Obywa-

WOJCIECH KARDYŚ – influencer, bloger, radiowiec, przedsiębiorca. Związany z branżą mediów społecznościowych od ponad siedmiu lat. W Radiu Kampus prowadzi autorską audycję #RAMA, w której rozmawia z influencerami i ekspertami z tej dziedziny. Jest na Twitterze jako @wojtekkardys.

► telską czy Nowoczesną, tylko przez nieupolitycznionych użytkowników sieci. Internautom chodziło o wspólną sprawę, a nie o poparcie Grzegorza Schetyny, Ryszarda Petru lub kogokolwiek innego określającego się mianem lidera opozycji. Oni zresztą wśród internautów mają bardzo nie-pochlebną opinię.

Skoro nie wyrażenie politycznego poparcia, to jaki cel mieli internauci w organizowaniu tych wydarzeń na Facebooku i w innych mediach społecznościowych?

– Chodziło im przede wszystkim o to, żeby dodać protestującym animuszu. Symboliczne zdjęcia, zwłaszcza te,

Żyjemy w takich czasach, że każdy wyciek czy sensację należy sprawdzać samemu.

które przedstawiały jedno- lub kilkuosobowe protesty w małych miasteczkach przed lokalnymi sądami, memy czy humoreski rysunkowe tworzyli internauci identyfikujący się ze sprawą, a nie zwolennicy tej czy innej opcji politycznej. Ludzie sami się zmobilizowali, bo połączył ich wspólny cel – walka o trzy weta. To ich zaśluga – a nie opozycji – że dwa udało się wywalczyć.

Rzeczywiście postowanie z miejsc demonstracji odbierasz jako przejaw wypełnienia obowiązku obywatelskiego, a nie jako formę lansu?

– Po sieci krąży taki mem, przedstawiający klasycznego hipstera z brodą i śmiesznymi okularami, z podpisem: „Proteścik, piwko, fotka na Insta i Uberkiem do domu”. Czy on oddaje charakter ludzi, którzy wyszli na ulice? Nie wydaje mi się. Oczywiście są przypadki ewidentnego lansu w postaci umieszczanych na Facebooku czy Instagramie selfie z dziubkiem, flagą i świecą wśród tłumu, ale są one marginalne. Osoby w naszym wieku, a więc koło trzydziestki, w większości nie interesują się polityką. A mimo to skrzyknęły się na Facebooku, by wspólnie zaprotostować.

Co je do tego skłoniło?

– W przypadku tego protestu zasada była taka, że albo chodzisz na wiece, albo siedzisz w domu i hejtujesz protestujących. Nie dało się przecież zorganizować wydarzeń na Facebooku i zachwalać protestów, nie idąc na nie. Po prostu tym razem nie można było aktywności ograniczyć do kliknięcia w przycisk „Wezmę

udział” – trzeba było wyjść z domu i rzeczywiście wziąć udział.

PR-OWE HARAKIRI RZĄDZĄCYCH

Protestujących z dnia na dzień było coraz więcej. Myślisz, że to dzięki mediom społecznościowym, zalany przez posty, zdjęcia i filmiki z demonstracji?

– I dlatego, że władza sama sobie strzelała w stopę, twierdząc, że protestujący to ubeckie wdowy czy spacerowicze. Im bardziej rządzący obrażali protestujących, tym więcej ich było każdego dnia. Politycy nadal nie

zdają sobie sprawy, że każda głupia wypowiedź mająca obrazić protestujących łąduje natychmiast w internecie i rozprzestrzenia się z zawrotną prędkością, podburzając już i tak mocno wkurzonych ludzi. To, co zrobili rządzący, było PR-owym harakiri. **Dużo mówiło się o tym, że na ulice po raz pierwszy wyszli ci urodzeni w latach 90. Sądzisz, że to media społecznościowe ich do tego zachęciły?**

– Jestem wręcz pewny. Uzyskałimy w Polsce dostęp do internetu 21 lat temu, czyli w 1996 r. Roczni z lat 90. po prostu nie znają życia bez cyberprzestrzeni. Według badań statystyczny polski nastolatek spędza w sieci do pięciu godzin dziennie. To pokolenie nie czyta gazet, nie ogląda

Petru i Schetyna mają wśród internautów bardzo niepocholebną opinię.

telewizji – wszystko, czego chce lub potrzebuje się dowiedzieć, znajduje w internecie. Snapchat ma od niedawna funkcję, która pokazuje na mapce, gdzie obecnie znajdują się i co robią nasi znajomi. Podczas protestów na tej mapce było aż czerwono od snapchatów pod Sejmem i Pałacem Prezydenckim, co oznacza, że w tych miejscach były tłumy użytkowników. Młodzi ludzie porozumiewają się dziś wyłącznie przez Facebooka, Snapchata, Instagrama i Twittera. Żeby móc nad nimi zapanować, polski rząd musiałby wyłączyć dostęp do internetu, czego, przypomnijmy, dopuściła się rok temu

podczas zamieszek w Turcji tamtejsza władza, mierząca się z podobną mobilizacją internetową młodzieży. Skutki takiej decyzji w Polsce byłyby dla rządzących opłakane.

Czyli do tej pory źle docieraliśmy do młodych? Żeby zainteresować ich polityką, trzeba przekazywać informacje przez media społecznościowe?

– W szkole na historii uczymy się, jak podczas II wojny światowej, w podziemiu, kolportowało się ulotki i drukowało gazetki z informacjami na temat wroga i aktualnymi wiadomościami z frontu. Wróg zaś zrzucał z nieba na okupowane miasta miliony ulotek propagandowych. Teraz mamy Facebooka, Twittera i inne portale społecznościowe, które są jednocześnie tubą propagandową i podziemiem. Walki nie prowadzi się już z karabinem na ulicach, tylko polubieniem i udostępnieniem w social mediach. Fake newsy, trolle, memy, fanpage'e, boty – to współczesne działa, broń do zdobywania potencjalnych wyborców i poparcia.

Kto wytoczył takie działa w walce o obronę demokracji?

– Przede wszystkim internetowi influencerzy, czyli takie osoby, których aktywność w internecie obserwują codziennie tysiące internautów i z których opiniami się liczą. Wśród nich są Maciej Stuhr, który ma prawie 890 tys. followersów, Jacek Dehnel – 25 tys. followersów, Krystyna Janda – 337 tys. followersów, a nawet najpopularniejsza blogerka modowa w Polsce Mafashion, która ma 1 mln followersów na Instagramie. Oni nie tylko wspierali

protestujących, ale i zachęcali fanów do wzięcia udziału w protestach.

W wypadku prote-

stów internet stał się tubą dla ludzi, którzy z niego umiejętnie korzystają.

Jak dużo influencerów wypowiedziało się w kwestii protestów?

– Garstka w porównaniu z ich liczbą w całym kraju. Na Instagramie wśród blogerów czy youtuberów protesty były mało widoczne. Ci ludzie prawdopodobnie bali się odpływu fanów bądź po prostu nie chcieli stawać po żadnej stronie. Tylko czy w takim przypadku można było pozostać neutralnym?

Jak z wykorzystaniem mediów społecznościowych poradzili sobie antydemonstranci?



Na protesty pod Pałacem Prezydenckim i Sejmem przychodziło mnóstwo użytkowników Snapchata.

– Fatalnie. W „Wiadomościach” trzeba było suwerenowi w jakiś sposób wytłumaczyć ten obywatelski zryw w całej Polsce. I tak narodziła się ich jedyna linia obrony, czyli astroturfing (kładzenie sztucznej trawy, od amerykańskiej marki Astro-Turf – przyp. red.). Tym terminem określa się pozornie spontaniczne obywatelskie inicjatywy i organizacje, które mają poprzeć czyjąś ideę czy produkt albo je zbojkotować. Krótko mówiąc, wysłano informację, że to wszystko, co wydarzyło się na polskich ulicach, było przez kogoś z góry ustawione. Tyle że ten przekaz zwolenników ustawy PiS poniósł klęskę. Na Twitterze, który jest uważany za jedno z najbardziej opiniotwórczych mediów społecznościowych, hasztag #Astroturfing pojawia się głównie wśród spamu generowanego przez prawicę. Dzięki badaniom, które przeprowadził Robert Gorwa z uniwersytetu w Oksfordzie, wiemy, że w Polsce jedna trzecia tweetów jest generowana przez boty, a więc nie przez ludzi, tylko przez komputery, z czego przeważają boty prawej strony – jest ich nawet pięciokrotnie więcej niż botów wśród publikacji z lewej strony. Romans z astroturfingiem w twitterowych trendach był więc skazany na szybkie wypalenie się.

Nie zaproponowano też w internecie kontrwydarzeń do manifestacji.

– Elektorat PiS jest zdecydowanie starszy niż opozycji. Ci ludzie trudniej się poruszają w mediach społecznościowych i trudniej im zorganizować taki zryw przez Facebooka niż stosunkowo młodym przeciwnikom tej partii. Oczywiście politycy wykorzystują inne kanały – kościoły, gazety lokalne czy media tradycyjne, stąd tak duży nacisk

Czy sądzisz, że po demonstracjach życie polityczne w mediach społecznościowych się wzmacni?

– Tego nie wiem, ale na pewno jeszcze bardziej się spolaryzuje. Niestety, politycy czy zaangażowani w politykę dziennikarze potrafią być tylko zero-jedynkowi. Albo my, albo oni. Póki to się nie zmieni, póty internet będzie miejscem zaognionych pyskówek, a nie platformą do rozmowy. Na jednym

Jedna trzecia tweetów jest generowana przez komputery. Z prawej strony jest ich pięć razy więcej niż z lewej.

rządu na TVP. Wiedzą, że oglądają ją głównie ich zwolennicy. O ich słabej świadomości mechanizmów rządzących mediami społecznościowymi świadczą też wypowiedzi polityków PiS, którzy nawet nie zdawali sobie sprawy z tego, jak szybko zostaną wykorzystane przez protestujących. Przeciwnie to dzięki politykom PiS zrodziły się takie wyrażenia jak zdradzieckie mordy, kanale, ubeckie wdowy czy córki esbeków, które natychmiast zrobiły furorę w internecie i jeszcze bardziej zjednoczyły protestujących. Stosowanie takich epitetów w dzisiejszych czasach jest bronią obosieczną, bo zostają podchwycone przez *social media* i uwypuklone.

bowiem polu przy aktualnym zrywie zawiedliśmy totalnie – zupełnie zabrakło dyskusji. Żaden portal internetowy nie próbował nawet jej podjąć, nie zorganizował debaty z politykami ani ekspertami, która starałaby się doprowadzić do porozumienia. Przy tak zaognionym temacie jak sądownictwo czy trójpodział władzy debata albo chociaż próba dyskusji powinna być czymś naturalnym właśnie w internecie, bo dziś portale mają znacznie szerszy zasięg niż jakkolwiek telewizja.

WOJNA NA INFORMACJE

Coraz mniej ufamy mediom publicznym, które – delikatnie rzecz

► **ujmując – nie do końca obiektywnie pokazały demonstracje. Za to w mediach społecznościowych furorę zrobili filmy i przekazy live z protestów. Czy uważasz, że na ich podstawie można zbudować obiektywny obraz demonstracji?**

– Nie ufamy już nie tylko mediom publicznym, ale w ogóle tradycyjnym mediom. Obiektywizm został pogrzebany wraz z nadejściem internetu. Jesteśmy niewolnikami algorytmowych baniek portali społecznościowych. Algorytm Facebooka działa tak, że jeżeli polubimy coś, co jest zgodne z naszymi przekonaniami, to na naszej „ścianie” częściej będą się pojawiać informacje na ten temat, co ograniczy nam podgląd tego, jak na temat naszych zainteresowań wypowiadają się ich przeciwnicy. Obiektywizm w dzisiejszych czasach trzeba sobie wypracować. Jak mają trenery rozwoju, należy wyjść poza strefę swojego komfortu. A to oznacza nie tylko śledzenie newsów po lewej i prawej stronie, ale przede wszystkim własnoręczne szukanie informacji. Żyjemy w takich czasach, że każdy wyciek czy sensację należy sprawdzać samemu. Wojna na informacje trwa w najlepsze. Kto operuje fałszywymi, przegrywa.

Jak widz może sprawdzić wiarygodność, dajmy na to, „Wiadomości” albo „Faktów”?

– Fałszywki da się wyśledzić, bo w naszych domach kryją się odpowiedzi na praktycznie każde pytanie. Trzeba jednak poświęcić czas na ich znalezienie. Na przykład „Wiadomości” stworzyły materiał o emigrantach wracających z Wielkiej Brytanii, bo w Polsce jest już tak dobrze. Mignęła mi w nim znajoma twarz dziennikarki Sandry Borowieckiej, o której było głośno, kiedy swego czasu napisała list, że wyjeżdża z kraju, bo w Polsce jest zbyt ciężko i nie da się żyć. W materiale została pokazana jako „orędowniczka powrotowej fali ucieszonych obywateli i obywaterek”, jak sama pisze u siebie na Facebooku. Coś mi w tym materiale nie pasowało, bo ona wyjechała na dwa miesiące, po czym wróciła do kraju, a teraz znowu wraca do Polski? Zacząłem kopać i szybko trafiłem na fanpage dziennikarki, która stwierdziła, że została oszukana. Praw-

da jest taka, że dziennikarz robiący materiał wyciął jej wypowiedź, która pasowała do ogólnego wydzwisku reportażu. Klasyczna manipulacja, za którą ktoś powinien wylecieć z pracy, ale dziś takie rzeczy są codziennością. Materiały z protestów też trzeba weryfikować.



Krystyna Janda, której blog śledzi 337 tys. followersów, zachęcała fanów do wzięcia udziału w protestach.

Jaka jest żywotność tematów w mediach społecznościowych? Jak długo jeszcze zniesiemy obecność postów, zdjęć i filmików na temat protestów, zanim się nimi znudzimy?

– Tego nie da się przewidzieć. Protesty były czymś ważnym dla każdego z nas, dlatego przez dwa tygodnie internet nimi żył. Na pewno nie zostaną zapomniane, ale teraz, kiedy już jest podwójne weto prezydenta, internauci wrócą do swoich spraw i dalej będą przewijać namiętnie Facebooka bez ekscytowania się tą konkretną sprawą.

Po protestach internet jeszcze bardziej się spolaryzuje.

W internecie żyjemy czymś bardzo intensywnie przez jakiś czas, a następnie szybko znajdujemy inny „klikalny” temat. Taki duch dziejów.

Jak w takim razie oceniasz obecność polskiej polityki w mediach społecznościowych na co dzień, już poza protestami?

– Źle. Mamy nijakich polityków, z zerową charyzmą, którzy nie umieją się posługiwać mediami społecznościowymi. Politycy uaktywniają się w internecie przed wyborami. To logiczne zachowanie, bo według badań Nielsen Media Research kandydat, o którym więcej mówiono w mediach społecznościowych,

w 75% przypadków ostatecznie wygrywa wybory. Warto przy tym pamiętać, że politykę w internecie zrewolucjonizował Barack Obama.

W jaki sposób?

– W 2008 r. jego kampania prezydencka po raz pierwszy w historii obejmowała praktycznie wszystkie wtedy

dostępne kanały społecznościowe. Tylko on miał charyzmę, dystans i poczucie humoru, żeby móc na nich zaistnieć. Do dzisiaj pamiętam jego słynny filmik, w którym parodiował samego siebie – nazywa się „Thanks Obama” i wciąż jest dostępny w sieci – pozując z kijkiem do selfie i ciasteczkiem. Ten filmik już zapisał się w historii mediów społecznościowych.

Nasi politycy nie próbowali w podobny sposób zaistnieć?

– Próbowali, ale z mizernym skutkiem. Przykład pierwszy z brzegu – ustawiony wywiad prezydenta Bronisława Komorowskiego u pewnego youtubera. Efekt okazał się żenujący i nudny, bo wystąpienie było kompletnie nieprzemyślane, bez żadnego pomysłu. Politycy muszą zdać sobie sprawę, że politykę uprawia się nie tylko na wiecach i konferencjach prasowych, bo rzeczywistości mamy dziś dwie. Wystarczy spojrzeć na Donalda Trumpa, który jest gwiazdą Twittera. Można go nie lubić, można się z nim nie zgadzać, ale na Twitterze robi dobrą robotę – na bieżąco komentuje swoje decyzje, wygłasza opinie i sądy. W Polsce mamy przecież Facebook Live, dlaczego żaden nasz polityk nie skorzystał z niego, żeby

jakoś uspokoić albo podjuczyć protestujących? Wciąż wybierano tradycyjne media, które zupełnie tracą na znaczeniu wobec społecznościowych. Politycy muszą z tym się pogodzić i w końcu zatrudnić ekspertów z tej dziedziny, którzy pomogą im się odnaleźć w virtualnej rzeczywistości i czerpać z obecności w niej profity.

Co w przeciwnym razie?

– Cóż, dziś taki polityk jak Jarosław Kaczyński, który nie ma Twittera ani oficjalnego fanpage’a na Facebooku, ani nawet Instagramu, jest jeszcze wśród rządzących. Za 10-15 lat ktoś taki po prostu nie będzie miał prawa bytu.

Rozmawia Artur Zaborski

Krzysztof Wasilewski

Pomnik Małego Powstańca jest znany wszystkim Polakom. Każdy go widział – na żywo, w telewizji, w podręczniku do historii. Rzeźba Jerzego Jarnuszkiewicza wzrusza kolejne pokolenia, przypominając o bohaterstwie i oddaniu najmłodszych powstańców. Podobne uczucia wzbudza jedna z najśłynniejszych pieśni z sierpnia 1944 r. „Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój / za każdy kamień Twój, Stolicco, damy krew”.

Dzieło Jarnuszkiewicza miało pierwotnie wyrażać „przemijalność i marność życia”, jak pisał o nim historyk sztuki Waldemar

„Przed wybuchem powstania warszawskiego zakładano, że młodzież do 18. roku życia nie będzie brać udziału w walce. Później było wiele przypadków zgłaszania się nieletnich do oddziałów bojowych, choć odpowiedzialni dowódcy stali się nie przyjmować tak młodych kandydatów na żołnierzy”, przekonuje dr Paweł Kosiński z Instytutu Pamięci Narodowej.

Szacuje się, że po kapitulacji powstania do niewoli niemieckiej dostało się ok. 2,5 tys. dziewcząt i 1,1 tys. chłopców w wieku 11-18 lat. W opublikowanych dziennikach i wspomnieniach przełożeni nie mogą się ich nachwalić, podkreślając szaloną odwagę i determinację dziecięcych powstańców.

NA STOS

W powstaniu warszawskim zginęło ok. 180 tys. cywilów. Aż 33 tys. to dzieci

Baraniewski. Mimo to od początku odbierano je dosłownie, bez doszukiwania się w nim metafory tragedii powstania. Sam artysta przyznawał po latach: „Uległem sentymentalnej potrzebie spłacenia długu walczącym dzieciom, potem jednak zacząłem się wstydyć tej rzeczy. Wyrzucałem sobie, że – choć nieświadomie – dokonałem manipulacji na najbardziej intymnych uczuciach, że zaniedbałem formę na rzecz treści, że zrobiłem knota”.

ŁATWY CEL DLA NIEMCÓW

Nie wiadomo dokładnie, ile lat miał najmłodszy powstańca, w jakim wieku była najmłodsza sanitariuszka. Zdaniem historyków zajmujących się powstaniem warszawskim ochotnicy 11-letni nie byli rzadkością. Oczywiście w wielu przypadkach dowódcy odsyłali dzieci do domu, ale czasami przyjmowali ich zapał z dobrodziejstwem inwentarza. Zwłaszcza gdy powstanie się przedłużało, a liczba dorosłych ochotników topniała, dziecięcy wiek przestawał być przeszkodą.

Szalona odwaga, a może po prostu brak doświadczenia i świadomości niebezpieczeństwa sprawiały, że najmłodszy powstańcy stawali się łatwym celem dla przeciwnika. Kamila Mermetowa, jedna z sanitariuszek, wspominała: „Dzieciaki 13-, 14-letnie rzucały się z butelkami napelnionymi benzyną na czołgi. (...) Około 18 sierpnia Niemcy puścili na plac Kilińskiego czołg naładowany materiałem wybuchowym. Nasi chłopcy nie wiedzieli, że był to podstęp. Po zbliżeniu się dzieci i młodzieży w wieku 14-18 lat z wielkim entuzjazmem do czołgu nastąpił wybuch, który wyrządził sporo strat w ludziach, a zwłaszcza wśród młodzieży”.

Czy zgodę na udział w powstaniu tak młodych osób można usprawiedliwić? Dla cytowanego już dr. Kosińskiego z IPN odpowiedź jest jednoznaczna: „W chwili kiedy ważyły się losy ojczyzny, a śmierć ▶

St. strz. Karol Lewandowski „Karolek” ze zgrupowania „Żniwiarz” na schodach domu przy ul. Mickiewicza 34, 4-5 sierpnia 1944 r.





Ochotnicza drużyna harcerska na ul. Sienkiewicza, Śródmieście Północne, 22 sierpnia 1944 r.

► rzeczywiście czyhała w każdym momencie, to myślę, że nawet rodzicom łatwiej było przyjąć ryzyko związane z niesieniem przez ich dzieci pomocy powstańcom, zresztą wiele z tych dzieci i tak nie udałooby się zatrzymać w domu”.

Wanda Nowomińska, lat 8: Zawsze jakieś nosze albo człowiek pod drzwiami leżał i czekał, że go pod oknami zakopią.

Odpowiedź prosta jak wizja historii lansowana przez IPN. Pod naporem takich słów jak ojczyzna, bohaterstwo czy patriotyzm łatwo zapomnieć, że stawką było życie najmłodszych. Tymczasem ich los powinien być najważniejszy nie tylko dla tych, którzy przyjmowali ich do oddziałów. Przede wszystkim był to obowiązek tych, którzy decydowali o rozpoczęciu powstania. Zrzucanie na dzieci odpowiedzialności za decydowanie o ich życiu jest niedopuszczalne.

Jerzy Grzelak, pseudonim „Pilot”, był jednym z najmłodszych powstańców. W sierpniu 1944 r. miał zaledwie dziewięć lat. Zgłosił się dobrowolnie, nie myśląc o konsekwencjach.

Chociaż, jak wspominał w wywiadzie udzielonym „Polityce” w 2011 r., starsi koledzy z oddziału starali się go chronić, z okrucieństwami czasu powstania musiał radzić sobie sam: „Któregoś dnia spotkałem mojego kolegę Jureczka. Miał może z 16 lat. (...) Niedługo potem przyniesli Jureczka, dostał postrzał w głowę. (...) Takich sytuacji, że patrzyło się na śmierć, było więcej, także później. Widziałem kiedyś z balkonu grupę szabrowników, którzy szli od Belwederskiej. Nagle zatrzymał się samochód, z którego wyszedł oficer niemiecki. Padły strzały, tłum się rozpieczęł. Został, klęcząc, młody chłopak, bo był ranny. Ten oficer podszedł do niego, do dziś pamiętam, pod lewe ramię przyłożył karabin i strzelił. Byłem w szoku, jak tak można?”.

MIMOWOLNI UCZESTNICY POWSTANIA

Wybuch powstania uczynił z najmłodszych jego mimowolnych uczestników. Towarzyszyli rodzicom i rodzeństwu w codziennej walce o przetrwanie. Wraz z nimi ukrywali się przed bombardowaniami, wraz z nimi przemykali po ulicach w po-

szukiwaniu wody i żywności. W końcu wraz z nimi ginęli. Szacuje się, że spośród ok. 180 tys. zabitych cywilów aż 33 tys. to dzieci. Wiele zginęło już w pierwszych dniach sierpnia 1944 r., kiedy Niemcy przystąpili do pacyfikacji Woli, mordując bez wyjątku mężczyzn, kobiety i dzieci.

Dzięki Archiwum Historii Mówionej udostępnionemu przez Muzeum Powstania Warszawskiego możemy się dowiedzieć, jak powstanie odbierali jego najmłodszy uczestnicy. Uczestnicy, bo w sierpniu i wrześniu 1944 r. trudno mówić o podziale na powstańców i cywilów, na dorosłych i na dzieci. Mając kilka czy kilkanaście lat, było się już wystarczająco dojrzałym, aby zapamiętać tragiczne chwile powstania. Naturalnie wspomnienia i oceny ówczesnej sytuacji naznaczone są latami przemyśleń i konfrontacji z literaturą naukową i popularną. Jednak bez wątpienia stanowią najważniejszą kronikę tamtych dni, widzianych z perspektywy najmłodszych.

PROWADZIŁ ICH TAKI MAŁY CHŁOPAK

„Młodzi chłopcy. Ale najbardziej mnie chyba to szokowało, że pro-

wadził ich taki mały chłopak, prawie jak ja, troszkę większy, z wielką tą maszyną, z tym kołem, z tym takim... Mówię: »Boże, jak on to udźwignie, jak on to niesie?«, przypomina sobie swój pierwszy kontakt z powstańcami Wanda Nowomińska, która w 1944 r. miała osiem lat.

W jej wspomnieniach z kolejnych dni powstania dominuje strach. Mieszkała wtedy na ul. Towarowej, nieopodal niemieckiego bunkra, skąd trwał nieustanny ostrzał. Nic dziwnego, że ze śmiercią zetknęła się bardzo szybko: »Ludzie ginęli i np. do mieszkania jak chciałam wejść, to zawsze jakieś nosze albo człowiek pod tymi drzwiami leżał i czekał, że go pod oknami zakopią. I nie pamiętam, kiedy właśnie ekshumowali te ciała spod okien. Na razie jeszcze trumny robili, jakieś tam zbijali. Później już tak chowali».

»Wydaje mi się, że było to 23 sierpnia, jak na dom na ul. Mławskiej nadleciały samoloty i zbombardowały go z boku od strony szczytowej. To było piekło» – tak wspomnienia dotyczące powstania rozpoczyna Hanna Irena Zatorska, urodzona 11 lipca 1934 r. Dalej mówi: »Leżałam pod gruzami od godziny

Hanna Irena Zatorska, lat 10: Leżałam pod gruzami od godziny 12 w południe do zachodu słońca. Krzyki, wrzaski, okropności...

12 w południe (bo w samo południe było bombardowanie) do zachodu słońca. Krzyki, wrzaski, okropności... Nie odzywałam się ani jednym słowem, a dokoła była akcja».

TRUDNE DNI PO RADOSNYM POCZĄTKU

Niektórzy zapamiętali również miłe chwile. Dla Lubomira Kossowskiego, w 1944 r. ucznia IV klasy szkoły podstawowej, początek powstania to »szał radości. Ludzie byli po prostu pijani ze szczęścia tego dnia». Na pytanie, po czym poznał, że ludzie byli szczęśliwi, odpowiedział: »Po radości. A radość ludzi przejawia się w śmiechu, w okrzykach pełnych radości, w nastroju. Tak że to był stan powszechny tego popołu-

Maria Hankiewicz, lat 11: Kobieta leżała zgwałcona na ławce, piersi obcięte. Poznałam ją tylko po tym warkoczu.

dnia. To mnie uderzyło, pamiętam, bardzo wyraźnie». Dopiero później Kossowski przyznał, że ta opowieść nie ma szczęśliwego zakończenia. Wspominając kolejne tygodnie walki powstańców z Niemcami, ale i walki cywilów o przeżycie, mówił: »Atmosfera była znośna, poza momentami paniki, gdy np. co jakiś czas przychodziła wieść, że atakują nas »Ukraińcy«, których się panicznie baliśmy, i oczywiście podczas bombardowań. Ale tak to było dosyć spokojnie. Z tym że od połowy września narastało poczucie beznadziejności, dlatego że słyszeliśmy zza Wisły artylerię radziecką. Jednocześnie słyszałem z rozmów dorosłych, że Berling usiłował pomóc Warszawie, został odsunięty przez Stalina od dowództwa».

W podobny sposób powstanie zapamiętał Krzysztof Jankowski, rocznik 1934: »Na podwórku było bardzo fajnie, dużo ludzi zawsze się gromadziło, dyskutowali, opowiadali. Nabożeństwa się stale odbywały». Jednak te scenki szybko ustępują traumatycznym zdarzeniom. Nic dziwnego. W sierpniu i wrześniu 1944 r. nie istniało w Warszawie miejsce, gdzie można by czuć się bezpiecznie, zasypiać w spokoju z nadzieją na lepsze jutro. »Któregoś dnia rąbnęło gdzieś w górne piętra. Siedzieliśmy w pokoju i raptem zrobiło się zupełnie ciemno. Przerażony byłem, co się dzieje. Człowiek może jest już, że tak powiem, nieżywy, skoro tak ciemno», wspominał Jankowski.

BRUTALNOŚĆ OKUPANTÓW

Nawet w tych opowieściach, które pomijają naloty czy strzały, powstanie rysuje się jako niezwykle trudny czas, także z perspektywy prozaicznych potrzeb. Barbara Wyciskiewicz, dziewięcioletka z ul. Zakroczymskiej, zapamiętała sierpniowe dni nie

z wielkich czynów, lecz ze specyficznego zapachu piwnicy, w której się ukrywała: »W pierwszym [pomieszczeniu] wejście było z podwórka i w kąciu stał kubeł, do którego ludzie się załatwiali. Nie było mowy, żeby gdzieś wyjść, bo wszystko było momentalnie zgruzowane. Kubeł wynosili w nocy i wylewali. Później doszło do tego, że już nie dało się go wynosić. W ten kącik wszyscy załatwiali się, wymiotowali, wszystko. To było w tym pomieszczeniu w piwnicy. W piwnicy było tak gorąco i dusz-



8-letnia Maria Róża Goździewska »Różyczka« pomagała w szpitalu polowym kompanii »Kosza« w kamienicy przy Moniuszki 11.

no – już nie mówię o smrodzie – że byłam w samych majtkach i w szkolnym fartuchu».

Ludmiła Niedbalska, rocznik 1933, nie dzieliła powstania na radosny początek i tragiczny koniec. Dla niej każdy dzień, począwszy od 1 sierpnia, oznaczał walkę o przetrwanie. Już w pierwszych godzinach powstania zapamiętała taką scenę: »Stanęliśmy w bramie, skręciłyśmy w bok. Wszyscy mieszkańcy za nami ▶

Mały powstaniec z zapalnikiem
na ul. Siennej, Śródmieście
Północne, 7 sierpnia 1944 r.

► też stanęli, a Niemcy jakoś nas nie wygonili jednak na ulicę. No i tak żeśmy stali, to było nie do zniesienia. Oni ganiłi po piętrach, jeszcze kogoś wyciągnęli i usłyszeliśmy, że we frontowym mieszkaniu kogoś zastrzelili. Tam był sparaliżowany pan. Oni go zastrzelili po prostu. To było słyszeć, bo on coś krzyczał, strzał i koniec. Tak żeśmy stali”.

Także 10-letniemu Adamowi Paciorkowi powstanie szybko objawiło swoją tragedię. Wraz z matką i pięciorgiem młodszego rodzeństwa został wypędzony z domu przez Niemców już 6 sierpnia. „Mieliśmy wielkie szczęście, bo do 6 sierpnia, do godzin rannych, Niemcy wszystkich z Woli rozstrzelali. Dzieci, starców, wszystkich – wracał pamięcią do tamtych dni. – Część mężczyzn od razu zlikwidowano. Ustawiono ich, kazano im ręce do ty-

Adam Paciorek, lat 10:
Mężczyzn ustawiono i kazano im
ręce do tyłu wyciągnąć.
Jeśli ktoś miał dłonie gładkie,
tych rozstrzelano od razu.

tu wyciągnąć i byli specjaliści, którzy badali po odciskach. Jeżeli ktoś miał ręce spracowane, to zostawiali. Natomiast jeśli ktoś miał dłonie gładkie od strony wewnętrznej, tych rozstrzelano od razu, na miejscu”.

W tym samym czasie niewiele starszy od Paciorka Jerzy Berłowski (rocznik 1932) obserwował ewakuację cywilów i powstańców. Z mieszkania na ul. Leszno widział tłumy warszawiaków, którzy 4 sierpnia próbowali przedostać się w stronę Starego Miasta: „Ludzie uciekali z tobołkami, wystraszeni jakoś bardzo, nic nie chcieli specjalnie mówić. Brama u nas była otwarta, bo to była taka przejściowa brama na podwórze, więc myśmy stali w tej bramie (ja z chłopcami, moimi rówieśnikami), wyglądaliśmy, co się dzieje. [Ludzie z Woli] uciekali z tymi tobołkami, zatrzymywali się, na chwilę do tej bra-

my wchodzili, wystraszeni wszyscy. Nie bardzo chcieli mówić nawet, co się dzieje”.

Bardziej jednak zapadł mu w pamięć widok wycofujących się nazajutrz powstańców: „Oni nie byli tak umundurowani jakoś, bardziej po cywilnemu, większość to jeszcze tacy młodzi ludzie, chłopcy, broni nawet nie mieli, mieli opaski i nieśli dużo tych butelek zapalających z benzyną. Też zatrzymywali się w tej bramie i uciekali dalej w kierunku Starego Miasta”.

NA SKRAJU WYCZERPANIA

Tych obrazów, których żadne dziecko nie powinno oglądać, było w czasie powstania więcej. Wspomniana już Barbara Wyciszkiewicz każdego dnia musiała obserwować, jak matka zmagająca się z trudami sierpniowych dni. Godziny płynęły jak dni, dni jak miesiące. Pewnego dnia matka nie wytrzymała:

„Wzięła mnie o świecie za łapę, już był brzask, i poszła ze mną na Kościelną (ulica zaraz obok), oczywiście po gruzach. W czasie okupacji przyjmował tam doktor Lampe. Otworzył: »Słucham panią«. »Panie doktorze, ja

pana bardzo proszę o dwie tabletki sublimatu. Jedną dla niej, jedną dla mnie, bo już dłużej nie wytrzymam, a nie chcę, żebym ja zginęła, a ona została albo odwrotnie, bo to...«. Po-pędził matce kota”.

W pamięci Barbary Wyciszkiewicz pozostała jeszcze jedna scena. Tak niewiarygodna, że przeprowadzająca rozmowę pracownica muzeum prosiła o jej potwierdzenie. W pewnym momencie mieszkańcy Zakroczymskiej postanowili się poddać: „Po jednej stronie Zakroczymskiej byli Niemcy, po drugiej byli powstańcy. Jak wychodziła ludność cywilna z prześcieradłem, poddawali się, to Niemcy nie strzelali. Natomiast od polskiej strony, od powstańców, padło kilka strzałów do ludności cywilnej. Po prostu dlatego, że jak lud-

Barbara Wyciszkiewicz, lat 9:
Jak wychodziła ludność cywilna
z prześcieradłem, poddawali się,
to Niemcy nie strzelali. Natomiast
od powstańców padło kilka strzałów.

ność cywilna odeszła, to nie mieli żadnego oparcia, bo gdzie? Od razu tam, gdzie zwolniło się, to zajmowali Niemcy. Przykre to. Z tego, co pamiętam, co widziałam, to padła babka – z potężnym brzuchem. (...) Ci,



k którzy szli z nami w pochodzie, kłeli po prostu – »Taki nie taki, do swoich strzelasz!«. Nie było strzelaniny, ale było około trzech strzałów. Z tego, co pamiętam, babka w ciąży została na miejscu zabita”.

OBRAZY, KTÓRYCH NIE SPOSÓB ZAPOMNIEĆ

Zdaniem naukowców u osób, których dzieciństwo przypadło na lata II wojny światowej, przeżycia z tamtego okresu mają wpływ na dalsze losy. Łatwiej popadają oni

Jerzy Grzelak, lat 9:
Spotkałem mojego kolegę Jureczka. Miał może z 16 lat. Niedługo potem go przynieśli, dostał postrzał w głowę.

w depresję, mają także problemy z przystosowaniem się do zmian. U tych, którzy podczas wojny zostali oddzieleni od rodziców, częściej niż u pozostałych ujawniają się choroby psychiczne.

Badania przeprowadzone m.in. na osobach, które jako dzieci przeżyły powstanie warszawskie, dowiodły, że niemal u połowy pojawiały się nawracające myśli i obrazy dotyczące tego wydarzenia. Co trzeci badany przyznał się do sennych koszmarów związanych z przeżyciami wojennymi, a co czwarty do zachowywania się lub odczuwania, jakby to traumatyczne zdarzenie znowu miało miejsce. Prawie połowa starała się radzić sobie z traumą poprzez unikanie myślenia i mówienia o zdarzeniu czy zwalczanie związanych z nim uczuć.

Nie wiadomo, czy w badaniu tym wzięła udział Maria Hankiewicz, rocznik 1933. Nie wiadomo też, czy wspomnienia z dzieciństwa nawiedzały ją w późniejszym okresie, ale trudno przypuszczać, aby sytuację, które widziała w sierpniu i wrześniu 1944 r., dało się w ogóle zapomnieć. Podczas rozmowy z pracownikiem muzeum w 2008 r. mówiła: „Pamiętam, jak jeszcze była woda, przyszła kobieta z butelką. Miała piękny warkocz... Pamiętam jak dziś. »Ukraińiec« nas rozepchał, nalał jej wody w butelkę i brał ją do szkoły. Ona płakała: »Proszę pana, pan mnie puści, ja mam

dwoje dzieci«. (...) Jak nam odciepli wodę i chodziliśmy po wodę do szkoły do beczek, to leżała zgwałcona na ławce, piersi obcięte. Poznałam ją tylko po tym warkocz”.

POWSTANIE JAKO ZABAWA

W Muzeum Powstania Warszawskiego znajduje się Sala Małego Powstańca. Jak zachwalają sami organizatorzy, „rodzice podczas zwiedzania ekspozycji muzealnej mogą zostawić tutaj dzieci pod opieką instruktorów dydaktycznych. Tutaj także prowadzone są lekcje muzealne i warsztaty dla najmłodszych”. Wśród licznych „atrakcji” można znaleźć repliki zabawek z epoki, harcerską pocztę polową i szpital polowy, gdzie „dzieci mogą napisać i opieczętować list lub spróbować pomóc »rannemu koledze«”. Są także „modele samolotów wspomagających powstańców zrzutami oraz powstańczych pojazdów pancernych”.

Specyficzny obraz powstania otrzymują dzieci. Oczywiście nikt nie wymaga, aby opowiadać im o bestialstwie okupantów i tragedii ludności cywilnej. Nikt też nie oczekuje uświadamiania najmłodszych na temat sensu lub bezsensu powstania warszawskiego. Czy jednak powstanie jako atrakcyjna przygoda to jedyny zrozumiały dla nich przekaz? W 1944 r. ich rówieśnicy musieli stawić czoła okropieństwu, na które żaden dorosły nie był gotowy. Z szacunku dla nich warto chociażby spróbować pokazać, czym powstanie było naprawdę – końcem ich dzieciństwa i przyspieszonym kursem dorosłości.

Krzysztof Wasilewski

W artykule wykorzystałem relacje zamieszczone w Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego. Skorzystałem także z badań udostępnionych w artykule Mai Lis-Turlejskiej, Szymona Szumiała i Anny Okuniewskiej „Aktualny poziom objawów stresu potraumatycznego w próbie osób, które w dzieciństwie przeżyły II wojnę światową”, „Psychiatria Polska” 2012, t. XLVI, nr 2, s. 145-156.

Kto jest winien śmierci prawie 200 tys. warszawiaków?
Gen. Władysław Anders:
„Powstanie było zbrodnią, a jego dowódcy powinni stanąć przed sądem”.



POLECAMY

KSIAŻKĘ MOŻNA KUPIĆ:

- wpłacając 41 zł na konto wydawcy PRZEGLĄDU: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając dokładny adres (z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona
- w Księgarni Historycznej w Warszawie, al. Solidarności 105, tel.: (22) 652 19 59, 607 833 337
- w Główniej Księgarni Naukowej im. Bolesława Prusa w Warszawie, ul. Krakowskie Przedmieście 7, tel.: (22) 826 18 35
- przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Więcej informacji:

tel.: (22) 635 84 10 wew. 111,
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

CZYTELNIKU,
kupując nasze książki,
wspierasz „PRZEGLĄD”

OD PUCYBUTA DO MILIONERA

Jak za uprawę rabarbaru przejść 3,5-hektarową działkę w Krakowie

Tomasz Borejza

Kraków kojarzy się z tym, że do pieniędzy dochodzi się tutaj stopniowo i raczej przez oszczędność niż dzięki niewielkim, ale spektakularnym inwestycjom. Być może jednak czas na nowe skojarzenia, ponieważ ostatnio przynajmniej kilka osób zdobyło tu spore majątki dzięki włożeniu niewielkich kwot w przedsięwzięcia, które przyniosły niespotykaną stopę zwrotu. Niespotykaną, bo rzadko się zdarza, by inwestycja w wóz cyrkowy dała działkę wartą co najmniej 250 tys. zł, a zakup nasion rabarbaru zwrócił się w postaci 3,5 ha w krakowskich Czyżynach, jednej z najatrakcyjniejszych dla deweloperów dzielnic Krakowa. Jak więc u stóp Wawelu można dziś zostać milionerem? Nic prostszego, trzeba sobie miliony zasiedzieć. Najpierw należy znaleźć odpowiednią działkę, a następnie liczyć na bierność właściciela. Przepisy pozwalają przejść własność po 20 lub 30 latach. Zależy, czy robi się to w dobrej wierze, czy w złej. Najłatwiej, kiedy grunt jest własnością wspólną, czyli urzędową lub państwową. Ważna jest też metoda.

ZASIEDZENIE #1

Można działkę zasiedzieć klasycznie, czyli na płot oraz świadków, że stoi on co najmniej 30 lat. W taki sposób zasiedziano 14 arów przy ul. Bytomskiej. Sąd zabrał je gminie Kraków i oddał nowemu właścicielowi, który miał być starym użytkownikiem. Zgłosił się on bowiem do sądu, utrzymując, że od lat 50. XX w. na tym terenie stoi dom należący do jego rodziny, a od lat 70. działka jest ogrodzona i przez cały ten czas miasto nie zgłaszało do niej żadnych roszczeń, więc najwyraźniej nie jest mu do niczego potrzebna. Użytkownikowi za to teren jest bardzo potrzebny, bo inaczej by go nie ogradzał. Ludzie w okolicy twierdzą wprawdzie, że ogrodzenia pojawiły się znacznie później, ale

sąd dał wiarę przedstawionym przez powoda świadkom, mówiącym, że istotnie użytkuje on teren od wielu lat, i przekazał mu własność działki.

Wyrok utrzymał się w sądzie apelacyjnym. Pomogła w tym pasywność miejskich urzędników, którzy przez lata nie zrobili nic, by zasiedzeniu przeciwdziałać. A chodziło nie o byle jaką działkę, ale o teren w parku, zaliczający się do ciągu Młynówki Królewskiej. Ta kilkukilometrowa trasa parkowo-spacerowa jest reprezentacyjną przestrzenią dwóch dzielnic – Krowodrzy i Bronowic. Cena mieszkań budowanych w jej sąsiedztwie zaczyna się od ok. 12 tys. zł za metr. To zresztą powód, dla którego obie dzielnice od lat są obiektem ogromnej presji deweloperów, a ciągną i nieuregulowana zabudowa sprawia, że ich mieszkańcy stali się szczególnie wyczuleni na punkcie terenów zielonych.

Wkrótce po ogłoszeniu wyroku działka trafiła na sprzedaż. Cena wywoławcza – 1,7 mln zł. Przed zabudową teoretycznie chroni ją plan miejscowy, ale są obawy, że nowemu właścicielowi uda się go obejść. Zwłaszcza jeżeli miasto nadal będzie biernie.

Strata działki wywołała spore oburzenie mieszkańców Krowodrzy i Krakowa. To z kolei spowodowało, że sprawą zasiedzeń zajęli się lokalni dziennikarze, w tym redakcje „Gazety Krakowskiej” i Onet.pl. Szybko się okazało, że przejęcie działki przy Bytomskiej nie jest wyjątkiem, tylko regułą, i zasiedzenie jest w Krakowie metodą zdobycia własności gruntu, która zaskakuje wielu osobom pomogła łatwo się wzbogacić.

ZASIEDZENIE #2

Zasiedzieć można nie tylko na płot, ale też na wóz cyrkowy. Tak było w przypadku działki przy ul. Pielęgniarek (w sąsiedztwie z Krowodrzą dzielnicy Prądnik Biały) o powierzchni 964 m kw., która dzięki doskonałej lokalizacji stanowi prawdziwą gratkę dla deweloperów. Z wnioskiem o stwierdzenie nabycia prawa własności nie-



ruchomości wystąpiły osoby fizyczne, podając, że teren służył od lat 70. do składowania sprzętu.

Zasiedzenie orzekł już sąd pierwszej instancji, ale miasto apeluje. Apeluje, bo – jak tłumaczył Jan Machowski z Biura Prasowego Urzędu Miasta Krakowa – nietrwały charakter zagospodarowania tego terenu budzi poważne wątpliwości co do spełnienia ustawowych przesłanek niezbędnych do zasiedzenia. Nietrwały charakter zagospodarowania oznacza w tym wypadku, że prywatna osoba zrobiła sobie na gminnej działce skład sprzętów koniecznych do prowadzenia wesołego miasteczka. Stały tam wozy cyrkowe, karuzele, barakowozy, a nawet ciągnik.

Dopiero cztery lata temu urząd wystąpił o ich usunięcie. W odpowiedzi do sądu został skierowany pozew o zasiedzenie. A sąd orzekł, że skoro urządzenia te stały i przez wiele lat nikomu to nie przeszkadzało, najpewniej działka nie jest miastu potrzebna. Potrzebna jest za to właścicielowi wozu cyrkowego i karuzeli, który jeżeli tylko wyrok utrzyma się w drugiej instancji, będzie mógł ją drogo sprzedać. Cenę szacuje się na co najmniej 250 tys. zł, ale bliskość linii tramwajowej oraz centrum miasta może pozwolić sprzedać ją nawet kilka razy

PRZEZ ZASIEDZENIE



Dzięki zainwestowaniu 2 tys. zł w wóz cyrkowy i ustawieniu go na gminnej działce można zyskać teren wart 250 tys. zł.

Działka przy ul. Pielęgniarek stanowi gratkę dla deweloperów.

drożej. Tyle można zarobić – żartuje się smętnie w Krakowie – dzięki zainwestowaniu 2 tys. zł w wóz cyrkowy i ustawieniu go na gminnej działce.

ZASIEDZENIE #3

Grunt traci nie tylko gmina. Ostatnio straciła je też Politechnika Krakowska. Uczelnia przegrała właśnie sprawę o 3,5 ha atrakcyjnych terenów w Czyżynach, które tak jak Krowodrza należą do dzielnic przyciągających deweloperów. Grunt jest wart co najmniej kilka milionów złotych. W tym wypadku działkę zasiedzano wyjątkowo spektakularnie. Nie tylko dlatego, że była duża i bardzo droga, ale i za sprawą pomysłu – na rabarbar. Powód

w 2006 r. wniósł sprawę o zasiedzenie, argumentując, że co najmniej od lat 70. on i jego rodzina uprawiają na działce rabarbar.

Sprawa ciągnęła się przez kilka lat, świadkowie zeznawali, że rabarbaru nigdy tam nie widzieli, ale ostatecznie sądy obu instancji uznały, że uprawa tej rośliny jest wystarczającym powodem, by orzec zmianę własności gruntu przez zasiedzenie. Dzięki temu hodowca rabarbaru już wkrótce stanie się szczęśliwym milionerem. Będzie to tym łatwiejsze, że deweloperów chętnych na zakup 3,5-hektarowej działki z pewnością nie zabraknie. Postawione tam mieszkania zostaną sprzedane na pniu.

I mimo że dziś to teren rekreacyjny, przed zabudową nie chroni go

miejskowy plan zagospodarowania, a urzędnicy podkreślają, że nie mają zamiaru go stworzyć. Być może dlatego, że niedawno uznali, co zostało zapisane w miejskich dokumentach określających plany rozwoju, iż mieszkańcy Czyżyn mają zbyt dużo zieleni, można więc w tej dzielnicy stawiać kolejne budynki.

300 SPRAW W SĄDACH

Nie jest to prawdopodobnie ostatnia taka historia. Spraw, w których Kraków stracił grunty przez zasiedzenie, było kilka – korzystały z tego m.in. zakony.

Jak informuje dyrektorka Wydziału Skarbu Urzędu Miasta Krakowa Marta Witkiewicz, od 2005 r. przeprowadzono ok. 3 tys. postępowań związanych

z próbami zasiedzenia. To bardzo dużo, zważywszy na fakt, że gmina jest właścicielem ok. 28 tys. działek. W przypadku stwierdzenia, że ktoś próbuje zasiedzieć gminną nieruchomość, urząd wysyła – mówi Witkiewicz – „pisma o uregulowanie tytułu prawnego do takich terenów, bądź wezwania, w których wyznaczany jest termin wydania gruntu na rzecz Gminy Miejskiej Kraków”. Przy czym nabycie tytułu prawnego odbywa się zwykle poprzez zawarcie umowy dzierżawy lub bezprzetargową sprzedaż działek, które mogłyby stać się przedmiotem sprawy o zasiedzenie. Kiedy to się nie udaje, sprawy są kierowane do sądu.

Kraków nie jest tu prawdopodobnie wyjątkiem i do podobnych sytuacji dochodzi też w innych miastach. Z tą tylko różnicą, że w stolicy Małopolski sprawa została już opisana, a gdzie indziej jest cisza. ■

25 lipca zmarł znakomity rzeźbiarz

prof. MARIAN KONIECZNY

współzałożyciel Fundacji Kultury Polskiej
wieloletni (1972-1981) rektor Akademii Sztuk Pięknych
im. Jana Matejki w Krakowie,
poseł na Sejm dwóch kadencji
wrażliwy na piękno, dobro i prawdę

Rafał Skąpski
prezes FKP

Z wielkim bólem przyjęliśmy wiadomość,
że 25 lipca zmarł

prof. MARIAN KONIECZNY

wybitny rzeźbiarz i rektor Akademii Sztuk Pięknych
w Krakowie
współzałożyciel „Kuźnicy” i jej poseł na Sejm

Kuźniczanie

RYZIKO LETNIEGO BLACKOUTU

Wystarczy gwałtowna burza, a dziesiątki tysięcy odbiorców zostają bez prądu

Bronisław Tumiłowicz

Silne wiatry i gwałtowne burze już kilkakrotnie tego lata pozbawiały prądu dziesiątki tysięcy ludzi. W końcówce czerwca dostało się nawet warszawiakom, a zalane przez ulewę transformatory odłączyły nie tylko prąd, ale też ciepłą wodę mieszkańcom Grochowa, Gocławia i Saskiej Kępy. W tym samym czasie w powiecie piaseczyńskim i pruszkowskim bez prądu było aż 150 tys. odbiorców, bo zniszczone zostały linie średniego i niskiego napięcia, połamane słupy i poszarpane przewody. Ekipy energetyków najpierw zajmowały się liniami średniego napięcia, niskie, czyli takie, które dociera do domów, zostawiając na koniec. PGE Dystrybucja SA kilkakrotnie prosiła mieszkańców o wyrozumiałość i cierpliwość. Rzeczniczka tej firmy wystosowała nawet apel, aby nie dzwonić do nich, bo linie telefoniczne są przeciążone. – Proszę kontaktować się także z policją czy strażą pożarną – ogłosiła. Zapewniła jednocześnie, że wszystkie ekipy techniczne są w terenie i będą pracować aż do usunięcia ostatniej awarii.

W sumie 1 lipca bez prądu nadal było ponad 20 tys. gospodarstw. Najwięcej na Mazowszu – prawie 16 tys., niemal 5 tys. w województwie łódzkim, a w podlaskim ponad 1,5 tys. Od prądu został czasowo odcięty Białystok, nie miało go również wiele gospodarstw w okolicach Ełku, Suwałk, Łomży i Bielska Podlaskiego. To tylko statystyka z jednej całonocnej nawałnicy.

Pojawiły się od razu pytania, dlaczego na naszych zurbanizowanych osiedlach sieci elektryczne wiszą na słupach, a nie są umieszczone bezpiecznie pod ziemią. Zbieramy żniwo wieloletnich zaniedbań w tworzeniu solidnej infrastruktury energetycznej. Okazuje się poza tym, że upały mogą spowodować większe zapotrzebowanie na energię

niż mrozy, a to z powodu coraz liczniejszych bardzo prądożernych klimatyzatorów. Z drugiej strony podaż energii jest mniejsza, bo przegrzane, a źle schłodzone bloki energetyczne trzeba czasami profilaktycznie wyłączyć. Sami dostawcy energii przyznają, że jest źle i sytuacja nawet bez anomalii pogodowych często balansuje na granicy katastrofy.

SKĄD WZIĄĆ MOC

Mieszkańcy Pruszkowa i okolic właściwie powinni się przyzwyczaić do braku prądu. PGE regularnie informuje ich o przerwach w dostawie energii spowodowanych modernizacją urządzeń. – Tam od wielu lat dochodziła tylko jedna nitka sieci wysokiego napięcia i teraz sytuacja się zmienia, więc są przejściowe trudności z dostawami prądu – wyjaśnia dr Jan Rączka, ekspert z Regulatory Assistance Project, były prezes Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

Dostarczanie energii to jeden problem. Drugi to jej podaż. Inwestujemy w dodatkowe bloki węglowe, ale sceptycy twierdzą, że takie działanie nie poprawi zasilania w szczycie, a jedynie zwiększy koszty energii oraz emisję gazów cieplarnianych. 88% zużywanej w Polsce energii pochodzi z elektrowni ciepłych. Z tym wiąże się problem chłodzenia i za-

sobów wodnych. A tych nam brakuje. Jesteśmy pod tym względem na jednym z ostatnich miejsc w Unii Europejskiej. Kiedy latem dochodzą awarie, zrywają się przewody – sieci przesyłają mniej energii.

Dlatego państwowa spółka Polskie Sieci Elektroenergetyczne, właściciel ponad 13,4 tys. km linii elektroenergetycznych najwyższych napięć, która odpowiada za stabilność pracy systemu, apeluje o ograniczenie zużycia energii w czasie szczytowego zapotrzebowania, czyli w godz. 11-15. „Rzeczpospolita”, powołując się na raport pozarządowej organizacji European Network of Transmission System Operators for Electricity, ostrzegała, że w drugiej połowie lipca grożą Polsce takie braki energii jak w lecie 2015 r. Jeśli długotrwałe upały spowodowałyby suszę, w godzinach szczytu (13-14) Polskie Sieci Elektroenergetyczne nie miałyby nadwyżki mocy, by pokryć krajowe zapotrzebowanie. A wtedy konieczne byłyby wyłączenia prądu – przede wszystkim dla dużych odbiorców przemysłowych.

Ten alarmistyczny ton łagodzi dr Jan Rączka. – Latem 2015 r. były bardzo niskie stany wody i nie można jej było wykorzystać do chłodzenia bloków energetycznych. Teraz są obfite opady i takie zagrożenie nie występuje. Ponadto coś się zaczęło zmieniać w naszym systemie energetycznym. Wyciągnięto wnioski z sytuacji sprzed dwóch lat, kiedy nie było skąd wziąć brakującej energii, a teraz mamy nowe połączenie transgraniczne z Litwą na 500 MW, co daje nam także dostęp do rynku skandynawskiego, który ma nadwyżki mocy. Jest zainstalowane połączenie transgraniczne z Niemcami na 200-300 MW i to też daje możliwość lepszego zarządzania energią. Są wreszcie nowe inwestycje – elektrownia gazowa we Włocławku. Oczywiście splotu niekorzystnych zdarzeń i ograniczania dostaw nie można wyklu-

DLA KOGO TE RADY?

A oto instrukcja, jaką na swojej stronie daje firma Tauron Dystrybucja:

- „Brak prądu tylko w Twoim mieszkaniu. Sprawdź bezpieczniki.
- Brak prądu na klatce schodowej i w całym budynku. Skontaktuj się z administratorem lub właścicielem budynku.
- Brak prądu na całej ulicy. To najprawdopodobniej planowe wyłączenie lub awaria”. Takie rady są zaiste niezwykle przydatne. Zwłaszcza gdy w mieszkaniu nie ma prądu i nie można włączyć komputera.

czyć, ale dokonał się znaczny postęp, powstają nowe bloki energetyczne w Koźenicach, Turoszowie i Opolu.

CZAS NA CZYSTĄ ENERGIĘ

Niedostatki mocy z elektrowni węglowych mogłaby uzupełnić energia ze źródeł odnawialnych. Dr Rączka zwraca uwagę, że zwłaszcza w lecie przydałyby się większe możliwości czerpania energii ze słońca. – Gdyby obecnie można było w trudniejszych dniach skorzystać np. z 3 GW energii

o prąd ze słońca i wiatru, prezes Instytutu Energetyki Odnawialnej, daje raczej smutną diagnozę rozwoju czystej energii. – Ustawa miała przyspieszyć rozwój zielonej i tzw. rozproszonej energetyki. Ale zamiast lasu wiatraków i dachów pokrytych panelami fotowoltaicznymi mamy zastój w inwestycjach, bo niepewność na rynku powstrzymywała przed wykładaniem pieniędzy na takie źródła energii.

Rzecz w tym, że nawet gdyby ktoś się zaparł, że postawi wiatraki, i tak nie ma szans na włączenie do sieci.

dzeń fotowoltaicznych, w Polsce zaledwie 500.

ZROBIĘ SOBIE ELEKTROWNIĘ

Podsumowując – coś się u nas ruszyło, aby poprawić możliwości energetyczne, choć wszystko wymaga woli politycznej i pieniędzy. Co w tej sytuacji może zrobić odbiorca? – Odbiorca przemysłowy powinien zlokalizować inwestycję na obszarze o lepszych parametrach dystrybucji – odpowiada prezes Forum Energii, dr Joanna Maćkowiak-Pandera, która kieruje energetycznym think tankiem

Zbieramy żniwo wieloletnich zaniedbań w tworzeniu solidnej infrastruktury energetycznej.



Gwałtowna burza w Landzmierzu (woj. opolskie) zniszczyła też linię energetyczną.

z fotowoltaiki, byłibyśmy dużo lepiej zabezpieczeni. Podobnie z energią z farm wiatrowych. Tutaj postęp szedł bardzo dobrze, mieliśmy tam ok. 5 GW, aż rząd tak zmienił regulacje, że wiatraki przestały się opłacać. Łagodniej postąpiono w sprawie fotowoltaiki. W tym wypadku podpisuje się wieloletnie kontrakty, ale zanim osiągniemy poziom 3 GW ze słońca, upłynie jeszcze sporo czasu. Rocznie przybywać nam będzie zaledwie po kilkaset megawatów. Ale i to nie jest bez znaczenia. Każde 100 MW czystej energii dobrze nam robi.

Grzegorz Wiśniewski, jeden z najbardziej niezłomnych wojowników

„W Polsce są obszary, gdzie do sieci energetycznej nie da się przyłączyć nawet niewielkiego źródła energii. W sieci jest ciasno, bo wiele lat temu zarezerwowali sobie w niej miejsce inwestorzy, którzy dotąd niczego nie zbudowali”, czytamy w raporcie Instytutu Jagiellońskiego.

Mamy więc do czynienia z problemem zaniechania, bo nie wdrożyliśmy na czas ustawy o odnawialnych źródłach energii. Prezes Wiśniewski szacuje, że spóźniliśmy się z tym ponad pięć lat. I właśnie to opóźnienie będzie pogłębiało ryzyko letniego blackoutu.

U naszego zachodniego sąsiada wykorzystywanych jest 1,5 mln urzą-

finansowanym przez Europejską Fundację Klimatyczną. – Odbiorca indywidualny niech zainwestuje we własne źródła, np. lokalny generator prądu lub źródła odnawialne i magazyny energii.

Czyli własna elektrownia słoneczna na balkonie lub na dachu, a akumulator w piwnicy, to już nie utopia ani *science fiction*. Takie projekty indywidualnych, mieszkaniowych lub osiedlowych minielektronii były zgłaszane przez lobby wiatrakowo-słoneczne, ale nikt ich nie traktował poważnie. Teraz może się okazać, że to coraz wyraźniejsza konieczność.

Mateusz Mazzini

Finanse Stolicy Apostolskiej nigdy nie były specjalnie transparentne. Skarbce, a potem konta bankowe Watykanu pozostawały jedną z najlepiej chronionych tajemnic papieżstwa. Rewolucja technologiczna i ekspansja kapitalizmu niewiele w tej kwestii zmieniły. Podczas gdy większość krajów Europy Zachodniej i Ameryki Północnej jeszcze niedawno zmagająca się z monstrualną recesją, ponosząc, m.in. konsekwencje nieudanych inwestycji, Instytut Dzieł Religijnych, bo tak oficjalnie nazywa się Bank Watykański, dryfował przez ten sztorm niemal nietknięty. Tajemnicą poliszynela jest, że w przeżyciu kryzysu pomagały mu tuzy światowej polityki i finansjery, w tym były sekretarz stanu USA Henry Kissinger. O ile jednak odporność na wstrząsy z zewnątrz była zawsze silną stroną Watykanu, o tyle teraz niebezpieczeństwo skandalu pojawiło się w murach Stolicy Apostolskiej.

DOBROWOLNA DAROWIZNA

Głównymi podejrzanymi w najnowszej aferze są włoski kardynał Tarcisio Bertone, były sekretarz stanu w czasie pontyfikatu Benedykta XVI, jedna z najlepiej rozpoznawalnych twarzy watykańskiej administracji w ciągu ostatnich kilkunastu lat, oraz Gianantonio Bandera, właściciel firmy budowlanej z Rzymu. Według doniesień „Il Messaggero”, włoskiej gazety najbliższej Watykanowi, Bertone miał polecić firmę Bandery jako wykonawcę renowacji jego nowego apartamentu, po tym jak opuszczał stanowisko wraz z przejściem na emeryturę Bene-

Z kont fundacji Bambino Gesù wyprowadzono ponad 400 tys. euro.

dykta XVI. Nie byłoby w tym nic podejrzanego ani nielegalnego, gdyby nie to, że koszty renowacji rzekomo miały zostać pokryte ze środków fundacji prowadzącej słynny szpital im. Dzieciątka Jezus. Za wyprowadzenie łącznej kwoty ponad 400 tys. euro z kont fundacji (z czego tylko ok. 200 tys. poszło na renowację, reszta według włoskiej prasy

została rozdzielona między oskarżonych) mieli być odpowiedzialni dwaj cywile – Giuseppe Profiti, były prezes fundacji, oraz Massimo Spina, jej skarbnik. Beneficjentem całej operacji była firma Bandery, której w formie bezprzetargowej powierzono przeprowadzenie remontu. Co więcej, istnieje realne podejrzenie, że przedsiębiorca otrzymał wynagrodzenie za remont dwukrotnie. Za pierwszym razem ze wspomnianej fundacji, za drugim – sponso-rem prac był Gubernatorat Państwa Watykańskiego. Żeby dodatkowo rzecz zagmatwać, instytucja ta miała uprzednio otrzymać pieniądze właśnie od kard. Bertonego.

SIEĆ POWIĄZAŃ

Były watykański sekretarz stanu od początku afery zarzekał się, że jest niewinny. O tym, że fundacja wpłaciła pieniądze na remont jego apartamentu, podobno nie wiedział, czego dowodem miała być późniejsza „darowizna” na rzecz szpitala.

Apartament o powierzchni niemal 700 m kw. powstał w 2013 r. z połączenia dwóch mieszkań na ostatnim piętrze Palazzo San Carlo w Watykanie. Sprawa tym razem jednak nie zakończy się na prasowych spekulacjach i rekompensatach finansowych. 18 lipca odbyło się pierwsze przesłuchanie w waty-

KORUPCJA U DZIECIĄTKA

Po serii skandali związanych z pedofilią Watykan walczy teraz z podejrzeniami o sprzeniewierzenie środków publicznych

Gdy sprawa wyszła na jaw w 2015 r., hierarcha „zwrócił” szpitalowi z własnej kieszeni 150 tys. euro. Twierdził jednak, że nie była to rekompensata dla szpitala (co oznaczałoby przyznanie się do winy), lecz jedynie „dobrowolna darowizna”. Nie pomogło to bynajmniej w uciszeniu kontrowersji, wręcz przeciwnie. Bliska Stolicy Apostolskiej prasa natychmiast zaczęła snuć domysły, skąd Bertone miał nagle 150 tys. euro na taką darowiznę, a łącznie prawie pół miliona na same operacje finansowe związane z remontem. Od razu pojawiły się spekulacje, że wszystko to było obliczone na uniknięcie opodatkowania przez zaangażowane strony lub posłużyło do prania brudnych pieniędzy, o co Bank Watykański już wielokrotnie w przeszłości posądzano.

kańskim sądzie, gdzie postępowanie wszczęto z urzędu. Stało się tak, gdyż śledczy dotarli do potwierdzenia przelewu z konta fundacji Bambino Gesù na konto firmy Bandery, co stanowi naruszenie watykańskiego prawa. Mieszkanie kard. Bertonego jest bowiem nieruchomością prywatną, a płaconie za remont takowej nie wchodzi w zakres celów fundacji, która działa według statutu akceptowanego bezpośrednio przez papieża. obrońcy oskarżonych wniesli o wycofanie zarzutów, powołując się na brak dowodów ich bezpośredniego zaangażowania w wykonanie przelewu. Jednym z argumentów obrony – przynajmniej, dość naciąganych – jest też teza, że sąd nie ma prawa traktować przelewu jako wykroczenia, bo w mieszkaniu kardynała docelowo miały się odbywać... przyjęcia charytatywne, na których zbierano by pie-

niądze na rzecz szpitalnej fundacji. Watykańscy prokuratorzy pozostali jednak nieugięci. Kolejne przesłuchanie zaplanowano na 7 września. Kard. Bertone ma się stawić na nim jako świadek obrony.

Andrea Tornielli, weteran wśród watykańskich korespondentów i jeden z największych ekspertów od administracji Stolicy Apostolskiej, zwraca uwagę, że udział byłego sekretarza stanu w procesie jest sprawą bezprecedensową. Dotychczas uchodził on bowiem za nietykalną szarą eminencję, człowieka pociągającego za wiele sznurków, odpo-

w w departamentach powiązanych z ekonomią. Jego wpływy urosły do tego stopnia, że stworzył coś w rodzaju własnej frakcji, do której należeli np. włoski finansista Libero Milone i australijski kardynał George Pell.

NIETYKALNY PRZED SĄDEM

Wygląda jednak na to, że w Watykanie coraz mniej hierarchów jest nietykalnych. W dodatku frakcja kardynała ma poważne kłopoty. Libero Milone, osobiście zaproszony przez kardynała do pracy za Spisową Bramą jako audytor generalny, mierzy

ści Włochów jako szara eminencja Watykanu, że stał się nawet wzorem popkulturowym. To na nim reżyser Paolo Sorrentino wzorował postać makiawelicznego kard. Voiella w niedawno emitowanym serialu „Młody papież”.

Proces z udziałem kard. Bertonego może być jednym z przełomowych wydarzeń pontyfikatu Franciszka. Podobnie jak zaplanowany dwa lata temu proces abp. Józefa Wesołowskiego, oskarżonego o prowadzenie pedofilskiej siatki o zasięgu globalnym (były nuncjusz na Dominikanie zmarł wkrótce po rozpoczęciu procesu), afera apartamentowa może uderzyć w kolejne watykańskie tabu, jakim jest tajemnica papieskich finansów i zarządzania nieruchomościami. Watykańscy od wielu lat zwracają uwagę na przywileje mieszkaniowe hierarchów. Większość, według nieoficjalnych źródeł aż 68 kardynałów i innych hierarchów, mieszka w luksusowych, ogromnych apartamentach, za które płaci po kilka euro za metr kwadratowy lub w ogóle nie płaci czynszu. Łatwo się domyślić, że nie ma to nic wspólnego z rynkowymi cenami najmu mieszkań obowiązującymi kilkaset metrów dalej, na terenie Rzymu. Z kolei Franciszek walkę z przepychem w Watykanie wypisał na sztandarach niemal od razu po rozpoczęciu pontyfikatu. Sam zrezygnował z przysługującego mu luksusowego apartamentu i nie jest tajemnicą, że podobnych gestów oczekuje od innych członków watykańskiej administracji. W tej materii

Kardynał Bertone uchodził za nietykalną szarą eminencję Watykanu.



wiedzialnego za kontakty z włoskim biznesem. Nigdy nie udało się udowodnić jego bezpośredniego zaangażowania w żadną malwersację finansową kojarzoną z Watykanem. Bertone znany jest z bliskich kontaktów z czołowymi włoskimi przedsiębiorcami. Opublikowana w 2015 r. książka „Avarizia” („Chciwość”), autorstwa Emiliana Fittipaldiego, odkrywcy afery apartamentowej, dokumentuje szczegółowo relacje kardynała m.in. z rodziną Agnellich, niegdyś właścicieli koncernu Fiat, i zarzuca mu powiązania z wieloma włoskimi syndykatami kryminalnymi. Szeroka sieć powiązań poza murami Stolicy Apostolskiej miała mu zapewnić silną pozycję wśród watykańskich hierarchów, zwłaszcza

Koszty renowacji apartamentu Bertonego miały zostać pokryte ze środków fundacji prowadzącej szpital im. Dzieciątka Jezus.

się obecnie z oskarżeniami o celowe ignorowanie nieprawidłowości w księgowości. Z kolei kard. Pell został odesłany do Australii z powodu zarzutów o pedofilię. Teraz wydaje się, że nadszarpnięta zostanie też reputacja samego Bertonego. Trzeba przy tym pamiętać, że kardynał jest jednym z najsilniejszych oponentów reform papieża Franciszka. Głęboko sprzeciwia się zmianom zwłaszcza na froncie administracyjnym, jak chociażby planowanej restrukturyzacji Kurii Rzymskiej. Kardynał przez ostatnie dziesięciolecie tak mocno zakorzenił się w świadomo-

natrafił jednak na podobny opór jak w walce ze skandalami pedofilskimi.

Na niewiele zdają się jego publiczne wypowiedzi, tworzenie specjalnych komisji czy powierzanie młodym księżom specjalnych zadań. Watykan jest być może najtrudniejszym na świecie państwem do reformowania. Powodem tego oporu jest nie tylko sięgająca setek lat tradycja, niezmienna od wieków, ale też struktura watykańskiej administracji, która składa się praktycznie z samych elit. W najbliższych miesiącach dowiemy się, czy sprawa Bertonego rozpocznie ich stopniowy demontaż. ■

Sąsiedzka współpraca z USA staje się dla Kanady coraz bardziej problematyczna

TRUDNE MAŁŻEŃSTWO

Aleksander Janusz

Przez ostatnie dziesięciolecie pozycja Ottawy w światowej geopolityce była dość łatwa do przewidzenia i zaplanowania. Pozostająca w niemal stałym sojuszu z USA Kanada mogła właściwie w ciemno podążać za decyzjami Białego Domu w stosunkach międzynarodowych. Nie odbierając absolutnie kanadyjskim szefom rządu i dyplomacji suwerenności w podejmowaniu decyzji, należy stwierdzić, że funkcjonowanie w cieniu światowego supermocarstwa, przez lata

Gdy Trudeau osobiście witał na lotnisku uchodźców z Syrii, Trump nakładał na nich zakaz wjazdu do USA.

głównego aktora zimnej wojny, było wygodne. Kanada potępiała te same dyktatury w krajach byłego Trzeciego Świata, wspierała te same międzynarodowe porozumienia handlowe, od siebie okazjonalnie dodając bardziej otwarte nastawienie wobec uchodźców czy przypisywanie większego znaczenia kwestiom ochrony środowiska i praw mniejszości etnicznych. Jednym słowem, choć relacje między Kanadą a Stanami Zjednoczonymi nie były określane mianem spe-

cialnych, jak w stosunkach z Wielką Brytanią, to pod wieloma względami należały do szczególnych. Z dzisiejszej perspektywy te czasy wydają się prehistorią stosunków międzynarodowych.

EKOLOGICZNY KLINCZ

Pierwsze sygnały zmian zaczęły się pojawiać kilka lat temu, gdy światowe autorytety na poważnie zaczęły przepowiadać nadchodzącą katastrofę klimatyczną. Z racji położenia geograficznego i kluczowej roli, jaką środowisko naturalne odgrywa dla tzw.

pierwszych narodów (ang. *first nations*), czyli rdzennych mieszkańców Kanady, władze w Ottawie już wtedy apelowały do światowej społeczności o podjęcie zdecydowanych działań w celu ograniczenia emisji gazów cieplarnianych. Prawdziwa zmiana w kanadyjskiej polityce zagranicznej, a co za tym idzie, w relacjach z USA, przysłała w listopadzie 2015 r., wraz z objęciem władzy przez Partię Liberalną. Nowy premier, będący niemal popkulturowym idolem w swoim kra-

ju Justin Trudeau, za niezaprzeczalny priorytet uznał ochronę środowiska i już na początku kadencji otrzymał potężne wsparcie z Białego Domu. Odchodzący z urzędu Barack Obama pod koniec drugiej kadencji postawił sobie za punkt honoru doprowadzenie do podpisania światowego porozumienia klimatycznego w Paryżu pod koniec 2015 r. Kiedy Obama powoli usuwał się w cień, gwiazda Trudeau zaczęła świecić pełnym blaskiem. Podczas konferencji klimatycznej ONZ w stolicy Francji szybko znalazł się na czele światowych przywódców walczących o ambitniejsze zapisy porozumienia klimatycznego. Jego dominująca pozycja w obozie ekologów stała się na tyle widoczna, że światowa prasa namaściła go na nowego lidera postępu, zwłaszcza w obliczu prezydentury Trumpa w USA i fali antyliberalizmu w Europie. W miarę jak przywództwo Stanów Zjednoczonych stawało się coraz bardziej wątpliwe, Kanada rosła w oczach, być może pierwszy raz w swojej historii budząc większy respekt niż starszy brat z południa.

KATALOG ROZBIEŻNOŚCI

Póki Barack Obama i Justin Trudeau mogli podczas oficjalnych

Justin Trudeau wie, że żaden kanadyjski premier nie może sobie pozwolić na złe stosunki z Waszyngtonem.

wizyt publicznie żartować z wyników w hokeju na lodzie, wszystko zmierzało w dobrym kierunku. Od kiedy jednak w Białym Domu rządzi Donald Trump, partnerstwo USA i Kanady staje się drogą przez mękę. Nowy prezydent Ameryki nie wierzy w negatywne skutki globalnego ocieplenia. Mało tego, jego polityka energetyczna wydaje się tak zaprojektowana, by to globalne ocieplenie jak najbardziej przyspieszyć. Trump nie tylko chce z powrotem przerzucić amerykański przemysł na węgiel (choć wzrost zatrudnienia w tym sektorze idzie bardzo opornie), ale przede wszystkim wycofał Stany Zjednoczone z międzynarodowego porozumienia klimatycznego, przypominając, że wybrali go „mieszkańcy Pittsburgha, a nie Paryża”. W tej sprawie Trudeau już nie może liczyć na wsparcie Waszyngtonu.

Ekologia to niejedyna płaszczyzna, na której premier Kanady i prezydent USA poruszają się w przeciwnych kierunkach. To, co dla Trudeau stało się powodem do dumy i co dało mu ogromną popularność w kraju i za granicą, dla Trumpa jest najmniej pożądanym obrotem spraw. Gdy Trudeau osobiście witał na lotnisku uchodźców z Syrii, Trump nakładał na nich zakaz wjazdu do USA. Kiedy premier Kanady powoływał do rządu kobiety, ludzi młodych, niepełnosprawnych, homoseksualistów i przedstawicieli mniejszości etnicznych, Trump wśród doradców i późniejszych członków rządu umieścił prawie wyłącznie białych mężczyzn po pięćdziesiątce (czysto figuratywna rola jego córki niewiele w tym układzie zmienia). Wreszcie niedawny kandydat Partii Republikańskiej zapowiedział radykalną zmianę postanowień porozumienia o wolnym handlu NAFTA, w wyniku którego ekonomia Kanady zyskała spory zastrzyk kapitału i mocy produkcyjnych po trudnych latach 80. Trump, adwokat protekcjonizmu, chce nałożyć dodatkowe ograniczenia na towary importowane z Kanady (głównie artykuły elektroniczne, drewno, ale też energię), faworyzując produkcję krajową. Można postawić tezę, że w obu tych krajach zmieniło się wszystko, poza ich po-

łożeniem geograficznym. Jak zatem przy tych różnicach prowadzić dialog z wciąż potężnym sąsiadem?

PRZYJAŹŃ Z ROZSĄDKU

Justinowi Trudeau nie można odmówić dobrych chęci. Zaraz po wyborze Trumpa pogratulował mu zarówno oficjalnie, jak i w mediach społecznościowych, publikując wpis zapewniający „o chęci kontynuowania niezwykle trwałej przyjaźni łączącej oba kraje”. Młody kanadyjski lider stara się też nie komentować kontrowersyjnych decyzji sąsiada z południa, przynajmniej bezpośrednio. Jeśli już nie jest w stanie się powstrzymać, stara się opakować krytykę w metafory. Jak chociażby w zeszłym tygodniu, kiedy to, będąc pierwszym kanadyjskim szefem rządu uczestniczącym w konferencji gubernatorów stanów USA, na pytanie o opinię w sprawie proponowanego przez Trumpa protekcjonizmu gospodarczego i nowych ceł w ramach NAFTA powiedział, że Kanada chce raczej cieńszej, a nie grubszej granicy ze Stanami, „przynajmniej w kwestii handlu”. Jednocześnie podczas spotkań z poszczególnymi gubernatorami Trudeau zapewnił, że Kanada będzie wspierać stany przy-

Zmiany te widoczne są nie tylko na najwyższym szczeblu. Łatwo znaleźć ich odzwierciedlenie również na poziomie zwykłych obywateli. Według czerwcowego badania instytutu Pew Research Center, obecnie tylko 43% Kanadyjczyków ma pozytywną opinię o USA, w porównaniu z 65% w ostatnich dniach drugiej kadencji Baracka Obamy. Choć nie ma jeszcze pełnych danych o imigracji od ostatnich wyborów, szacunkowe informacje wskazują, że coraz więcej Amerykanów migruje do Kanady (o ponad 17% wzrosła liczba osób przekraczających granicę), choć nie starają się oni jeszcze o legalizację swojego statusu. Reszta świata też zauważyła zmianę i upatruje w Kanadzie szansy na przejęcie światowego przywództwa w kilku chociażby dziedzinach. Bank inwestycyjny Goldman Sachs w jednym z niedawnych raportów pokusił się nawet o nazwanie Kanady „nowymi Stanami Zjednoczonymi z 2007 r.”, czyli symbolem wzrostu gospodarczego i prosperity.

Wszystko to sprawia, że szef kanadyjskiego rządu jest w relacjach z Donaldem Trumpem bardzo ostrożny. Doskonale wie, że jego orientacja polityczna, połączona z kompletnie przeciwnym wizerunkiem publicznym, może się przekształcić u Trumpa

Obecnie tylko 43% Kanadyjczyków ma pozytywną opinię o USA, w porównaniu z 65% pod koniec drugiej kadencji Obamy.

graniczne, które niezależnie od decyzji Białego Domu chcą realizować na swoim terenie postanowienia porozumienia z Paryża. Na nowego ambasadora w Waszyngtonie kanadyjski premier mianował stonowanego, doświadczonego dyplomatę Davida MacNaughtona, byłego biznesmena. MacNaughton jest znany w Kanadzie jako człowiek, „który zmienił oblicze administracji publicznej w mediach i w oczach społeczeństwa”. Rozpoznawalność zyskał dzięki sukcesowi firmy doradczej PARG, którą kolejne rządy wynajmowały do prowadzenia kampanii społecznych i komunikowania skutków reform w mediach. Po sukcesach w biznesie MacNaughton przeszedł do polityki, stając się jednym ze spin doktorów Partii Liberalnej. Można być pewnym, że sprawa wizerunku Kanady za południową granicą jest w dobrych rękach.

w negatywną obsesję. Dlatego jego posunięcia w stosunkach dwustronnych są bardzo wyważone. Trudeau ma świadomość, że żaden kanadyjski premier nie może sobie pozwolić na złe stosunki z Waszyngtonem. Co więcej, szybko uczy się na błędach. Po kilku gafach wobec Amerykanów, np. wpisie na Facebooku upamiętniającym Fidela Castro jako wielkiego przywódcę Trzeciego Świata, zorientował się, że nawet jego wizerunek gwiazdy internetu nie jest nietykalny.

Na razie, poza niezwykle krępującym uściskiem dłoni w czasie pierwszego spotkania, obu panom udało się nie skoczyć sobie do gardeł. Prędzej czy później jednak nadejdzie czas konfrontacji, zwłaszcza gdy Trump zapragnie spełnić obietnice renegotjacji układu NAFTA. Trudno przewidzieć, jak wówczas zachowa się Trudeau. Status gwiazdy internetu może mu wtedy nie wystarczyć. ■

WRZENIE W ZATOCE

Fałszywa informacja na stronie Katarskiej Agencji Informacyjnej doprowadziła do kryzysu na Półwyspie Arabskim

Michał Lipa

Na Półwyspie Arabskim zawrzało. „Iran reprezentuje potęgę świata islamu, której nie można lekceważyć. Niemądrze jest przeciwko niemu występować. To siła stabilizująca nasz region”, miał pod koniec maja oznajmić charyzmatyczny emir Kataru Tamim Ibn Hamad as-Sani, co na stronie internetowej zacytowała Katarska Agencja Informacyjna.

Przekaz podchwyciły inne media – głównie saudyjskie oraz emirackie – i zrobiło się gorąco. Jak to? Przywódca Kataru, państwa członkowskiego Rady Współpracy Zatoki Perskiej (zwanej też Arabską), ważnego sojusznika Stanów Zjednoczonych (Amerykanie mają tu dużą bazę wojskową), położonego w saudyjskiej strefie wpływów, mówi takie rzeczy? Ad-Dauha nie pierwszy raz wbija nóż w plecy Rijadowi, który rywalizuje z Teheranem, więc kto wie?

Na nic się zdały tłumaczenia, że strona internetowa katarskiej agencji została zhakowana (nie wiadomo przez kogo), a emir As-Sani niczego takiego nie powiedział. 5 czerwca Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Bahrajn oraz Egipt

Katar i Iran łączą gazowe interesy.

zerwały stosunki dyplomatyczne z Katar, oskarżając Ad-Dauhę o sympatyzowanie z Iranem, promowanie Braci Muzułmanów (m.in. za pośrednictwem telewizji Al-Dżazira), popieranie Hamasu i Hezbollahu oraz finansowanie organizacji dżihadystycznych.

W konsekwencji arabscy sąsiedzi zablokowali Katarczykom połączenia lądowe (Arabia Saudyjska), morskie (porty w Zjednoczonych Emiratach Arabskich) i lotnicze – z wyjątkiem drogi powietrznej w kierunku Iranu, a następnie Omanu, który ponadto udostępnił Katarowi swoje porty. Wydalili też obywateli katarskich, którzy

dotychczas swobodnie podróżowali między krajami Zatoki Perskiej. Choć transport stał się dla Kataru kosztowniejszy, Ad-Dauha była na taką sytuację przygotowana i uruchomiła alternatywne źródła dostaw – z Turcji, Iranu, a nawet Brazylii.

ZIELONE ŚWIATŁO

Do ostracyzmu przyłączyły się inne państwa sympatyzujące z Rijadem, m.in. Mauretania, Malediwy, Komory i uznane międzynarodowo władze w Jemenie, lecz nie względnie neutralny Oman czy Kuwejt, który próbuje odgrywać rolę mediatora. Nie przypadkiem stało się to tuż po wizycie Donalda Trumpa w Arabii Saudyjskiej. O ile Barack Obama próbował zbalansować amerykańską politykę na Bliskim Wschodzie, ocieplając nieco stosunki z Teheranem, o tyle Trump stawia na tradycyjny układ sojuszy. Stał się więc murem za monarchią saudyjską, co przypieczętowano podpisaniem gigantycznej umowy na zakup amerykańskiego uzbrojenia.

Triumf dyplomatyczny Rijadu potraktowano jako zielone światło do wszczęcia akcji dyscyplinowania najbardziej krnąbrnego członka Rady Współpracy Zatoki. Owa krnąbrność polega na tym, że dysponujący ogromnymi zasobami gazu Katar próbuje prowadzić niezależną politykę zagraniczną. Bierze pod uwagę własne interesy i położenie utrudniające prowadzenie agresywnej polityki wobec Iranu, czego z kolei oczekują Saudyjczycy.

Oliwy do ognia dolewa telewizja Al-Dżazira, od lat krytykująca arabskich dyktatorów, których władze saudyjskie przeważnie wspierają. Wyjątkiem jest prezydent Syrii Baszar al-Asad, konsekwentnie popierany przez Iran, czyli rywala Arabii Saudyjskiej w świecie islamu.

Obecny emir, rządzący Katar od czerwca 2013 r., kontynuuje politykę ojca, Hamada Ibn Chalify as-Sanie-

go – głównego architekta niezależnej polityki Ad-Dauh. Polega ona na tym, aby utrzymywać jak najlepsze stosunki nie tylko z członkami Rady Współpracy Zatoki, lecz również z regionalnymi konkurentami Arabii Saudyjskiej – Turcją oraz Iranem. To dzięki niemu w 1996 r. powstała znenawidzona przez Saudyjczyków Al-Dżazira, która rewolucjonizowała medialną mapę Bliskiego Wschodu, dostarczając społeczeństwom arabskim informacji, jakie pomijały media kontrolowane przez reżimy autorytarne.

Al-Dżazira nie mogła krytykować władz Kataru, jej przekaz był wy-



mierzony w inne arabskie dyktatury. Jednocześnie stacja sympatyzowała z Braci Muzułmanami, co także pokrywało się z linią polityczną emiratu i doprowadzało do furii Saudyjczyków. Ci bowiem zwalczają tych islamistów, na których nie mają wpływu, czego kulminacją był – wsparty przez Rijad – wojskowy zamach stanu w Egipcie w połowie 2013 r. Wskutek puczu władzę utracił wówczas islamiistyczny prezydent Muhammad Mursi.

ROMANS Z ISLAMISTAMI

Związki katarskiego emiratu z Braci Muzułmanami prowadzą do jednego z duchowych przywódców ruchu islamistycznego – Jusufa al-Karadawiego. Urodzony w 1926 r. egipski uczyony opuścił ojczyznę na początku lat 60. XX w. i osiadł w Katarze, gdzie zajął się studiami nad islamem. Wkrótce stał się dla Katarczyków niekwestionowanym

autorytetem w tej dziedzinie. Wywarł ogromny wpływ nie tylko na lokalnych duchownych i uczonych w prawie muzułmańskim, lecz także na katarskie władze i społeczeństwo. Powstanie Al-Dżaziry i rozwój internetu pozwoliły mu wypłynąć na szerokie wody świata muzułmańskiego. Otrzymał bowiem możliwość prowa-

Dysponujący ogromnymi zasobami gazu Katar próbuje prowadzić niezależną politykę zagraniczną.

dzenia programu telewizyjnego „Szarijat i życie”, regularnie docierającego do kilkudziesięciu milionów widzów. Z kolei jego teologiczne opinie, fatwy, były bacznie śledzone na stronie internetowej IslamOnline.

Al-Karadawi jest przedstawicielem umiarkowanej wersji ruchu islamiistycznego – konkurencyjnej wobec salafizmu i wahabizmu stanowiącego ideologiczny fundament państwa Sau-

dów. Napięcie pomiędzy reprezentantami obydwu nurtów to jednak nie tylko kłótnia w rodzinie. To sprzeczne interesy, inaczej ulokowane sympatie polityczne, walka o rząd dusz.

Podział ten stał się bardzo jaszkrawy w czasie arabskiej wiosny w 2011 r. Katarskie władze, podobnie jak Turcja, wsparty wówczas rewolu-

cyjne ruchy islamistyczne – zwłaszcza egipskich Braci Muzułmanów oraz założoną przez nich Partię Wolności i Sprawiedliwości. Z kolei Arabia Saudyjska i jej regionalni sojusznicy sympatyzowali z przedstawicielami obalonych reżimów i szukali sposobów na przywrócenie *status quo*. W efekcie wsparte przez Rijad egipskie wojsko obaliło prezydenta Mursiego, co zapoczątkowało pacyfikację islamistycznego powstania (w połowie 2013 r.), uwieńczoną uznaniem Braci Muzułmanów za organizację terrorystyczną. W tym samym czasie poddany ostracyzmowi emir Kataru, ojciec obecnego przywódcy, musiał posypać głowę popiołem i podać się do dymisji. Miało to oznaczać odejście od dotychczasowej polityki, ale – jak pokazuje obecny kryzys – nadzieje Saudyjczyków okazały się płonne.

NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

Zarzuty o sympatyzowanie z Iranem nie są bezpodstawne. Obydwa kraje dzielą prawo do wydobywania gazu naturalnego ze złoża South Pars/North Dome w Zatoce Perskiej, jednego z największych na świecie. Nic dziwnego, że władze Kataru dbają o jak najlepsze relacje z Teheranem. Jak zauważył Jim Krane z Rice University w Teksasie: „Niegdyś Katar odgrywał rolę wasala Arabii Saudyjskiej, ale wykorzystał możliwości, jakie daje bogactwo gazowe, do zbudowania niezależności”.

Sąsiadom to nie może się podobać – zwłaszcza że Katarczycy nieraz udowadniali, że poważnie traktują ▶

Najsilniejszy sojusz łączy Waszyngton z Rijadem. N. król Arabii Saudyjskiej, prezydent Egiptu oraz Donald Trump z małżonką w maju br. podczas otwarcia Globalnego Centrum do Walki z Ekstremistyczną Ideologią.



► irańskiego partnera. Szczególnie w 2006 r., kiedy przedstawiciel Kataru w Radzie Bezpieczeństwa ONZ zagłosował przeciwko rezolucji nr 1696, wzywającej Iran do zaprzestania wzbogacania uranu. Katar był wówczas jedynym państwem, które zagłosowało przeciwko uchwaleniu antyirańskiej rezolucji. Z drugiej strony Ad-Dauha może liczyć na Teheran, o czym świadczy jednoznacznie prokatarska postawa Iranu w obecnym kryzysie.

Władzom Kataru zarzuca się także wspieranie niektórych organizacji terrorystycznych – głównie powiązanych z tzw. Państwem Islamskim. Trudno zweryfikować te oskarżenia, aczkolwiek z pewnością jest w nich ziarno prawdy. Inna sprawa, że dżihadysty znajdują sponsorów również w Arabii Saudyjskiej oraz innych krajach Półwyspu Arabskiego. Nie przeszkadza to Rijadowi piętnować z tego powodu Ad-Dauhy. Tak czy inaczej – oficjalnie nikt do wspierania Państwa Islamskiego czy Al-Kaidy się nie przyznaje, a obie strony przerzucają się dowodami na to, że właśnie przeciwnik prowadzi podwójnym standardem.

ULTIMATUM I CO DALEJ?

Przełomowym momentem miało być dziesięciodniowe ultimatum wo-

bec Kataru, wystosowane 22 czerwca za pośrednictwem Kuwejtu przez władze Arabii Saudyjskiej, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Bahrajnu i Egiptu. Żądano w nim przede wszystkim zamknięcia Al-Dżaziry, likwidacji tureckiej bazy wojskowej w Katarze i zaprzestania wspólnych manewrów wojskowych, jak również ograniczenia stosunków z Iranem i zaprzestania sponsorowania organizacji terrorystycznych (do czego Katar się nie przyznaje).

Katarczyści nie wykonali żadnego ruchu świadczącego o podporządkowaniu się ultimatum, złagodzone-mu następnie do tzw. sześciu zasad,

Ad-Dauha chce utrzymywać jak najlepsze stosunki nie tylko z członkami Rady Współpracy Zatoki, lecz również z Turcją i Iranem.

których Katar powinien przestrzegać. Sytuacja skomplikowała się na tyle, że do gry włączyła się Turcja, która wysłała do emiratu swoje wojska – w razie gdyby któryś sąsiad chciał siłowego rozwiązania problemu. Turcja ma prawo posiadać bazę wojskową w Katarze, co reguluje umowa z 2015 r. Efekt jest zatem taki, że zamiast złamać As-Saniego, izolacja Kataru doprowadziła do zacieśnienia stosunków Ad-Dauhy z Teheranem i Ankarą.

Wydaje się, że nawet Stany Zjednoczone nie wiedzą, jak się zachować

w zaistniałej sytuacji. Prezydent Trump początkowo opowiedział się po stronie Saudyjczyków, jednak w interesie Waszyngtonu leży jak najszybsze wygaszenie konfliktu. Przedstawiciele Pentagonu już zapowiedzieli, że nie przewidują zmiany lokalizacji strategicznej bazy wojskowej Al-Udajd, zainstalowanej na terytorium Kataru na początku XXI w., z której m.in. dokonywano nalotów na Państwo Islamskie.

Zresztą w pierwszej połowie lipca br. Amerykanie zmienili ton i zaczęli coraz głośniejsze zapewniać, że zależy im na dobrych relacjach z Ad-Dauhą. Ma o tym świadczyć

podpisana 11 lipca umowa podkreślająca konieczność wspólnej walki z terroryzmem. Dużą w tym zasługą sekretarza stanu Rexa Tillersona, który włożył wiele wysiłku w łagodzenie konfliktu, czego skutkiem miałyby być zaprzestanie bojkotu Kataru przez Arabię Saudyjską i jej sojuszników.

Kolejną nadzieję na przełamanie impasu miała przynieść wizyta w Arabii Saudyjskiej Recep Tayyipa Erdoğan. 23 lipca gościł on w Rijadzie, gdzie rozmawiał z saudyjskim monarchą – królem Salmanem, po czym udał się do Kuwejtu, który odgrywa rolę mediatora. Arabski *tour* prezydenta Turcji zakończył się w Ad-Dausze, gdzie Erdoğan spotkał się z emirem As-Sanim. Nic jednak nie wskazuje na to, aby tureckiemu przywódcy udało się rozwiązać kryzys.

Rozgrywka, będąca największym od wielu lat kryzysem politycznym na Półwyspie Arabskim, trwa zatem, przybierając formę przeciągania liny, z którego maleńki, ale bajecznie bogaty Katar wcale nie musi wyjść przegrany. Więcej do stracenia ma Arabia Saudyjska, która – o ile przynajmniej częściowo nie postawi na swoim – może być postrzegana jako kolos na glinianych nogach, co podważyłoby jej mocarstwowe ambicje na Bliskim Wschodzie.

Autor jest doktorem nauk społecznych, pracownikiem Instytutu Kultur Śródziemnomorskich i Orientalnych PAN oraz wykładowcą akademickim. Zajmuje się procesami politycznymi i społeczno-gospodarczymi na Bliskim Wschodzie

Janek wciąż czeka na rodziców

Podobnie jak 19 tysięcy opuszczonych dzieci w Polsce, które marzą o kochającej rodzinie.



Stwórz dom dla dzieci, takich jak Janek.
Zostań rodzicem w SOS Wiosce Dziecięcej.

www.rodzicesos.org
tel. 22 460 92 51, 600 727 466

Partner medialny:



Partner Strategiczny:



Inne możliwe



Roman Kurkiewicz

Regulamin obowiązuje wstecz, bo jeśli Boga, konstytucji, ścieżek rowerowych ani wódki bezalkoholowej nie ma – to wszystko wolno.

Kto może manifestować?

Nie każdy może manifestować, bo gdyby każdy demonstrował, to nie byłoby miejsca dla nikogo i manifestacja nie mogłaby się odbyć. Nie mogą manifestować bardzo zdeterminowani, bo ich stopień zaangażowania może się im i organizatorom wymknąć spod kontroli, a co to za demo, z której co chwilę ktoś i coś się wymyka. Brak zaangażowania też nie jest wskazany, bo wówczas może dojść do tzw. nieporozumień tożsamościowych, a nie ma niczego strasznieszego niż demo w samosprzecznych kwestiach. Groźna jest też senność. Jakies zaangażowanie jest jednak wskazane, a kto je wskazuje, okaże się w kolejnych znaczących punktach.

Jak ma być ubrany?

Demonstrujący mogą być ubrani dowolnie, choć zaleca się powagę w stroju i kolorze. Przy czym jednorodność barw czarnych może wpływać na obniżenie nastrojów, a co gorsza, wywoływać wrażenie nadreprezentacji anarcho-strajko-kobiecych środowisk. Zalew kolorów może z kolei powodować dezorientację, bo w końcu każdy niemal

ne. Można wytwarzać inne, własne instrumenty manifestacyjne, pisze o tym periodyk o muzyce współczesnej „Glissando”, wystarczy śledzić. Bez muzyki nie ma zmiany politycznej, obecność formacji bębniarskich najlepiej wroży temu nurtowi protestów. Wuwuzele – nie! Bębny – tak!

Czy wolno pić, palić i kłaść?

Z piciem trzeba uważać, bo są konsekwencje. Fizjologiczne, kulturowe, a może i karne. Z paleniem jest problem, bo niektórzy myślą, że jak usiądą w tłumie i zapalą, to nie widać chmury dymu. W całej tej przygodzie niekiedy trudno odróżnić dym od ognia. Najlepiej jest z przekleństwami – są zdrowym wyrazem emocji i zaangażowania, wszyscy je znają, poza tym pozwalają rozróżnić, czy jest się jeszcze na demonstracji, czy już na procesji.

Jak szybko musi iść demonstracja?

Dopóki nie ma potrzeby marszobiegów czy dzięki ucieczki – jest łagodnie. Co nie znaczy, że należy kroczyć bardzo wolno, bo można znużyć się tempem, a manifestant znużony jest ademonstracyjny. Iść to iść, a stać to stać, siedzieć to siedzieć. Dla władzy każda z tych aktywności jest groźna, te bezruchowe nawet bardziej dotkli-

KRÓTKI REGULAMIN DEMONSTROWANIA (PRZECIW PiS)

kolor coś symbolizuje, a nie we wszystkich sprawach zwoływane są demonstracje. Nakrycia głowy są zasadniczo dozwolone, na razie na kaski i hełmy za wcześnie.

Od ilu lat można manifestować?

Teoretycznie w każdym wieku można manifestować, ale po co? I tak starsi wiedzą lepiej. Problemem jest to, że nie wiemy, kiedy zaczynają się starsi, oraz to, że często starsi są młodszy od tych, którzy są od nich młodszy. Zagrożeniem jest również to, że młodszy, którzy nie pamiętają, nie wiedzą, nie przeżyli, mimo to też będą czegoś chcieli. Co gorsza, będą umieli to wykrzyknąć, wyskandować, bo jeszcze im się chce. Można rozważyć rotacyjną obecność młodych, bo inaczej trzeba będzie gdzieś schować lament, że nie ma młodych, że w naszych czasach byli sami młodzi, a teraz młodzi są gdzie indziej i dlatego są sami starzy. Młodzi mają także niebezpieczną skłonność do wznoszenia haseł absurdalnych i nieoczywistych, co zaburza impet i wektory protestów, które są już wyznaczone (przez starych).

Co wolno krzyczeć i kto akceptuje wszystkie hasła?

Jest oczywiste, że nie można krzyczeć wszystkiego, bo to nic by nie znaczyło albo znaczyło za wiele. Dlatego przy każdym namiocie organizacyjnym winno funkcjonować Biuro Akceptacji Haseł i Okrzyków, gdyż w przeciwnym razie będziemy albo niezrozumiani, albo niestęszani, albo niespójni, albo nazbyt monotematyczni. Jedno jest pewne – żadnych improwizacji. Nie może być tak, że każdy coś sobie krzyknie, a potem inni za nim, a nawet i wszyscy. Okrzyki są jakby walutą demonstracji i muszą mieć centralnego emitenta. I muszą z jednego pnia, czyli gardła, być wywiedzione. Gardłowanie woła o centralizację. I ją dostanie.

Kto dopuszcza wuwuzele do głosu?

Nikt. Społeczeństwo, którego głosem są trąby, zasłużyło na rządy PiS. Wuwuzele powinny być rekwirowane i bezzwłocznie utylizowa-

we. Szczególnie kiedy siedzący tłum się drze: „Będziesz siedział!”, może to budzić dyskomfort poznawczy, bo niby gdzie, dlaczego, jak to? Na ulicy będę siedział? Z tą wrzeszczącą bandą mord zdradzieckich? To może każdego otrzeźwić, nawet jak nie pił.

Czy wolno opuszczać tłum?

Wolno każdemu, kto do niego przystąpił, ale nie bez zasad. Nie za wcześnie, nie za szybko, nie kiedy hymn, nie kiedy Balcerowicz, Schetyń, Petru, o pardon – nie tak, na odwrót. Generalnie z wyczuciem godnym słusznej sprawy, w środku nocy. Jak się zrobi chłodniej, to wrócimy do tematu.

Komu wolno śpiewać?

Przed wszystkim tym, którzy potrafią, ale to nie jest wiążące. Dobrze by było, żeby ci, którzy do śpiewania zostali zaproszeni, mogli zaśpiewać swoje. To nie Opole, bez werdyktów w czasie piosenki lepiej wybrzmi całość. Nie ma piosenek, które wszyscy lubimy, podobnie z wieloma innymi kwestiami. Tłum to tłum, może się rozśpiewać.

Kto może wleźć na scenę?

Kto ma siłę, kto ma coś do powiedzenia, kto umie zrobić to zrozumiale i komunikatywnie lub ekspresyjnie, kto bywa pozbawiany głosu, kto rzadko lub w ogóle nie bywa w telewizji, kto ma dowolną pleć, ale nie musi być mężczyzną po sześćdziesiątce (he, he, sam mam 55, więc ja mogę). Kto myśli, reaguje, chce, żąda, nazywa i ma dystans. Wystarczy, bo przestaną przemawiać.

Jakie sankcje przewidziane są za nieszanowanie regulaminu?

Zesłanie do magazynu wuwuzeli.

Gdzie odbieramy wynagrodzenie za manifestację?

Tam gdzie zawsze.

Krzysztof Piławski

„Czas tego Sejmu, w tym składzie, dobiegł końca”, obwieścił dziennikarzem Włodzimierz Czarzasty chwilę po uchwaleniu przez posłów ustawy o Sądzie Najwyższym. Jeszcze tego samego dnia, 20 lipca, Zarząd Krajowy Sojuszu Lewicy Demokratycznej zaapelował „do wszystkich sił parlamentarnych i pozaparlamentarnych o rozważenie możliwości przeprowadzenia wspólnych działań w celu skrócenia kadencji Sejmu”. To wezwanie utonęło w powodzi ważniejszych informacji. Podobnie jak poprzednie w tej samej sprawie, wystosowane przez Czarzastego w czasie ostrej konfrontacji w Sejmie w grudniu ub.r.

SONDAŻOWE SŁUPKI

Wołanie o przedterminowe wybory było zapewne desperacką próbą zwrócenia uwagi na SLD, bo ich rozpoznanie mogłoby jeszcze bardziej pogрузić partię. W sondażach Kantar Public wykonanych 21-22 lipca (dla „Gazety Wyborczej”) i 22-24 lipca (dla TVP) Sojusz uzyskał poparcie odpowiednio 3 i 4%, a więc ponownie znalazłby się za burtą. Politycy SLD bacznie śledzą sondażowe słupki, o czym świadczy wypowiedź Marka Dyducha, obecnie członka Zarządu Krajowego, a dawniej pisa i sekretarza generalnego partii, po czerwcowym posiedzeniu Rady Krajowej: „Wyznaczyliśmy sobie plan minimum: plus 1, plus 2, plus 3, czyli w tym roku średnie poparcie powyżej 6%, w przyszłym roku średnie poparcie powyżej 8% i w 2019 r., kiedy odbędą się wybory do parlamentu, średnie poparcie powyżej 11%”.

Mimo zapewnień, że po utracie mównicy sejmowej ich trybuną staną się ulice i place, politycy SLD nie

Politycy SLD nie zerwali z gabinetowym charakterem partii, wciąż tęsknią do dawnego życia, konferencje prasowe organizują w Sejmie.

zerwali z gabinetowym charakterem partii, wciąż tęsknią do dawnego życia, organizując w gmachu Sejmu konferencje prasowe. Ulice, które za rządów PiS okazały się ważnym, a niekiedy skuteczniejszym niż opozycja parlamentarna ele-

Głos lewicy nie przebił się w czasie protestów. Jej powrót do parlamentu pozostaje niepewny

mentem oddziaływania na władzę, po wyborach zajął Komitet Obrony Demokracji, stając murem za Trybunałem Konstytucyjnym. SLD dość długo odnosił się do KOD z rezerwą. Propisowski portal wPolityce.pl z satysfakcją cytował wypowiedzi Włodzimierza Czarzastego o ruchu Mateusza Kijowskiego: „To środowisko trochę syte. Ja tam strasznej biedy i wykluczonych nie widzę. SLD do tego ręki nie przyłoży”. Jednak Sojusz jako samodzielna siła na ulicy nie zaistniał i po kilku miesiącach przyłączył się do akcji KOD. Politycy SLD nadrabiali zaległości, występując z kodońskiej trybuny. Sojusz wszedł też – m.in. razem z Nowoczesną i stowarzyszeniem Inicjatywa Polska Barbary Nowackiej – do utworzonej w maju ub.r. pod parasolem tego ruchu Koalicji Wolność Równość Demokracja. Uwiędła ona wraz z KOD.

Poza pochodem na 1 Maja SLD nie miał pomysłu, z jakimi hasłami wyprowadzić ludzi na ulice. Przyglądał się więc tysiącom rozłożonych parasolek w czasie protestu przeciwko zaostreniu ustawy antyaborcyjnej w październiku ub.r. A przecież pięć miesięcy wcześniej Włodzimierz Czarzasty zapewniał: „Gwarantuję, że zbiorę pół miliona podpisów o referendum w sprawie aborcji”. Aktywniejsza w staraniach o sprawy kobiet okazała się Barbara Nowacka, zbierając ponad 200 tys. podpisów pod projektem ustawy o liberalizacji przepisów antyabor-

cyjnych i przedstawiając go z trybuny sejmowej. Sojuszowi niełatwo dotrzeć także do środowisk LGBT, choć na tegorocznej warszawskiej Paradzie Równości można było dostrzec jego platformę. W 2011 r. SLD na własne życzenie stracił

SMUTEK

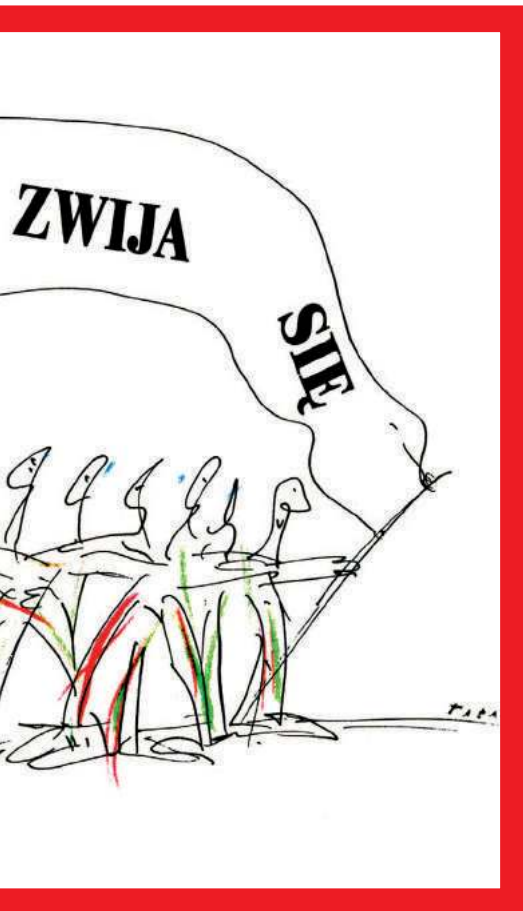


Roberta Biedronia, a społeczność LGBT nie jest już skazana na lewicę, bo kandydatem na prezydenta Warszawy jest Paweł Rabiej z Nowoczesnej, który upublicznił swoją orientację seksualną.

POWRÓT STARYCH TWARZY

W wielotysięcznym Marszu Wolności zorganizowanym 6 maja przez Platformę Obywatelską szli zwartą grupą emeryci mundurowi objęci tzw. dezubekizacją, pokazując gotowość poparcia formacji, która – bez względu na kierunek polityczny – przywróci im świadczenia. Kilku procentowy SLD mimo autentycznego wsparcia – szczególną rolę odgrywa tu cieszący się autorytetem w środowiskach mundurowych europoseł Janusz Zemke – takich gwarancji nie daje.

LEWICY



W wielu miejscowościach obrony przeznaczonych do tzw. dekomunikacji ulic, placów i rond podjęli się sympatycy mniejszych ugrupowań i środowisk lewicowych, aktywności miejscy czy zwykli mieszkańcy „niesłusznych” adresów. Reakcja SLD sprowadzała się – choć nie wszędzie, jak pokazała obrona ronda Edwarda Gierka w Sosnowcu – do rutynowych oświadczeń i apeli. Za mało było pomysłowych akcji w ramach wspólnej ogólnopolskiej kampanii potążonej z aktywnością w sieci. A mogłyby one procentować, dosłownie, w przyszłorocznych wyborach samorządowych. Sprawa nazw ulic i placów wydaje się już przesądzona, ale PiS otworzyło nowy front – dekomunikację pomników i tablic. Czy SLD to wykorzysta?

W ostatnich tygodniach Leszek Miller łączy aktywność w mediach z aktywnością w partii, co wskazuje, że nie zamierza być tylko emerytowanym politykiem komentującym bieżące wydarzenia. Na czerwcowej Radzie Krajowej zapowiedziano masowy powrót „starych twarzy”. Wszyscy byli posłowie, którzy mają zamiar kandydować do Sejmu z list SLD, zostali zobowiązani do kandydowania w wyborach samorządowych do sejmików wojewódzkich. W tej sy-

cej niż SLD). Wybite na nim motto – „Polska dla milionów, nie dla milionierów” – nie oddaje obecnego charakteru partii upominającej się bardziej o demokrację i „obyyczajówkę” (aborcję, in vitro, związki partnerskie, świeckie państwo) niż o 75-procentowy podatek dla najbogatszych i tanie czynszówki. Razem było najaktywniejszym środowiskiem lewicowym w czasie protestów przeciwko ustawom o sądach, nie musiało jak SLD odpiierać zarzutów, że nie brało w nich udziału. Już od 15 lipca cha-

PiS otworzyło nowy front – dekomunikację pomników i tablic. Czy SLD to wykorzysta?

tuacji powtórzenie wyniku z 2014 r. – 8,79% poparcia dla listy SLD Lewica Razem w wyborach do sejmików w skali ogólnopolskiej – może się okazać jeszcze trudniejsze.

Sojusz jednak wciąż ma atuty. Pod względem liczebności mógłby nakryć czapkę pozostałe partie i stowarzyszenia lewicowe razem wzięte. W wyborach na przewodniczącego SLD głosowało 14 646 członków. Jako jedyna partia lewicowa jest w stanie wystawić kandydatów na radnych we wszystkich powiatach i w setkach gmin. Szyld SLD – w przeciwieństwie do nazw Razem i Inicjatywa Polska – jest powszechnie rozpoznawalny. Sojusz ma nadal kilku eurodeputowanych, kilkunastu prezydentów miast, rzeszę radnych, struktury.

DEMOKRACJA I OBYCZAJÓWKA

W ostatnich sondażach Kantar po piętach depcze mu partia Razem

rakterystyczne fioletowe flagi (kolor zapożyczony od Podemos, podkreślający, że Razem jest partią oburzonych) powiewały w Warszawie i innych miastach. Przed Pałacem Prezydenckim z wiecową werwą przemawiali Agnieszka Dziemianowicz-Bąk i Adrian Zandberg. Wcześniej Razem m.in. zbierało podpisy pod wnioskiem o referendum w sprawie reformy edukacji, zgłosiło projekt refundacji in vitro w Warszawie, sprzeciwiało się finansowaniu Światowych Dni Młodzieży z publicznych środków, wezwało uczestników protestu przeciwko zakazowi aborcji pod Sejmem do ubrania się na czarno (stąd się wzięła nazwa „czarny protest”).

Początkowo partia stroniła od demokracji i „obyčajówki”, koncentrując się na sprawach społecznych. W słuszności tego wyboru utwierdzał ją socjalny i zarazem dość konserwatywny Ryszard Bugaj, deklarując, że zagłusuje na Razem

SLD jako jedyna partia lewicowa jest w stanie wystawić kandydatów na radnych we wszystkich powiatach i w setkach gmin.

(3 i 2%). Jej nieformalny lider – Razem ma kolegialne kierownictwo – Adrian Zandberg nie wierzy w sondaże, przekonując, że o wynikach wyborów przesądza ostatnie kilka miesięcy batalii o mandaty. Podobnie jak Sojuszowi marzy mu się dwucyfrowy wynik w wyborach parlamentarnych.

Profil Razem na Facebooku ma ponad 90 tys. fanów (o 50 tys. wię-

w wyborach. Bugaj to dla partii antypeerelowskiej (w języku Razem: niekomunistycznej lewicy), odwołującej się do Polskiej Partii Socjalistycznej i Jacka Kuronia, ważna postać – nie tylko dawny opozycjonista, ale i przywódca Unii Pracy w okresie jej największej świetności, nieprzejeany jak działacze Razem wróg SLD. W czerwcu Zandberg odniósł symboliczne zwycięstwo nad Millerem ▶

► – zajął jego miejsce jako felietonista „Super Expressu”, dzięki czemu może docierać do zwykłych ludzi. Powiedzenie, że Razem problemy społeczne zarzuciło, byłoby niesprawiedliwe – w lipcu Zandberg odkrył, że ustawa o Krajowym Zasobie Nieruchomości dopuszcza eksmisję na bruk i jest groźna dla lokatorów.

NORMALNA PARTIA

Razem założyły osoby w większości młodsze od weterana Zandberga (rocznik 1979, był w Unii Pracy, szefował jej młodzieżówce), pochodzące z rodzin inteligenckich, wykształcone i z aspiracjami, ale bez etatu i jasnych perspektyw. Bliskie im były ruch oburzonych, walka z bogatymi i neoliberalizmem, a także niezrozumiałe dla starszych pojęcia: prekariat, prekaryzacja, gentryfikacja. Lepszą opcją niż niewolnictwo kredytowe są dla nich budowane przez państwo tanie czynszówki

robą. Odcięcie się od SLD ma budować wizerunek prawdziwej lewicy, z kolei odcięcie od PO i Nowoczesnej potwierdzać, że Razem brzydzi się liberałami. Partia utrzymuje kontakty z centralą OPZZ, zaprzyjaźniła się ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, ma w planach wspólny start w wyborach samorządowych z Zielonymi, chce przyciągnąć do koalicji ruchy miejskie. Równocześnie nie może ignorować opinii sympatyków wyrażanych na FB: „Chciałbym się dowiedzieć, czym się różni Razem od PO lub Nowoczesnej? Na manifestacjach jesteście razem, protestujecie za tym samym, macie te same hasła na kartonach i podobnie jak one nic prócz ataku na rząd nie proponujecie”.

ZABRAKŁO BARBARY NOWACKIEJ

W sondażach Razem jedynie sporadycznie przekracza wynik uzyskany w wyborach. Nadal sympatyzuje

„Uważam, że ma szanse, ale wolalabym, byśmy wystawili kobietę”, skomentowała niewymieniona z nazwiska działaczka.

Przed wyborami parlamentarnymi Razem miało 2 tys. członków, od tego czasu urosło nieznacznie, a to oznacza problemy z organizacją kampanii wyborczych. Dlatego na FB ogłoszono akcję werbunkową „Dołącz do nas” (w realu, nie wirtualnie).

„Nie ma wakacji od demokracji!”, wołała Agnieszka Dziemianowicz-Bąk przed Pałacem Prezydenckim, którego gospodarz udał się na wypoczynek na Hel. W czasie masowych protestów zauważono nieobecność jeszcze jednej osoby – Barbary Nowackiej. Na jej profilu na FB (prawie 90 tys. lajków) dociekano: „Gdzie Pani się podziewała? Przez ostatnie dni, a dokładnie ostatnie siedem, przychodziłem na manifestacje dla Pani, aby Pani posłuchać, zobaczyć, a Pani nie było!!!!”. A przecież Barbara Nowacka od początku protestów KOD była nieodłącznym elementem pejzażu protestującej ulicy, trudno było sobie wyobrazić manifestacje bez jej płomiennego przemówienia. Udział w tych akcjach budował jej popularność, pozycję, umożliwił częste pojawianie się w mediach. Koszt, jaki za to zapłaciła – oburzenie SLD i Razem, że brata się ze Schetyną i Petru – nie był wysoki.

12 czerwca Nowacka poinformowała na FB o złożeniu rezygnacji z funkcji wiceprzewodniczącej Twojego Ruchu, zapowiadając tajemniczo: „Czas na nowe wyzwania”. Pojawiły się spekulacje, że założy nową partię wraz z Robertem Biedroniem. Inicjatywa Polska kierowana przez Nowacką jest stowarzyszeniem, a nie partią, w dodatku liczy zaledwie kilkaset osób. W przeciwieństwie do SLD i Razem IP nie otrzymuje dotacji z budżetu. Problemem są też różne perspektywy członków stowarzyszenia – samorządowców, na ogół byłych członków SLD, interesuje przede wszystkim reelekcja, a nie generalny program naprawy Polski.

Nowacka zaczynała działalność polityczną u boku Zandberga w młodzieżówce Unii Pracy, a w 2015 r. była liderką Zjednoczonej Lewicy, której trzon stanowił SLD. Wkrótce będzie musiała podjąć decyzję, czy popłynąć na głęboką wodę, samodzielnie iść do wyborów samorządowych, czy też wrócić na znany teren.

Krzysztof Piławski

Nie słychać, by Razem budowało świetlice na biednej prowincji zamiast biur partyjnych.

i etat, a nie tzw. elastyczne formy zatrudnienia, czyli śmieciówki.

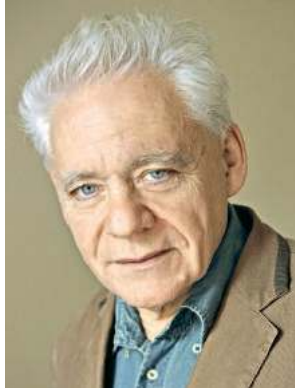
Początkowo Razem obojętnie odnosiło się do protestów przeciwko przejmowaniu przez PiS Trybunału Konstytucyjnego, uznając, podobnie jak partia Jarosława Kaczyńskiego, że to sprawa, która Polaków interesuje znacznie mniej niż praca i bezpieczeństwo socjalne. Jednak PiS odebrało mu sporo tlenu, przystępując do realizacji obietnic wyborczych: 500+, godzinowej płacy minimalnej, obniżenia wieku emerytalnego, budowy mieszkań na wynajem... Razem zostało wciśnięte w niszę i aby zaistnieć, musiało wejść w główny nurt życia politycznego. Przełomem było „opublikowanie” za pomocą rzutnika 9 marca 2016 r. na gmachu Kancelarii Prezesa Rady Ministrów wydanego tego dnia orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego o niekonstytucyjności ustawy o TK przyjętej przez Sejm. Prawicowy portal Niezależna.pl napisał: „Lewica dostała wściekizny”.

Razem stara się trzymać osobno, za co jest krytykowane, jednak tej taktyki nie da się wytłumaczyć jedynie sekciarstwem czy dziecięcą cho-

z tym ugrupowaniem głównie wykształcona i wcale nie taka biedna młodzież wielkowiejska, jego twierdzą pozostaje Warszawa. Nie słychać, by Razem – zgodnie z szumnymi zapowiedziami – budowało świetlice na biednej prowincji zamiast biur partyjnych. Siedmioro spośród 11 wybranych w czerwcu członków zarządu partii pochodziło ze stolicy (wkrótce potem z członkostwa w tym gremium i w partii zrezygnował przedstawiciel okręgu koszalińskiego).

Choć dewiza Razem głosi: „Inna polityka jest możliwa”, to w przeciwieństwie do oburzonego Kukiz'15 partia bierze pieniądze z budżetu państwa, opłaca nimi członkinie i członków kierownictwa, narażając się na zarzuty, że tworzy etatowy aparat, którym młodzi lewicowcy tak bardzo się brzydzą. Życie wewnętrzne Razem – mimo kolegiального kierownictwa – coraz bardziej przypomina „normalną” partię, czego przykładem było odejście w atmosferze konfliktu kilku członków z okręgu koszalińskiego. Napięcia wewnętrzne dobrze ilustruje tekst z portalu naTemat.pl o możliwym kandydowaniu Adriana Zandberga na prezydenta Warszawy.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

ODWAGA STANIAŁA



Dawałem 5% szans na to, że prezydent Duda zawetuje pisowskie ustawy. Owe 5% to resztki tego, co ocalał w sobie, substancja, która jest produktem sumienia i poczucia własnej wartości. Jeśli doleje się do tego trochę odwagi, „to” od razu puchnie i pączkuje. Poza tym ludzie są w stanie wybaczyć nienawiść do siebie, ale nie lekceważenie. Gdyby Duda nie zawetował ustaw, przeszedłby do historii nędznie i podle. Jeśli to, co zrobił, jest heroizmem, to jak łatwo czasem być heroicznym. Tak to ja mogę codziennie. A jednak mały oddech ulgi, na duży jeszcze czas. Jeżeli Kaczyński się uprze, by potępiać i upokarzać Dudę, ten urwie się ze smyczy. W nieprawdopodobnej duchocie, jaka zapanała w Polsce, ktoś jakby uchylił jedno okno. Ale ono może jeszcze zostać zamknięte. Nieufność jest tu głęboko uzasadniona.

Celnie napisała Eliza Michalik: „»Ulica i zagranica nie będą nam mówić, co robić«, powiedziała w orędziu Beata Szydło. Tyle że ta traktowana z pogardą »ulica« to obywatele jej własnego kraju, korzystający ze swoich praw obywatelskich, jak prawo do publicznego demonstrowania poglądów. »Zagranica« zaś to instytucje i organizacje, których członkiem jest Polska, o które to członkostwo bardzo zabiegaliśmy, często, jak w przypadku Unii Europejskiej, latami”.

Minione dni uciekały szybciej niż zwykle, bo wiele się działo, chcę tu tylko dać świadectwo minionego. To było 20 lipca. Dojazd częściowo metrem, nowa linia, którą nigdy nie jechałem, winien jest samochód. Elegancko, to jest ten nowy świat, który udało nam się zbudować, z którego wychodzę na ulicę Nowy Świat. Nieprzebrane tłumy na Krakowskim, trochę policji, reszta dyskretnie schowana. Jakaś dziewczyna pyta swojego chłopaka: „A oni są z nami?”. Przeciskamy się w stronę uniwersytetu. Spotykam znajomych. X, kolekcjoner sztuki, przyjaciel Wojtka Fibaka, kreśli mroczne wizje. Zaczepia mnie jakiś dawny działacz Solidarności, mówi: „Wczoraj czułem ból fizyczny, nie tylko serce mnie bolało, teraz, jak widzę te tłumy, jestem optymistą”. Ściska mi rękę. Idziemy z tłumem pod Sejm. Tysiące ludzi z płonącymi zniczami. Na Nowym Świecie chodniki okupowane przez kawiarnie i restauracje, wszystkie krzesła zajęte, ludzie siedzą i jedzą. To robi okropne wrażenie. Taka miniaturowa karuzela przy getcie, tę dużą opisał Miłosz w pięknym wierszu „Campo di Fiori”. Ktoś podchodzi do mnie i ze słowami: „Proszę, panie Tomaszu” wręcza mi znicz. Jakaś samotna starsza pani – trzeba przyznać, że

heroiczna – siedzi na ławce, powtarza: „PiS, PiS” i patrzy z niedowierzaniem na rzekę ludzi. Lamentuje: „Kto to inspirował, za czyje to pieniądze?”. Masa młodej, po raz pierwszy widzę tylu młodych, chociaż to wakacje. Było kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Ratusz podał, że 50 tys., policja – że 14 tys. Od tego rozżewu między dwiema liczbami ciągnie chłodem.

Protesty, które przynoszą skutek, tworzą wspólnotę, a młodym budują doświadczenie pokoleniowe. To zapoczątkuje w przyszłości. Już teraz widać, że następny krok w celu zlikwidowania demokracji w Polsce spotka się z masowym protestem. Mam relacje z Sandomierza i Chrzanowa, w obydwu miastach przyszło po 200 osób. Znajomy z Wejherowa pisze: „U nas ponad 500 osób”. Takich małych miejscowości, gdzie coś się działo, były setki, o wielu nie wiemy i nigdy się nie dowiemy. Tam, jak widać, też są elity. Nienawiść PiS do elit jest więc uzasadniona. Ale kojarzy się z faszyzmem i komunizmem.

Nie czuję się na siłach, by samemu komentować wszystkie zdarzenia, skoro jest tyle mądrych i celnych głosów, dlatego pozwalam sobie na

dłuższy cytat. Andrzej Leder, mój kolega z dawnej „Res Publiki”, psycholog, terapeuta, pisze: „Kaczyński demokrację będzie tępiał brutalniej niż Orbán. Co więcej, mniej się licząc z presją Brukseli. Ponieważ wie, że za jakiś czas zacznie przegrywać wolne wybory, tworzy warunki do tego, żeby wolnych wyborów nie było. Ponieważ wie, że reżimowej telewizji będzie »spadać«, a mediom prywatnym, opozycyjnym, rosnąć, będzie dążył do zniszczenia niezależnych mediów. Ponieważ wie, że inteligencja uniwersytecka już jest przeciw niemu, będzie się starał założyć ideologiczny i administracyjny kaganiec uczelniom. Ponieważ wie, że kobiety przyzwyczyły się już do – co najmniej deklarowanej – równości, będzie je chciał zastraszyć ustawami dotyczącymi praw prokreacyjnych. Ponieważ wie, że prawa pracownicze są groźne dla każdej władzy oligarchicznej, a taką buduje, będzie ograniczał prawa pracownicze. Co gorsza, ponieważ takie działania będą nasilać niezadowolenie poszczególnych grup, które będą występować w obronie swoich praw, reżim będzie musiał stawać się coraz bardziej represyjny. Nawet jeśli nie bardzo by chciał”.

Tak, to było nieuniknione przed konfliktem PiS z prezydentem, a teraz zawisł nad tym znak zapytania.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeгляд.pl

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Kiedy rozmawialiśmy parę lat temu, wspomniała pani, że z myślą o jubileuszu szykuje niespodziankę. Okazało się, że to „Niezatańczone tango”, oparte na prozie Wiesława Myśliwskiego, które jest pokazywane teraz z sukcesem na Scenie Kameralnej Teatru Polskiego.

– Zakiełkował wtedy w mojej głowie śmiały zamiar, żeby z kilku powieści autora „Traktatu o łuskaniu fasoli” wybrać wątek matki, polskiej wszech matki, i przysposobić go na scenę. Dostałam na to przyzwolenie pisarza. Znam całą prozę Myśliwskiego, a pisząc scenariusz, kilka powieści, z których kleiłam „Niezatańczone tango”, czytałam po raz drugi i trzeci, za każdym razem z wielką przyjemnością, odnajdując nowe smaki języka, głęboką prawdę o człowieku. I tak szczęśliwie udało mi się utkać postać Matki, że na premierze autor nie znalazł żadnego fałszu w jej narracji, a słuch Myśliwski ma niezawodny. To dla mnie wielki komplement i... ulga, bo najbardziej bałam się właśnie opinii autora. Jest więc Matka, jest Syn, jest tango – ważny bohater tego przedstawienia. To także mój hołd dla mojej mamy i dla tych dzielnych kobiet, które obciążone siatkami pędzą do domu. Każda z nas ma coś z postaci matki z powieści Myśliwskiego. Po spektaklu widzowie mówią: „Ta matka jest zupełnie tak jak moja”.

Utożsamiają ją z najbliższą osobą?

– Bo Matka pracowita, gadatliwa, uparta, zabawna, mądra jest zwyczajna, swojska. To kobieta, która musi sobie radzić w każdych warunkach, taka „wilczyca rodziny”. Będzie zażarcie walczyć o dom, o bezpieczeństwo bliskich. Zostanie sama na placu boju po śmierci męża. Najpierw walczy o jego zdrowie, potem o edukację syna, o byt, żeby przetrwać, żeby się nie dać.

Wiesław Myśliwski twierdzi, że mowa jest największą wartością. Z niej czerpie. Jak pisał Norwid: „Słowa nas sądzą”.

– Czytelnicy, widzowie przyjmują te słowa jako własne, bo czują w nich ogromną prawdę. To literatura z najwyższej półki, toteż pomyślałam, że Teatr Polski, którego jestem aktorką od wielu lat, jest jej najwłaściwszym adresem.

PRAWDZIWIE BYĆ

Staram się moje usługi dla ludności wykonywać najrzetelniej i z największym talentem, jaki mogę z siebie wykrzesać



– aktorka
teatralna
i filmowa

GRAŻYNA BARSZCZEWSKA

Rozumiem fascynację czytelnice, ale czy miała pani wcześniej zawodowy kontakt z tekstami Myśliwskiego?

– Grałam w radiowych adaptacjach prozy Wiesława Myśliwskiego w Teatrze Polskiego Radia, z którym jestem związana od wielu lat, właściwie od czasu studiów. Tam zawsze jest szansa dotknięcia czegoś istotnego.

Radio to pani żywioł, jeden z wielu, bo jest ich sporo... Wśród nich kabaret, z którym ma pani nową przygodę: Pożar w Burdelu i pani Katarzyna Kobro w tym spektaklu.

– To rodzaj groteski, odważnego żartu. Aktorzy, ja także, chętnie przyjmują propozycje „daleko od siebie”, żeby zaszać w zupełnie innym, niespodziewanym dla widzów wcieleniu. Zażartowałam w rozmowie z re-

żyserem „Ucieczki z kina polskość” Michałem Walczakiem, że zaprosił mnie do burdelu dość późno, ale lepiej późno niż później...

Kiedyś trzeba zacząć.

– Przyzna pan, że debiutować w „tej instytucji” przy okazji 70. rocznicy urodzin jest dość ryzykowne, ale lubię „odjechać” z młodymi, utalentowanymi artystami, z ich entuzjazmem, inteligentną zabawą, którą proponują Łubieński i Walczak. I nie ma żadnego zgrzytu między stałymi „burdelowcami” a szacowną, jak piszą niektórzy, ponad stuletnią sceną przy Karasia.

A jeśli mówimy o kabarecie, wprowadź trochę innym, literackim, to przecież ma pani doświadczenia zdobyte w Kabarecie Dudek.

– Miałam szczęście zaistnieć w tej kabaretowej rodzinie z takimi postaciami, że pozazdrościć! Nasze występy w kawiarni Nowy Świat, nasze podróże z Dziewońskim, Gołasem, Kowalewskim, Michnikowskim, Młynarskim, Wawrzeckim, Zawadzką – to były i piękne, i ważne spotkania. Potem w teatrze Ateneum, za dyrekcji Gustawa Holoubka, zrobiłam także kabaretowy *one woman show* zatytułowany „Kobieta...” z tekstami i piosenkami Tuwima, Hemara, Boya

Królowa Śniegu



Chętnie przyjmujemy propozycje „daleko od siebie”, żeby zaszaleć w niespodziewanym dla widzów wcieleniu.

i Stonimskiego. Właściwie rodzajem kabaretu są także „Sceny niemalże małżeńskie Stefanii Grodzieńskiej”... **...które z wielkim powodzeniem, także w Ateneum, gra pani już siódmy rok! Kabaret kusił więc i kusi panią od dawna.**

– Uśmiech, poczucie humoru – to ważna przyprawa w życiu i w sztuce. Ale jest też sporo szkodników dobrej rozrywki, wciskających w mediach prostackie żarty, chamstwo, bezguście. Programy rozrywkowe, niektóre – pozał się Boże – amatorskie kabarety lansowane przez szukające taniej popularności stacje telewizyjne, wmawiające publiczności, że uczest-

niczą w kulturze. Dosadne i nieśmieszne. Grube żarty po to tylko, żeby widz rechotał, szczególnie kiedy pokazuje go kamera. To brak szacunku dla publiczności, traktuje się ją jak bezrozumny tłum, który można kształtować, nie wierząc w jej walory intelektualne i emocjonalne. Ludzie zajmujący się sztuką powinni o tym mówić. Trzeba reagować. A najlepiej zacząć od własnego podwórka. Tak, sprzedajemy nasze umiejętności, nasz talent, ale nie za wszelką cenę, nie za cenę tzw. oglądalności. Ekshibicjonizm, w różnym stopniu, jest w każdym z nas uprawiających ten zawód. We mnie także, bo to przecież

wielce nieskromne zwracać komuś głowę tylko sobą przez dwie godziny na scenie czy estradzie.

Robert Gliński, z którym nakręciła pani dwa ważne filmy „Łabędzi śpiew” i „Wszystko, co najważniejsze”, zacytował Konrada Swinarskiego, że „aktorzy dzielą się na tych, którzy grają od pasa w górę, i tych drugich grających od pasa w dół”. Ale Grażyna Barszczewska, powiedziała, jest aktorką i od pasa w górę, i od pasa w dół. To znaczy?

– ...że najpierw analizuję dokładnie tekst, żeby zrozumieć bohaterkę, a potem dodaję emocje. Bywają jednak nawet dobrzy aktorzy, którzy zanim zrozumieją, już grają. Jeśli towarzyszy im nieomylna intuicja, grają bardzo dobrze, a nawet wybitnie. Mówiło się tak o Janie Kurnakowiczu, który nic nie czytał, tylko pytał reżysera, czy ma być zły, czy dobry. I grał podobno genialnie! Wątpię jednak, że dzisiaj da się grać wyłącznie na „bebechach”.

Bardziej „mózgowo”?

– Jeżeli jest sam mózg, to efekt jest martwy, zimny. Chłodna logika ▶

Grażyna Barszczewska ma w dorobku ponad 150 wiodących ról dramatycznych i komediowych w teatrze, filmie i telewizji, występy w Kabarecie Dudek i na estradzie, recitale piosenek, nagrane płyty. Jej głos znają także słuchacze audycji Polskiego Radia i licznych audiobooków. Ogromną popularność przyniosły aktorce role w serialach telewizyjnych. Od 1983 r. jest związana z Teatrem Polskim w Warszawie.

▶ nikogo nie przekona, nie porwie. Kiedyś o takich aktorach intelektualistach mówiło się: gra z dystansem. Co to właściwie znaczy? Z dystansem to można do siebie podejść...

Byłoby nieźle.

– Niektórym artystom trudno uznać, że nie są pępkiem świata. Trudno poskromić miłość własną. Ale może jednak warto rozejrzeć się i dostrzec, że inni stoją obok nas i są nie mniej ważni? Staram się moje usługi dla ludności wykonywać najrzetelniej i z największym talentem, jaki mogę z siebie wykrzesać. To mój obowiązek, skoro zarabiam tym na życie. Ile lat? Nie wiem, jak to liczyć. Bo gdyby liczyć od mojego debiutu na drugim roku PWST w Krakowie, u Jarockiego, to za chwilę będzie okrągła rocznica.

To była „Moja córeczka” Tadeusza Różewicza, zagrała pani Koleżankę w przedstawieniu Starego Teatru (premiera 18 maja 1968 r.). Niedługo minie pół wieku... Ale nie traktuje pani jubileuszu jako podsumowania?

– Prawdziwym, ważnym debiutem była „Czajka” Czechowa w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie w reżyserii Ireny Byrskiej – trochę później, bo na ostatnim roku studiów. Na razie nie jestem gotowa na podsumowania. Jestem w drodze. Może jeszcze coś przede mną?

A za panią m.in. niezrealizowana współpraca z Niną Andrycz. Jak do tego nie doszło?

– Pani Nina Andrycz była gwiazdą z tamtej epoki. Przekonałam się o tym, kiedy miałyśmy zagrać w sztuce „Cyjanek o piątę”.

Dziewczynki



co zeszła na psy”. Pomyślałam o roli dla Niny Andrycz.

Tytuł piękny.

– I sztuka także ciekawa. O dwóch kobietach, jednej – starej gwiazdzie, niegdyś obsypywanej brylantami, która aktualnie prowadzi schronisko dla psów i walczy z biedą, i drugiej, jej „pomagierce” – nieefektywnym popychadłe, którą była gwiazda lekceważy. Korciło mnie, żeby zagrać

musiała trzymać się wizerunku gwiazdy, królować.

Tak się skończyły przymiarki do wspólnej pracy?

– Jest jeszcze puenta. Po pewnym czasie pani Nina zaproponowała mi dwuosobową sztukę. „Ty zagrasz tę młodszą – bardzo się zdziwiłam – a ja tę starszą”. Ho, ho – pomyślałam – wspaniale. Przysłała egzemplarz, otwieram, czytam obsadę: Marlena – Nina Andrycz, lat 90, Leni – Grażyna Barszczewska, lat... 89. Ale to niestety nie był żart.

Jak widać, maestra nie dostrzegła między wami różnicy kilkunastu lat. Pewnie czuła się młodo.

– I świetnie się prezentowała. Mam wspólne zdjęcie z uroczystości w Pałacu Prezydenckim, podczas której otrzymałam z rąk prezydenta Komorowskiego Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Na fotografii są Sławomir Mrożek i pani Nina, która wygląda świetnie! A miała wówczas prawie 100 lat. Ale jednak... Zresztą ja też czasem zapominałam, ile mam lat.

To widać w „Niezatańczonym tangu”, w którym podczas spektaklu pani Matka młodnieje.

Zaczyna jako starsza kobieta, a na koniec widzimy niemal dziewczynę.

To fenomen.

– Proszę nazywać to talentem (śmiech). To rzemiosło. Gramy na instrumencie, który nazywa się „nasza wrażliwość, nasze ciało”. Rzeźbiarz robi najpierw szkielec, formę, którą obudowuje warstwami, dokleja. Aktor też czerpie z siebie. Życie dokleja nam to i owo. W tym zawodzie doświadczenia działają na naszą korzyść. Bo z czego ma czerpać człowiek jeszcze nie zapisany?

Wspomniała pani o Marlenie Dietrich, ale, jak słyszę, znowu do pani przysła...

– Chociaż jej nie lubię, co powiedziałam na pierwszej próbie z reżyserem Józefem Opalskim. Podziwiam ją jako aktorkę, utalentowaną, piękną kobietę. Ale nikt, nawet wielki talent, geniusz, nie ma prawa niszczyć życia drugiego człowieka. To, że pozwoliła na deprawację własnej 14-letniej córki przez jej ówczesną partnerkę jest...

Pani Nina zaproponowała: „Ty zagrasz tę młodszą”. Czytam obsadę: Marlena – Nina Andrycz, lat 90, Leni – Grażyna Barszczewska, lat... 89.

To świetna sztuka, szkoda.

– Owszem, w obsadzie stara dama i córka jej przyjaciółki, a więc wiekowo pasowałybyśmy do siebie. Pani Nina przeczytała sztukę, powiedziała, że zrobi swoją adaptację, ale nie będzie siedzieć na wózku inwalidzkim, jak przewidywał scenariusz. Zmian sugerowała jeszcze więcej i reżyserzy chyba się bali pracy z maistrą. Do „Cyjanu...” nie doszło. Po pewnym czasie Andrzej Mularczyk przysłał mi sztukę dla dwóch aktorek „Ta piękna,

taką szarą mysz, i że wreszcie pani Nina będzie mogła sobie użyć na moim nazwisku, a wiadomo, że z Elżbietą Barszczewską latami konkurowały w Teatrze Polskim... Przestałam więc sztukę pani Ninie. Na długo zapadła cisza. Wreszcie zadzwoniła: „Słuchaj, no świetny tekst, tylko tytuł trzeba by zmienić na »Piękna i psy«... Co pan Mularczyk żartobliwie skomentował: „Z tego, co piszę, najlepsze są tytuły”. No cóż, szkoda. „Ta piękna, co zeszła na psy”!? No nie, pani Nina

Czyli będzie pani grała Marlenę, ale z niechęcią?

– Nie. Właśnie dlatego, że jej nie lubię, będę jej bronić. „Marlena – ostatni koncert” to sztuka Janusza Majcherka na dwie Marleny. Tę starą, samotną w jej mieszkaniu w Paryżu, z którego nie wychodziła przez kilkanaście lat, i Marlenę rozpoczą-

światowej, sprzeciwieniu się Hitlerowi, niebezpiecznych występach dla żołnierzy na froncie, o jej rzetelnym, poważnym traktowaniu zawodu, o jej wielkiej odpowiedzialności wobec widzów. Także o jej niedożywieniu, chorobie, samotności – zwinionej i z wyboru. To skomplikowana postać.

Na razie nie jestem gotowa na podsumowania. Jestem w drodze. Może jeszcze coś przede mną?

nającą karierę – w tej roli Iza Bukowska. No i będą piękne piosenki, z którymi koncertowała w świecie. Przygotowujemy się solidnie, oglądając dokumenty, filmy, gromadząc książki o niej i biografię przez nią napisaną, w której kłamie jak najęta, konfabulując zdarzenia pod swój „boski” wizerunek. Przez ostatnie lata, jak pisze jej wieloletnia przyjaciółka, zajmowała się wyłącznie tworzeniem własnego mitu.

Ale ponieważ wszyscy jesteśmy czarno-biali, myślę też o jej odważnej postawie w czasie II wojny

Widziała pani jej koncert w Sali Kongresowej w Warszawie?

– Tak, byłam na tym koncercie. Podziwiałam, jak panuje nad salą. Doskonale wiedziała, jak wejść na scenę, jak zamiatać futrem podłogę. Jak uwieść widownię. Publiczność to kocha.

Sala była jak zahipnotyzowana.

– Marlena robiła to profesjonalnie. Dbała o swój wizerunek, o nie-naganny wygląd, kostiumy, makijaż. Marlena Dietrich mogła być tylko piękna, wiecznie młoda, uwielbiana. Ta estetyka się zmieniała. Dzisiaj wiel-

kie aktorki na ekranie nie boją się pokazać prawdy, nędzy człowieczej, chodzą po czerwonych dywanach, ale potrafią i w życiu, i na ekranie być blisko człowieka. Są wielkie i potrafią być zwyczajne.

Pani także niejednokrotnie udowodniła, że nie boi się postarzania, po-brzydzania czy grania z gołą twarzą jak w monodramie „Pani z Birmy” w teatrze Polonia.

– Bo granie bez charakteryzacji też jest rodzajem charakteryzacji. Nasza nagość, bezbronność też jest środkiem wyrazu. Prywatnie chodzę bez makijażu, z lenistwa i wygody, maluję się tylko za pieniądze, ale do roli, bardzo proszę, wszystko, co trzeba, byle zlepiło się z postacią.

W dawnych recenzjach pisano, że aktorka „ucieleśniła się” albo „udatnie się wcieliła”.

To ładne.

– To znaczy, że weszła w ciało bohaterki, zjednała się z postacią, czyli właściwie... nie grała. Była. Prawdziwie była.

Tomasz Miłkowski

 4. 11 · WARSZAWA · KLUB STODOŁA	 GOŚĆ SPECJALNY: LUCKY CHOPS SEEKERS AND FINDERS TOUR 25.11 · POZNAŃ · MTP2 26.11 · WARSZAWA · KLUB STODOŁA 27.11 · KRAKÓW · KLUB STUDIO
 29.11 · KRAKÓW · KLUB STUDIO 30.11 · WARSZAWA · KLUB STODOŁA	 7.12 · WARSZAWA · KLUB STODOŁA
STODOŁA BILETY: WWW.STODOŁA.PL, WWW.EBILET.PL, WWW.EVENTIM.PL, WWW.TICKETPRO.PL	

PODRÓŻE DALEKIE I BLISKE MISTRZA MATEJKI

W odnowionym Domu Jana Matejki, oddziale Muzeum Narodowego w Krakowie przy Floriańskiej 41, otwarto nową wystawę czasową poświęconą patronowi placówki. Matejko (1838-1893) już w okresie młodości odbywał modne „podróże archeologiczne i malownicze”, które zapoczątkowały u artysty zwyczaj odwiedzania wielu miejsc, najczęściej związanych tematycznie z zamierzeniami malarskimi. Wkrótce po zakończeniu nauki w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych w grudniu 1858 r. odbył podróż w Tatry, a jako dojrzały artysta wojażował po Europie. Wrażenia z licznych podróży pozostawił w listach i szkicach oraz karykaturach ilustrujących epizody wyjazdów do Pesztu, Pragi, Lwowa czy Korywnówki i Wiśnicza.

KRAKÓW, DOM JANA MATEJKI, DO 1 PAŹDZIERNIKA



FLEUR DE PARIS

Obrazy z kolekcji Villa La Fleur

Amedeo Modigliani, Tamara Łempicka, Mojżesz Kisling, Mela Muter, Bolesław Biegas, Władysław Ślewiński i kilkunastu innych twórców to autorzy niemal 70 prac: obrazów, rzeźb i rysunków pokazywanych w sopockiej PGS. Dzieła przedstawicieli słynnej École de Paris, jedynego w swoim rodzaju zjawiska artystycznego początku XX w., pochodzą z prywatnej kolekcji Marka Roeflera. „To, co najważniejsze w sztuce, wydarzyło się w pierwszej połowie XX w. właśnie tam, to do Paryża zjeżdżali artyści z całego świata, zresztą tworzący we wszystkich dziedzinach”, mówi kolekcjoner.

SOPÓT, PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI, DO 1 PAŹDZIERNIKA

Bracha L. Ettinger EURYDYKA – PIETA

Bracha L. Ettinger, przedstawicielka tzw. drugiego pokolenia, córka ocalałych z Holocaustu polskich Żydów, uważana jest obecnie za jedną z wiodących postaci Nowego Malarstwa Europejskiego. W Muzeum Śląskim wystawione są prace z ostatnich trzech dekad jej twórczości, nawiązujące do motywu straty i miłości w kontekście okrucieństw wojny. Obrazom olejnym towarzyszą rysunki z całego okresu działalności artystycznej, a także trzy instalacje wideo. Ważnym elementem są notesy ukazujące załączki procesu twórczego i myśli teoretycznej Brachy, dokumentujące również jej pracę psychoanalityczną.

KATOWICE, MUZEUM ŚLĄSKIE, DO 2 WRZEŚNIA



ATOMIC BLONDE

reż. David Leitch, prod. USA, już w kinach

Ten film hipnotyzuje jak transowa impreza. Pozwala też się przekonać, czym jest znakomity montaż dźwięku. W „Atomic Blonde” dźwięki nadają fabule dynamizm, dopowiadają to, co dzieje się na ekranie, ale też tworzą kontrapunkt do tego, co właśnie oglądamy. Dzięki temu obraz Davida Leitcha wyróżnia się na tle historii szpiegowskich nie tylko kobiecą bohaterką, pracującą dla MI6 Lorraine. Agentkę trudno nazwać kobiecą wersją Bonda, choć nie ustępuje mu inteligencją, siłą rąk ani celnością oka. Twórcy fundują nam jednak opowieść utrzymaną w duchu słynnego „Szpiega”, w której praca dla wywiadu oznacza przegraną miłość, złamany kręgosłup moralny i zaburzoną tożsamość. Wycieczka w czasie do Berlina w przed-

dzień upadku muru podkreśla klimat melancholii przełamany zbliżeniami na ówczesną kontrkulturę. Jest to więc nie tylko pieczołowicie dopracowane kino szpiegowskie, ale i barwna pocztówka muzyczna z fascynującego momentu w historii, ze świetną kreacją Charlize Theron, która po raz kolejny po „Monster” wydobywa pokłady piękna i atrakcyjności z pokiereszowanego ciała.

Artur Zaborski

FESTIWALE

23. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE

MAREK NAPIÓRKOWSKI SEXTET

Niepowtarzalny język muzyczny, wirtuozerskie improwizacje, żywiołowa ekspresja, ale i liryzm – tym razem *made in Poland*. Z gitarzystą Markiem Napiórkowskim na Starówce zagrają wybitny saksofonista i klarnecista Henryk Miśkiewicz, pianista Michał Tokaj, basista Robert Kubiszyn, saksofonista Adam Pierończyk i perkusista Paweł Dobrowolski.

Od początku kariery Napiórkowski pojawia się na szczytach polskich rankingów, nagrał już ponad 150 płyt z róż-

nymi wykonawcami. Na szczególną uwagę zasługują jego albumy: „Nap” z udziałem m.in. Anny Marii Jopek i Leszka Możdżera, „Wolno” (złota płyta), „KonKubiNap” z Robertem Kubiszynem i Cezarym Konradem, „UP!” oraz nagrany w duecie z Arturem Lesickim krążek z polską muzyką filmową „Celuloid”. Jako współproducent i autor większości kompozycji od kilkunastu lat towarzyszy karierze wokalistki i skrzypaczki Doroty Miśkiewicz. Więcej na: www.jazznastarowce.pl.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 5 SIERPNIA, GODZ. 19.00

(ap)



KURTYNA W GÓRĘ



KRAKOWSKI TEATR KOMEDIA NA WALIZKACH

Jako że wakacje to idealny czas, aby połączyć relaks z kulturalną rozrywką, Krakowski Teatr Komedia latem gra tam, gdzie jest jego publiczność – na Mazurach, nad morzem, w niestampowych miejscach: w hotelach i na statkach. Widzowie zobaczą najpopularniejsze polskie komedie: „Męża i żonę” Aleksandra Fredry, „Trzy razy łóżko”, „Viagrę i chryzantemy” oraz premierowo „Matżeństwo we frankach szwajcarskich” autorstwa Jana Jakuba Należytego. Zagrają w nich znani i lubiani aktorzy, m.in. Anna Cieślak, Marek Siudym, Ewa Dałkowska, Dariusz Gnatowski i Jan Jakub Należyty. „Jesteśmy teatrem na walizkach i w ciągłej podróży. Pakujemy się, jedziemy i gramy tam, gdzie są nasi widzowie, którzy chcą nas zobaczyć. Ze względu na minimalistyczną scenografię jesteśmy w stanie każdą przestrzeń zamienić w teatr. Zresztą właśnie na tym polega jego magia”, mówi Anna Stasiak-Apelska, prezes zarządu. Więcej informacji: krakowski-teatr-komedia.pl.

(ag)



W TV



MADE IN EUROPE

Europejską serię w Canal+ rozpocznie duński dramat „Komuna” – najnowsze dzieło Thomasa Vinterberga, reżysera takich obrazów jak „Festen” czy „Polowanie”. Scenariusz do „Juliety” Pedra Almodóvara powstał na podstawie opowiadań laureatki Nagrody Nobla Alice Munro. Film „Zagubieni” Petra Zelenki był czeskim kandydatem do Oscara 2017. Polskę reprezentuje thriller „Jestem mordercą” w reżyserii Macieja Pieprzycy, historia, w której tylko jedno jest faktem – zbrodnia. Reszta to zagadka i intryga z filmową PRL w tle. Kino europejskie, którego nie da się zapomnieć.

CANAL+, NIEDZIELE, OD 6 SIERPNIA, GODZ. 21.30

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Piotr Cierpucha

Rodzina i przyjaciele najczęściej reagują zaskoczeniem, kiedy się dowiadują o ich decyzji. – Znajomi pytali, czy zwariowałam, i stwierdzili, że gdybym wcześniej im powiedziała, wybiliby mi to z głowy – Joanna Surma z IV roku arabistyki na Uniwersytecie Warszawskim opowiada o tym, jak środowisko przyjęło jej wybór kierunku studiów.

Po pierwszym zdziwieniu przychodzi jednak akceptacja. Studenci mogą liczyć na pełne wsparcie najbliższych, zwłaszcza że ukończenie niszowego kierunku może przynieść perspektywę dobrej pracy.

KIEDY LUDZIE PYTAJĄ, PO CO

Według badań CBOS Arabowie są w naszym kraju najmniej lubiani – aż 67% Polaków odnosi się do nich z niechęcią. W mediach i w sieci mnóstwo jest negatywnych komentarzy, często pełnych nienawiści. Mimo społecznej niechęci coraz więcej młodych ludzi jest zainteresowanych studiami na arabistyce. W ostatnich latach na jedno miejsce przypada nawet kilkudziesięciu kandydatów. Co nimi kieruje?

Głównie ciekawość. – Bardzo interesuje mnie mentalność ludzi Wschodu i chcę ją rozgryźć, zresztą uważam, że potrzebni są ludzie rozumiejący tamtą kulturę i porozumiewający się w języku arabskim – mówi Henryk Skrzyński z II roku na UW.

– W liceum planowałam pójść na SGH, ale zorientowałam się, że to jednak nie dla mnie. Zawsze byłam dobra z języków obcych, więc uznałam, że wybiorę filologię. Dlaczego arabski? W czasie gdy zastanawiałam się nad wyborem kierunku studiów, pojechałam na wakacje do Tunezji i Egiptu. Bardzo tam mi się spodobało, wszystko było interesujące. Chciałam się nauczyć pisma, by cokolwiek przeczytać. Poza tym dowiedziałam się, że absolwenci arabistyki mogą pracować w wywiadzie, a to byłoby ekscytujące doświadczenie – wspomina Magdalena Błaszczuk, tegoroczna absolwentka.

Niechęć społeczeństwa do Arabów nie stanowi specjalnej przeszkody. – Kiedy zaczynałam studia, nie było takiej ożywionej dyskusji o muzułmanach. Dopiero kwestia uchodźców i zamachów na Zachodzie wywołała ten temat. Szkoda, że mówi się o Arabach w takim kontekście, ale z drugiej stro-

ZAFASCYNOWANI ŚWIATEM ARABSKIM

Choć w społeczeństwie niechęć do Arabów jest duża, chętnych do studiowania arabistyki przybywa



Podczas orientaliów studenci arabistyki przybliżają kolegom kulturę Wschodu.

ny dobrze, że w ogóle jest dyskusja. Dzięki temu arabiści mogą stać się potrzebni – zaznacza Agata Płocka, absolwentka i lektorka arabskiego w szkole językowej.

Zresztą stosunek do Arabów różni się w zależności od miejsca. – Pochodzę z małej miejscowości, gdzie przeważa negatywne nastawienie, ale w Warszawie nieraz zdarzało mi się w przerwie między zajęciami albo w autobusie uczyć się arabskiego i ludzie reagowali bardzo pozytywnie. Pytali, co to za język albo w którą stronę czytać literki – mówi Joanna.

ARAB OCZAMI ARABISTÓW

Zwykle kilka osób na roku to studenci z krajów Bliskiego Wschodu. Aby się dostać, muszą uzyskać odpowiednią liczbę punktów z matury zagranicznej i przejść pozytywnie rozmowę sprawdzającą znajomość języka polskiego. Niektórzy szybko odpadają z powodu problemów... z językiem arabskim. Przybysze przyzwyczajeni do posługiwania się dialektami są zaskokowani tym, jak można uczyć się

hiperpoprawnej formy języka – wersji literackiej. Jednak ci, którzy zaliczą pierwsze semestry, zwykle świetnie się aklimatyzują i na uniwersytecie, i w naszym kraju. – Mój kolega z Egiptu jest wręcz zachwycony – stwierdza Agata. – Kocha Polskę, najchętniej by tu zamieszkał, przyjeżdża, kiedy tylko może, często na Facebooku wrzuca posty typu „kocham Warszawę”. Co prawda, czasami zdarzają się przykre doświadczenia, jak wyzwiska na ulicy, ale on się z tego śmieje i nieraz sam specjalnie prowokuje, chodząc w jakieś nieciekawe miejsca – dodaje.

Podobnie wypowiada się Magda: – Mam koleżkę Kuwejtczyka. Jest zakonchany w Polsce, przyjeżdża tu nawet dwa razy w roku przynajmniej na miesiąc. Zawsze mnie dziwiło, że uważa nasz kraj za bardzo tolerancyjny, chociaż my mamy zupełnie inne zdanie. Mówi, że ludzie są świetni, ma tu dużo przyjaciół i najchętniej przeprowadziłby się do Polski.

Studia w Polsce są też szansą dla gości z zagranicy, ułatwiają karierę w kraju ojczystym lub na Zachodzie. – Mój kolega z Syrii po zakończeniu

wojny chce wrócić do kraju i zostać nauczycielem, więc u nas uczy się języka literackiego – podkreśla Henryk.

A co z obrazem leniwego zasiłkobiorcy albo fanatycznego terrorysty? Studenci mocno dystansują się od tych stereotypów. – Najbardziej pracowici ludzie, jakich spotkałem, to byli Turek i Syryjczyk – przyznaje Henryk. – Pracowali siedem dni w tygodniu po kilkanaście godzin.

Agata zwraca jednak uwagę na wyjątki: – Studenci z Libii, Palestyny, Syrii i Iraku są naprawdę zorganizowani i aktywni, ale bogaci Saudyjczycy głównie wydają pieniądze i bardziej chcą się bawić, niż pracować.

Kiedy rozmowa schodzi na temat terroryzmu, słyszę, że Arabowie są z reguły przeciwnikami islamskiego fundamentalizmu. Podłożem ekstremizmu są najczęściej izolacja i wykluczenie społeczne, a te problemy występują raczej w Europie Zachodniej. – Wystarczy, że w jakiejś miejscowości mamy mniejszość arabską skupioną w getcie. Gdy ktoś zacznie nawoływać, że to terroryści i trzeba ich przeszuścić, bo są niebezpieczni, wtedy tamci się radykalizują – podkreśla Joanna. – Zwłaszcza jeśli są to slamsy, gdzie ludzie nie mają nadziei na zmianę. To właśnie uboga ludność najczęściej wpada w sidła ISIS, które obiecuje lepszą przyszłość.

Tam, gdzie dominuje życzliwość, nie słyszy się o rozruchach. – Warunki w obozach na południu Włoch są tragiczne, ale ludzie są otwarci, przynoszą uchodźcom jedzenie i ubrania, nikt tam nie mówi o terroryzmie. Włosi z tamtych stron są biedniejsi niż ci z północy, może dlatego okazują przybyszom większą empatię. Europejczycy i przyjeźdźni żyją raczej osobno, ale się szanują i nie dochodzi do aktów agresji – zaznacza Joanna.

RAMADAN NIECO ULGOWY

Studia arabistyczne to nie tylko teoria poznawana w murach uczelni, ale również praktyka, którą można zdobyć na stypendiach do krajów Afryki i Bliskiego Wschodu. – Mnie w tych krajach zaskoczyło bardzo pozytywne nastawienie do Europejczyków, zainteresowanie tym, co robimy itd., znane reakcje na znajomość arabskiego – stwierdza Agata. – Wystarczy powiedzieć dzień dobry, a oni odpowiadają zachwyceni: „Ty mówisz po arabsku!”. Na przykład widzisz po raz pierwszy

panią w sklepie, pogadasz kilkanaście minut, a ona zaprasza cię do domu na obiad albo nawet na wesele. Takiej gościnności jak w krajach arabskich nigdzie wcześniej nie doświadczyłam – potwierdza Magda.

Z drugiej strony trzeba dostosować się do miejscowych zwyczajów, zwłaszcza w bardziej tradycyjnych państwach. – W Egipcie np. dla własnego bezpieczeństwa lepiej nosić się skromnie, bo można się narazić na zaczepki na ulicy i usłyszeć pod swoim adresem obraźliwe teksty. Oni zakładają, że biały człowiek nie zna arabskiego, i między sobą się podśmiewają.

Znajomość języka, którym posługuje się prawie 500 mln ludzi na świecie, stwarza obiecujące perspektywy.



Joanna Surma: W Warszawie ludzie reagowali bardzo pozytywnie, widząc, że uczę się arabskiego.

Najlepiej to zignorować i nie zwracać uwagi, ale nie każdy tak potrafi. Mam bardzo wybuchową koleżankę, która od razu odpowiedziała im wyzwiskami. Na szczęście skończyło się na krótkiej awanturze – wspomina Agata. W Egipcie częściej też można zostać okradzionym niż w bogatszych państwach regionu.

Niezwykłym przeżyciem jest ramadan. Dla Europejczyka powstrzymanie się od jedzenia i picia w ciągu dnia przez cały miesiąc jest bardzo trudne, dlatego nagina się nieco lokalne zasady. W dzień trzeba jeść i pić w ukryciu, aby nie drażnić niczych uczuć religijnych. Na szczęście po okresie postu

następuje wielkie święto, kiedy można wrócić do normalnego trybu życia.

Bardzo ważnym tematem jest wojna. Arabowie wstydzą się bandytów z ISIS, zresztą sami żyją w strachu przed nimi, gdyż często dochodzi do aktów przemocy. – W dniu, w którym dostałam się na stypendium do Kuwejtu, był tam zamach na meczet szyicki. Moja późniejsza współlokalka, Maurretanka, powiedziała mi, że już nigdy nie pójdzie do meczetu, bo się boi. Po zamachach w Paryżu w listopadzie 2015 r. nasi koledzy z kursu językowego, francuscy muzułmanie arabskiego pochodzenia, byli wstrząśnięci i płakali.

li. W zamachu zginęła koleżanka jednej z dziewczyn – wspomina Magda.

PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ

Niewątpliwą zaletą studiów arabistycznych jest rodzinna atmosfera. Ze względu na niewielką liczbę osób, zazwyczaj do kilkunastu na roku, nikt tu nie jest anonimowy. Wszyscy się znają, pomagają sobie, dzielą się materiałami i informacjami. Kameralny klimat sprzyja zacieśnianiu relacji i przyjaznemu zdobywaniu wiedzy. Integracji służy także coroczne współorganizowanie orientaliów, wydziałowej formy juwenaliów, podczas których studenci przybliżają kulturę Wschodu. Bardzo przyjazna jest kadra. Wykładowcy wspierają swoich uczniów i pomagają w razie problemów z nauką, ale nie są pobłażliwi wobec bumelantów.

Mankamentem niewielkiej liczby studentów może być też zbyt mała liczba stypendiów, a także mało czasu przeznaczonego na naukę dialektów. Studenci podkreślają, że nie jest to łatwy wybór, ale jeśli ktoś jest pasjonatem, z pewnością da sobie radę. Polecają również ten kierunek maturzystom zaciekawionym kulturą arabską, bo dzięki obraniu takiej drogi można poszerzyć swoje zainteresowania i przeżyć niezwykłą przygodę. A plany na przyszłość? Biznes, dyplomacja, edukacja, turystyka, pomoc humanitarna, a nawet praca w służbach specjalnych. Studenci i absolwenci mają różnorodne marzenia, a znajomość języka, którym posługuje się prawie 500 mln ludzi na świecie, stwarza obiecujące perspektywy. ■

Anna Sundberg, Jesper Huor

Żyliśmy bardzo blisko, ale bardzo niewiele wiedzieliśmy o sobie. Sliman nie chciał wiedzieć nic o moim życiu sprzed konwersji. Miałam być czysta i nieskalana.

– Nie chcę wyobrażać sobie, co robiłaś – powiedział. (...)

Mój mąż nie wyjawiał, co robił jako mudżahedin. Według niego powinienam wiedzieć o tym jak najmniej. Wystarczy, jak mi powie, że został wysłany do Berlina z pewną misją.

Nie pytałam o nic, ale wkrótce się domyśliłam, że nie jest sam. Współbracia zawsze znajdowali się gdzieś w pobliżu. Pewnego razu przed naszą bramą czekało dwóch młodych mężczyzn w garniturach i eleganckich płaszczach. Szybko zamienili z moim mężem kilka słów po arabsku, po czym odeszli.

W domu Sliman wyjaśnił mi, że bracia są w całej Europie. Ich bezpośrednim liderem był Abu Katada przebywający w Londynie.

Bracia byli zawsze gładko ogoleni i chodzili w garniturach, nigdy w typowych ubraniach muzułmańskich. Mówili wieloma językami i nawet między sobą nie używali prawdziwych imion.

Minęło wiele tygodni, zanim spytałam męża, jak się naprawdę nazywa:

– Czy mogę się dowiedzieć, jak się nazywasz? Poznać twoje prawdziwe imię?

Po chwili wahania odpowiedział szeptem:

– Said Arif... ale nie zaprzataj sobie tym głowy.

O swoim życiu opowiedział mi raz czy dwa. Musiałam sobie sama poskładać fakty.

Urodził się w 1965 r. i wychował w Oranie, drugim co do wielkości mieście Algierii. Jego rodzina była dość zamożna i niezbyt religijna. Ojciec pracował kiedyś w policji, a potem w rafinerii naftowej. Jako najstarszy z sześciorga rodzeństwa Said został posłany do szkół. Miał bardzo dobre wyniki w nauce. Po maturze poszedł do szkoły oficerskiej. Chciał zostać pilotem wojskowym, przeszedł wszystkie testy, ale został zdyskwalifikowany z powodu niewielkiej wady wzroku. Rozgoryczony rzucił wojsko i w 1992 r. poprosił o azyl w Niemczech. Nie interesował się wtedy religią, palił i słuchał Pink Floydów.

ŻONA TERRORYSTY

Młoda Szwedka porzuciła wygodne życie, by przez 16 lat przebywać z dżihadystami

W połowie lat 90. przeprowadził się do Londynu i został bojownikiem. Znajdował się już pod wpływem Abu Katady, kaznodziei, który legitymizował kradzieże dokonywane przez muzułmanów w Europie i wypowiedział wojnę Zachodowi. W tym czasie pojechał po raz pierwszy do Afganistanu, żeby się szkolić z innymi braćmi. Omal nie zginął tam podczas ćwiczeń z materiałami wybuchowymi.

W Afganistanie poznał wielkiego przywódcę dżihadystów, Osamę bin Ladena. Mój mąż opisywał go jako świętego człowieka. Człowieka, który mógł żyć w luksusie, mieszkać w pałacu i spać w puchu, a wołał jaskinię w górach.

– Osama bin Laden uważa, że Ameryka jest naszym największym

Ojciec Saida mówił po francusku, ale matka właściwie tylko po arabsku w algierskim wydaniu, przez co nie bardzo mogliśmy się porozumieć.

Jeden z jego biologicznych braci, Bilal, znajdował się znacznie bliżej, bo mieszkał w małym niemieckim miasteczku i był żonaty z Niemką. Kiedyś nas odwiedził, ale go nie widziałam, spotkania z bratem męża są zakazane. Siedziałam więc w kuchni i szykowałam jedzenie. Mąż i jego brat się nie dogadywali. Bilal nie był religijny i uważał Saida za fanatyka.

W październiku przyjechał nas odwiedzić w Berlinie ojciec Said, Mustafa. (...)

Stosunki Saidy z ojcem były skomplikowane. Nie byli sobie bardzo bliscy, nie potrafili się śmiać z tych samych

ANNA SUNDBERG

– nauczycielka, działaczka związkowa, ekspertka w sprawach oświaty. Jako młoda Szwedka z zamożnej dzielnicy willowej w Halmstad, przyłączyła się do międzynarodówki dżihadystów i pozostawała z nimi przez 16 lat.



wrogiem, że polityka USA doprowadziła do niesprawiedliwości, okupacji, ucisku i mordowania muzułmanów. On chce, żeby pierwszy i najmocniejszy atak skierować przeciwko Stanom Zjednoczonym. Wszystko inne może poczekać – tłumaczył Said.

Afganistan stał się obiektem naszych marzeń. Mieliśmy nadzieję na wspólną przyszłość w państwie talibów, ale rozumieliśmy, że będziemy musieli poczekać z wyjazdem. (...)

Zadzwoniliśmy do jego rodziny w Algierii, mogłam rozmawiać z jego młodszą siostrą i z rodzicami.

rzeczy, ale szanowali się nawzajem. Mustafa powiedział, że w latach młodości, podczas wojny wyzwolenczej z Francją, też był mudżahedinem. Francuski żandarm postrzelił go w nogę. Wciąż miał w tym miejscu bliznę.

Działo się to jednak dawno temu i według nas nie czyniło z Mustafy prawdziwego mudżahedina. Trudno było również nie zauważyć, że wyznawał zupełnie inne wartości niż my. Wprawdzie nienawidził francuskiego kolonializmu, ale w gruncie rzeczy był zwyczajnym, umiarkowanym muzułmaninem.

2013 r. Protest muzułmanów przed ambasadą francuską w Londynie w odpowiedzi na akcję wojskową w Mali.



– Europa jest bardzo dobra – mówił. – Rozejrzyjcie się choćby po Berlinie. Społeczeństwo niemieckie jest bogate, rozwinięte i dobrze zorganizowane, lepsze niż w Algierii. Co jest złego w Europie? Dlaczego nienawidzicie Zachodu?

– Ludzie nie wierzą tu w Boga – odpowiadał Said – są niewierni i żyją w grzesznym społeczeństwie, wszędzie tylko golizna, perwersja i muzyka.

Zgadzałam się z moim mężem, ta dyskusja do niczego nie prowadziła.

Po tygodniu Mustafa wrócił do domu. (...)

Pewnego dnia zastałam Saida głęboko zatopionego w pracy nad jakimiś dokumentami. Obok leżały narzędzia: pęsetka, nożyczki i skalpel. Namoczył paszport, wymienił w nim zdjęcie i wykonał nowe stemple, a teraz paszport sechł pod ciężarem moich książek o islamie. (...)

Mój mąż przebywał w Europie nielegalnie. W razie złapania przez policję albo zdekonspirowania przy przekraczaniu granicy zostałby zatrzymany i deportowany do Algierii.

– Mimo tego ryzyka jestem zadowolony, że nie mam karty stałego pobytu – powiedział. – Widziałem nieraz, jak współbracia z rodzinami przyzwyczajali się do wygód i uzależniali od niewiernych i ich państw poprzez rozmaite finansowe świadczenia. Ja chcę być silny i wolny, żeby nie ugrzęznąć na Zachodzie.

Berlin, jego mieszkańcy i historia – wszystko to nie miało dla nas żadnego znaczenia. Miasto było jedynie tymczasowym miejscem pobytu. Chcieliśmy się przeprowadzić do mu-

zulmańskiego kraju i zabrać z nami moje dzieci, gdy tylko okoliczności na to pozwolą. (...)

Berlin, 2000

Sunęliśmy ulicami Berlina nowym, lśniącym mercedesem. (...) Czasem wyjeżdżaliśmy z miasta na wieś, żebym mogła pochodzić po lesie. Każdym z samochodów dysponowaliśmy jedynie przez krótki czas, były wysyłane dalej i im szybciej to się działo, tym mniejsze ryzyko dla nas.auta były bowiem kradzione. (...)

Mój mąż nie wyjawiał, co robił jako mudzahedin.

Odwiedzał nas pewien współbrat z Algierii. Czasem wpadał, żeby coś u nas zjeść, innym razem nocował. Said był pod wrażeniem, bo nasz gość walczył na wojnie w Czeczenii.

– W głowie się nie mieści – mówił do mnie Said – on jest najlepszym z nas, gotów wszystko poświęcić. A jednocześnie nie daje się obudzić na poranną modlitwę. Jakby nigdy nic dalej śpi!

Pewnego razu usmażyłam mu szwedzkie naleśniki i tak mu zasmakowały, że poprosił o przepis. Następnym razem przyniósł mleko, jajka i mąkę i poprosił, żeby znów mu nasmażyć.

Między sobą nazywaliśmy go „Abu Naleśnik”, czyli Tata Naleśnik, i żartowaliśmy, że to jego ksywa, jego wojenny pseudonim.

Za każdym razem długo siedział u nas i opowiadał o wojnie. Said nigdy nie miał dosyć.

– *I want to fight!* – mówił potem, frustrując się, że utknął w Berlinie, z dala od pola walki i chwały wojennej.

Pewnego razu Said wrócił do domu późną nocą. Dzieci już spały, ale ja czekałam na niego. Przyniósł stalową walizeczkę, którą ostentacyjnie otworzył, pokazując mi zawartość. Było w niej kilka pistoletów i rewolwerów.

– Weź do ręki broń – powiedział.

Niechętnie postuchałam i wzięłam pistolet w dwa palce.

– Skoro nazywasz siebie niewolnicą Allaha i chcesz, żebyśmy walczyli z naszymi prześladowcami, musisz umieć posługiwać się bronią – powiedział i pokazał mi, co mam robić.

Ręce mi się trzęsły, nie chciałam do nikogo strzelać.

– Co się z tobą dzieje? – spytał, po raz pierwszy wyraźnie zirytowany na mnie.

(...) Pomyślałam o niemieckich tajnych agentach, wyobraziłam sobie, że szturmuję nasze mieszkanie z bronią gotową do strzału, by zabić mojego męża i zabrać moje dzieci.

Wtedy znalazłam w sobie dość siły, zacisnęłam dłoń na kolbie, podniosłam broń i wymierzyłam w drzwi. Otworzyłam oczy i spojrzałam na Saida, oczekując reakcji, ale nic nie mówił. Siedział nieruchomo,

lekko odwrócony i zerkał na mnie kątem oka.

Uznałam jego milczenie za aprobatę.

Następnego wieczoru wyszedł, zabierając walizeczkę, i wrócił już bez niej. Przekazał broń dalej.

– Szykuje się coś wielkiego – szepnął.

Nie powiedział, co konkretnie, ale domyśliłam się, że chodzi o zamach. Duży zamach na cywilów w Europie. Byłam przerażona, a z drugiej strony w dziwny sposób frapowała mnie myśl, że na kontynencie nastąpi atak naszych braci w islamie.

Nie myślałam o skutkach, nie stawały mi przed oczami trupy ani poszarpane ciała. Całkowicie zaufałam mojemu mężowi, prawowiernemu muzułmaninowi, który znał Koran i hadisy, zatem to, do czego dążył, musiało być dobre. Była w tym logika i konsekwencja.

► – Wkrótce się stanie – powiedział tajemniczo.

Dziś wiem, że chodziło o plan przeprowadzenia zamachu w Strasburgu.

Zamachowcy z Frankfurtu

Trudno mi ustalić, co Said robił w Berlinie. Pole widzenia Anny było dość wąskie, jej świat ograniczał się do codzienności, dzieci, męża i sióstr w islamie. Nie miała dostępu do ważnych decyzji i planów. Nie wolno jej było o nich wiedzieć, zresztą wcale nie chciała.

Przeszukuję sieć i różne archiwa, do coraz grubszej teczki trafiają linki i artykuły z niemieckich i francuskich mediów, które po kawałeczku złożą się na obraz działań Saida Arifa i jego roli w różnych przedsięwzięciach.

Pewnego dnia otrzymuję awizo i z poczty odbieram gruby pakiet. Jest to wydruk uzasadnienia wyroku, który zapadł przed francuskim sądem w sprawie o terroryzm: przeszło 300 gęsto zapisanych stron pełnych szczegółowych, czasem niezrozumiałych informacji na temat międzynarodowej siatki terrorystycznej, do której należał Said Arif.

Minęło wiele tygodni, zanim spytałam męża, jak się naprawdę nazywa.

Uzasadnienie wyroku, które dostałem dla mnie z sądu mój przyjaciel z Paryża, zawiera wiele ciekawych tropów. Są tu fragmenty przesłuchań i raportów wywiadowczych z kilku państw, spisy podsłuchanych rozmów i numerów telefonów komórkowych, adresy śledzonych mieszkań. Wyłania się z nich coraz wyraźniejszy obraz.

26 grudnia 2000 r. niemiecka jednostka antyterrorystyczna Grenzschutzgruppe 9 der Bundespolizei – potocznie GSG 9 – uderza w dwóch miejscach we Frankfurcie i zatrzymuje czterech Algierczyków podejrzewanych o planowanie zamachu terrorystycznego w Strasburgu na koniec grudnia. Akcja niemieckich antyterrorystów zostaje przeprowadzona po otrzymaniu poufnej informacji od służb francuskich i brytyjskich, od wielu tygodni śledzących i podsłuchujących mężczyzn.

W mieszkaniach Algierczyków, które przypominają fabryki bomb, policja zabezpiecza 30 kg chemikaliów wy-



Said Arif w latach 90. został bojownikiem islamskim. Znajdował się już pod wpływem Abu Katady, kaznodziei, który wypowiedział wojnę Zachodowi.

starczających do wytworzenia przeszło 6 kg materiałów wybuchowych. Poza tym wielkie ilości gwoździ i zapalniki radiowe, szybkowar, kilka fałszywych paszportów i cały arsenał broni: siedem pistoletów, tłumiki, dwa karabiny z celownikami optycznymi, dwa pistolety maszynowe i 772 sztuki amunicji różnego typu.

Policja znajduje również mapy Strasburga z zaznaczonymi celami i drogami ucieczki, jak i film wideo nagrany przez nich na bożonarodzeniowym jarmarku w mieście. Kamera panoramuje ponad masą ludzką, zatrzymuje się na gotyckiej katedrze, po czym znów filmuje kupujących, a jeden z mężczyzn komentuje z offu po arabsku:

– Oto wrogowie Boga, traficie do piekła.

Z aktu oskarżenia wynikało, że plan przewidywał detonowanie bomby rozpryskowej w tłumie kupujących na jarmarku albo przed strasburską katedrą. Media nazwały sprawców grupą z Frankfurtu, ponieważ to niemieckie miasto było ich bazą. Oskarżono ich o podżeganie do morderstwa i przygotowywanie zamachu bombowego, udział w siatce terrorystycznej i nielegalne posiadanie broni. Proces zakończył się skazaniem ich na kary wieloletniego więzienia.

– Wszyscy jesteście Żydami! Nie potrzebuję żadnego sądu, Allah jest moim obrońcą i jedynym sędzią. Wkrótce zostaniemy uwolnieni z więzienia i pójdziemy do nieba! – krzyczał na sali sądowej po ogłoszeniu wyroku jeden z oskarżonych.

Niebawem po akcji służb w drugim dzień świąt Bożego Narodzenia 2000 r. staje się jasne, że aresztowani nie działali sami: od wielu osób z różnych miejsc Europy otrzymywali

pieniądze i broń, także pomoc przy planowaniu i w logistyce. Trwa intensywna działalność wywiadowcza. Śledztwo prowadzi policja niemiecka i wywiad we współpracy z kilkoma innymi państwami.

Z czasem zaczyna się wyłaniać obraz dużej, luźno powiązanej siatki terrorystycznej obejmującej setki działaczy. Jej jądrem są Algierczycy, mający doświadczenie z ugrupowań terrorystycznych walczących w tamtejszej wojnie domowej oraz z obozów szkoleniowych Al-Kaidy w Afganistanie, oprócz nich Tunezyjczycy i Marokańczycy.

Siatka ma związki z Osamą bin Ladenem, ale działa niezależnie od Al-Kaidy.

W pierwszej fali aresztowań w lutym 2001 r. policja zatrzymuje dziesiątki osób we Francji, Włoszech i w Wielkiej Brytanii. Szef siatki, Abu Doha, zostaje kilka tygodni później aresztowany na lotnisku Heathrow, skąd na fałszywych papierach usiłuje zbiec do Arabii Saudyjskiej.

Abu Katada, duchowy przywódca grupy, zostaje tymczasowo zatrzymany w Wielkiej Brytanii.

Jednocześnie Francuzi otwierają własne śledztwo dotyczące planowanego zamachu terrorystycznego w Strasburgu. Dochodzenie prowadzi francuski sędzia Jean-Louis Bruguière.

Wkrótce w polu widzenia francuskiego kontrwywiadu, Direction de la Surveillance du Territoire, pojawia się pewne nazwisko: Said Arif.

Śledzeni

W styczniu 2001 r. policja niemiecka rozpoczyna tajną obserwację Saidą Arifa w ramach śledztwa dotyczącego planowanego zamachu terrorystycznego w Strasburgu. Tak

wynika z informacji przekazanej przez Bundeskriminalamt, federalną policję kryminalną, do francuskiego kontrwywiadu, ujawnionej w związku z procesem, który toczył się przed paryskim sądem w 2006 r.

Telefon męża Anny został objęty podsłuchem. W jednym z raportów czytamy: „Śledczy podsłuchiwali niemiecki numer telefonu XXXXXXX, używany przez Saida Arifa w Berlinie w 2001 r. do jego wyjazdu na Kaukaz”. Dość szybko przekonują się, że Said Arif utrzymywał i nadal utrzymuje regularny kontakt telefoniczny z wieloma Algierczykami z ugrupowań terrorystycznych GIA i ich następcy, GSPC, Salafickiej Grupy Modlitwy i Walki Islamskiego Maghrebu (GSPC przekształciła się w Al-Kaidę), oraz członkami tzw. grupy frankfurckiej, która przygotowywała plan zamachu na Strasburg. Raport niemieckiej policji przedstawia również działania Saida Arifa: w lutym 2001 r. próbuje od nielegalnego handlarza bronią kupić kałasznikowa z amunicją, ale z nieznanych powodów transakcja nie dochodzi do skutku. W kwietniu ra-

zem z drugim Algierczykiem zamawia w magazynie wojskowym 51 pojedynczych namiotów z demobilu i kilka dni później odbiera je wraz z osprzętem. W maju kupuje przenośny system nawigacyjny z zamiarem wystania go mudżahedinom w Gruzji.

Mieliśmy nadzieję na wspólną przyszłość w państwie talibów.

Policja notuje jego kolejne zmiany tożsamości i mieszkań: „Po powrocie z pobytu w Afganistanie latem 2000 r. Said Arif przebywał w Berlinie, podając się za Jesusa Manuela De Jesus Pacheco”. W raporcie napisano również, że „mieszkanie na Bohmische Strasse 9 należy do grupy frankfurckiej” oraz że „szwedzka żona Arifa, Anna Maria Sundberg, przybyła do Berlina, by z nim zamieszkać”, ale pod koniec kwietnia 2001 r. wraz z dziećmi wyjeżdża do Szwecji.

Jest wysoce prawdopodobne, że policja niemiecka zamierzała aresztować i postawić w stan oskarżenia Saida Arifa, ale tymczasowo pozostawiła

go na wolności, aby dzięki podsłuchom i śledzeniu jego ruchów zebrać jak najwięcej informacji. W kwietniu i maju rozmowy Saida Arifa z islamskimi bojownikami w Europie coraz częściej dotyczą podróży do Gruzji w celu dotarcia do mudżahedinów.

Pod koniec maja Said Arif znika z pola widzenia służb. Dopiero później niemieckim śledczym udaje się odtworzyć drogę jego ucieczki.

29 maja 2001 r., posługując się paszportem swojego kolegi, Arif poleciał do Mediolanu, gdzie spotkał się z dwoma weteranami GIA, z którymi następnie poleciał dalej do Gruzji. W Tbilisi jego ślad się urywa. (...)

Fragmenty książki Anny Sundberg i Jespera Huora *Żona terrorysty. Szesnaście lat życia wśród dżihadystów*, przekład Inga Sawicka, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2017



JONATHAN PŁOWRIGHT / LUKASZ BOROWICZ

PADEREWSKI STOJOWSKI

SINFONIA IUVENTUS

WARNER CLASSICS

WORLD PREMIERE RECORDING

MUZYKA POLSKA NA FORTEPIAN I ORKIESTRĘ
POLISH MUSIC FOR PIANO AND ORCHESTRA

W SPRZEDAŻY

SINFONIA IUVENTUS

PARTNER
RUCH MUZYCZNY

Przełęcz

MUZyczna WŁOCŁAWEK

Presto

MAESTRO

PATRONI MEDIALNI:

NIEWYGODNY ARCYBISKUP

Śmierć abp. Oscara Romera była efektem „brudnej polityki”, której ślady prowadzą do Waszyngtonu i Watykanu

Konrad Szelest

Śmiertelna kula dosięgnęła Oscara Romera kilka sekund po wygłoszeniu kazania w kaplicy szpitala Opatrzności Bożej w San Salvadorze. Był poniedziałek, 24 marca 1980 r. Duża część społeczeństwa, w większości wywodzącego się z dzielnic nędzy, natychmiast okrzyknęła Romera świętym. Arcybiskup był bowiem jedną z niewielu osób w Salvadorze, którym zależało na zniwelowaniu ogromnych różnic społecznych w tym państwie, w którym ubodzy cierpieli niewyobrażalną biedę, a właściciele ziemscy opływali w luksusy. Większość plantacji i gospodarstw znajdowała się w rękach kilkunastu klanów rodzinnych, wyzyskujących najbiedniejszą ludność. Oligarchicznego porządku pilnowała junta wojskowa. Fatalna sytuacja polityczna doprowadziła do niepokoju społecznych. Chrześcijaństwo zaczęło organizować grupy dyskusyjne, których zadaniem było wypracowanie odpowiedniej postawy wobec sprawujących władzę. Tworzące się w ten sposób tzw. wspólnoty podstawowe były reprezentowane przez kapłana, przypisanego do konkretnej grupy.

Inicjatywa ta wywołała reakcję właścicieli ziemskich. Obawiali się oni buntu, do którego mieli doprowadzić wieśniacy wspierani przez Kościół. Najbardziej radykalni plantatorzy, bojąc się utraty kontroli nad swoimi „parobkami”, rozpętali na łamach prawicowej prasy nagonkę, mającą zniszczyć wspólnoty podstawowe. W perfidnych i kłamliwych atakach nazywano aktywistów chrześcijańskich grup marksistami, dążącymi do czerwonej rewolucji. Równocześnie rzucono do boju prawicowe gangi (szwadrony śmierci), które przemierzały kraj, prześladowając i mordując wieśniaków. Krwawa wojna domowa co miesiąc kosztowała życie 3 tys. Salvadorczyków. Z równą zapalczywością tępieni byli księża, którzy stawali w obronie uciskanej ludności.



Zanim abp Oscar Romero zjawił się w Stolicy Piotrowej, przeciwni mu biskupi wystali do Jana Pawła II list ukazujący go jako komunistę.

Wśród zamordowanych przez działających na polecenie plantatorów żołnierzy sił rządowych był jezuita o. Rutilio Grande, broniący tysięcy ludzi katorzniczo pracujących na plantacjach trzciny cukrowej. Zastrzelono też 16-letniego chłopca i starszego mężczyznę, którzy jechali z nim samochodem. Od tej chwili abp Romero nie miał złudzeń, że należy wystąpić przeciwko niesprawiedliwości, wyzyskiwaniu i lekceważeniu najbiedniejszych obywateli przez rząd.

BEZSKUTECZNA INTERWENCJA U PAPIEŻA

W 1979 r. Romero udał się do Watykanu i w trakcie spotkania z papieżem Janem Pawłem II przekazał mu setki stron dokumentów opisujących, jak dyktatura wojskowa prześladowuje ludność w Salvadorze. W szczegółowych raportach znajdowały się również informacje o niechrześcijańskim postępowaniu niektórych hierarchów Kościoła katolickiego. Wojskowi, właściciele ziemscy i popierający ich duchowni

stanowili największą siłę w kraju. Obawiając się kroków podjętych przez Romera, biskupi związani z juntą wystali do Watykanu poufny list, w którym zwracali uwagę papieża na nieprzewidywalnego arcybiskupa. List zawierał sformułowania o komunistycznych i rewolucyjnych sympatiach Romera oraz jego rzekomej pogoni za sławą wśród najbiedniejszych. Oskarżenia dotarły do Watykanu, zanim abp Romero zdążył się spotkać z papieżem w cztery oczy. Jan Paweł II był więc przygotowany na przyjęcie niewygodnego kapłana. Słowo niewygodny jest najbardziej adekwatnym określeniem tego, w jaki sposób Romero był postrzegany przez watykańskich hierarchów.

Stolica Apostolska uważała go za jednego z największych orędowników teologii wyzwolenia. Powstały w Ameryce Łacińskiej ruch nawoływał do wsparcia uciskanych ubogich. Duchowni twierdzili, że wyzwolenie od doczesnych niesprawiedliwości powinno się dokonać za ziemskiego życia. Radykalni kapłani z Peru i Kolumbii poszli o krok dalej i sferę duchową

wzbogacili o elementy *stricte* polityczne, nakłaniając wiernych do chwycenia za broń i walki w imię marksistowskich ideałów. Władze w Salvadorze obawiały się, że Romero również sięgnie po element siłowy i będzie chciał położyć kres działaniom mafii plantatorów, wojskowych i ultraprawicowych duchownych. Stąd zabiegi mające zdyskredytować Romera w oczach papieża i watykańskich hierarchów.

Jan Paweł II był sceptycznie nastawiony do teologii wyzwolenia. Uważał, że Kościół nie powinien w żaden sposób mieszać się do polityki, a tym bardziej nawoływać do rewolucji społecznej. Papież, który za największe zło uważał komunizm, nie potępiał latynoamerykańskich dyktatorów i odmawiał wsparcia duchownym walczącym o podstawowe prawa mieszkańców. Podczas spotkania z Romerem przyjął dokumentację prześladowań, jakich dopuszczała się junta, ale zaapelował do arcybiskupa o rozagę i umiarkowanie.

Oscar Romero doskonale wiedział, że rząd USA aktywnie wspiera wojskową dyktaturę w Salvadorze. Na przykład w ostatnim roku prezydentury Jimmy'ego Cartera Salvador otrzymał 62 mln dol. (gdy w 1981 r. prezydentem został Ronald Reagan, kwota ta wzrosła czterokrotnie). Arcybiskup osobiście interweniował u gospodarza Białego Domu. W liście wysłanym do Cartera Romero napisał: „Twierdzisz, że jesteś chrześcijaninem. Przestań więc wysyłać pieniądze do Salvadoru! One są wykorzystywane do zabijania ludzi!”.

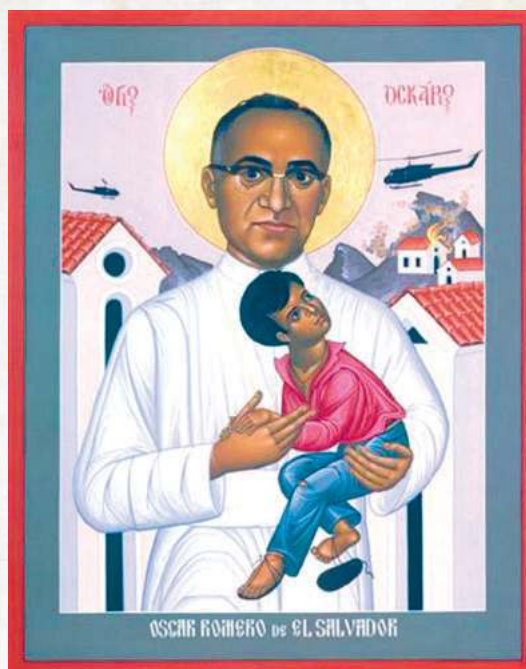
Waszyngton bardzo szybko zaszufladkował Romera jako wojującego komunistę. Człowiek, który ostro upominał lewicową partyzantkę („Gwałtem i tak nie osiągniecie niczego trwałego”), stał się niebezpiecznym, reakcyjnym duchownym, którego działania niepokoiły Biały Dom i Watykan. Tymczasem Romerowi zależało jedynie na poprawie skrajnie trudnych warunków życia Salvadorczyków.

Reżim rozpoczął zakrojoną na szeroką skalę akcję zastraszania arcybiskupa. Kilkakrotnie napadli go nieznani sprawcy. W jego kościele często wybijano szyby, łamano krzyże czy niszczone ołtarz. Na ścianach budynków w San Salvadorze ktoś wypisywał obelgi pod adresem Romera. Najłagodniejsze hasła namawiały Salvadorczyków do zabójstwa arcybiskupa w ramach patriotycznego czynu. Romero zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może zginąć z rąk osób związanych z juntą.

Nie pozwolił jednak się zastraszyć. Zrezygnował z ochrony, twierdząc, że to jego owieczki potrzebują opieki, a on jako pasterz da sobie radę.

Dzień przed zabójstwem, 23 marca 1980 r., podczas mszy arcybiskup zaapelował do żołnierzy, aby nie słuchali rozkazów sprzecznych z wolą Boga. Historycy uważają, że właśnie tym kazaniem wydał na siebie wyrok. Reżim odebrał jego słowa jako nakłanianie armii do buntu.

Romero zdawał sobie sprawę, że może zginąć z rąk osób związanych z juntą, ale nie pozwolił się zastraszyć.



Ikona przedstawiająca abp. Romera jako obrońcę uciśnionych.

Zamachowiec, który oddał śmiertelny strzał do Romera, dziwnym zbiegiem okoliczności uciekł z miejsca zdarzenia nierozpoznany i ślad po nim zaginął. Dopiero w 2003 r. w Kalifornii rozpoczął się proces Álvara Rafaela Saravii, którego oskarżono o odegranie kluczowej roli w zorganizowaniu zamachu na życie Romera. Chodziło o opłacenie zabójcy, zapewnienie mu transportu do kaplicy oraz kontakt z Robertem D'Aubuissonem, dowódcą szwadronu śmierci, biorącym udział w zamachu. Proces został wytoczony przez osobę, która chciała zachować anonimowość.

Wcześniej Komisja Prawdy ONZ dla Salvadoru oraz amerykańska Komisja ds. Praw Człowieka przeprowadziły własne śledztwa, z których wynikało,

że Saravia był aktywnie zaangażowany w przygotowanie i przeprowadzenie zamachu. Oskarżony do 1987 r. mieszkał na terenie Stanów Zjednoczonych, kiedy to został aresztowany pod zarzutem nielegalnej imigracji. Wkrótce po tym prokuratorzy z Salvadoru wystąpili z wnioskiem o jego ekstradycję. Jednak z niezrozumiałych przyczyn Sąd Najwyższy Salvadoru cofnął żądanie ekstradycji i Saravia po odbyciu kary 14 miesięcy więzienia za

nielegalny pobyt w Stanach Zjednoczonych wyszedł na wolność. Otrzymałszy niezbędne dokumenty, w spokoju zamieszkał na Florydzie, a potem w Kalifornii. Rozpoczęty w 2003 r. proces zakończył się 3 września 2004 r. Amerykański sąd orzekł, że Saravia jest odpowiedzialny za zabójstwo abp. Romera, i nakazał mu wypłacić osobie, która wniosła oskarżenie, kwotę 10 mln dol. Jak później się okazało, anonimową osobą był jeden z krewnych arcybiskupa, ale jego tożsamości do dzisiaj nie poznano. Ponadto sąd uznał zabójstwo Oscara Romera za zbrodnię przeciwko ludzkości, będącą częścią systematycznych ataków mających sterroryzować ludność cywilną.

KORZYŚCI WASZYNGTONU I WATYKANU

Śmierć arcybiskupa z pewnością była na rękę amerykańskiej administracji oraz watykańskim hierarchom. Waszyngton każdą prawicową siłę w państwach Ameryki Środkowej traktował jako cennego sprzymierzeńca, blokującego dojście do władzy komunistów. Wspieranie krwawych reżimów nawet za cenę tysięcy niewinnych ofiar stanowiło lepsze rozwiązanie niż rewolucja na granicy strefy wpływów USA. Romero jako przywódca religijny, który namawiał biednych Salvadorczyków do walki o swoje prawa, był dla Amerykanów kimś w rodzaju niebezpiecznego i gotowego na spontaniczne decyzje „człowieka ludu pracującego”.

Czy prezydent Carter mógł czuć się osobiście urażony treścią listu Rome-

► ra? Cała historia uderzyła zapewne mocniej w amerykańskie służby specjalne i dyplomatów, którzy nie chcieli wypuścić z rąk Salwadoru. W tym miejscu należy zadać podstawowe pytanie: czy junta działała w tajnym porozumieniu z Amerykanami? Biorąc pod uwagę pomoc finansową, jaką administracja Cartera wysyłała do Salwadoru, nie można wykluczyć takiej możliwości. Gwarancja wewnętrznego porządku, na którym zależało wojskowemu reżimowi, była tożsama z utrzymaniem ustroju i linii politycznej zgodnej z oczekiwaniami USA. Wniośki wydają się oczywiste.

A jaką rolę na tle współpracy salwadorsko-amerykańskiej odegrał Watykan? Jan Paweł II po śmierci abp. Romera określił go jako „gorliwego pasterza, który oddał życie za Kościół i swój naród”, a w czasie wizyty w Salwadorze w 1983 r. modlił się na jego grobie. Liczni obserwatorzy podkreślali jednak, że papież oraz ówczesny prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Joseph Ratzinger nieufnie patrzyli na salwadorskiego duchownego. Konserwatywna Kuria Rzymska i wielu

biskupów wszystkie przejawy rewolucji mas czy ogólnie pojętego komunizmu traktowało jako element śmiertelnie wrogi. W teologii wyzwolenia zwracano uwagę jedynie na aspekty polityczne, zawierające wzmianki o komunistycznych sympatiach i głoszące nadejście rewolucji klasowej. Nie próbowano

cyjny Oscara Romera rozpoczął się dopiero w 1994 r. W dodatku przez kolejne lata procedura nie ruszyła z miejsca i ani Jan Paweł II, ani jego następca Benedykt XVI nie wynieśli na ołtarze męczennika z Salwadoru. Widocznie uprzedzenie do teologii wyzwolenia było zbyt silne.

Abp Romero doskonale wiedział, że USA aktywnie wspierają wojskową dyktaturę w Salwadorze.

spojrzeć na całą kwestię przez pryzmat uciskanej biedoty, mimo przykazania: kochaj bliźniego jak siebie samego. Wśród osób nastawionych sceptycznie do pontyfikatu Jana Pawła II nie brakuje opinii, że papież, wykorzystując swoją charyzmę oraz status, mógł czynnie włączyć się do rozgrywki politycznej, której zadaniem było zniszczenie każdej siły wspierającej komunizm.

BEATYFIKACJA JAKO REKOMPENSATA?

Faktem jest, że zapowiadany jeszcze w latach 80. XX w. proces beatyfika-

cyjny Oscara Romera rozpoczął się dopiero w roku 2013, gdy w Watykanie był już nowy papież – Franciszek. Uroczysta msza beatyfikacyjna arcybiskupa odbyła się w San Salvadorze 23 maja 2015 r.

Najzgorzalsi przeciwnicy papieża Franciszka twierdzą, że ta błyskawiczna beatyfikacja miała stanowić rodzaj zadośćuczynienia za domniemaną współpracę przyszłego biskupa Rzymu z argentyńską juntą w latach 70. XX w. W tej sprawie tajemnica goni tajemnicę.

Konrad Szelest




KAŻDA OKAZJA JEST DOBRA, ABY PODAROWAĆ PREZENTY, KTÓRE ODMIENIA ŻYCIE DZIECI

Dzień Ojca, urodziny brata, imieniny cioci, ślub przyjaciół ...



Mogą to być szczepionki...



albo pasta terapeutyczna...



albo nawet szkoła w pudełku!

Zapraszamy Was na PREZENTYBEZPUDLA.PL



© UNICEF/Hyams

Dziennikarskie ofiary LIPCA 2017

Edward Mikołajczyk

Z okazji 22 lipca prezydent RP Andrzej Duda przesłał gratulacje oraz najlepsze życzenia Marcinowi Wolskiemu, dyrektorowi telewizyjnej Dwójki. Prezydent przypomina redaktorowi Wolskiemu, że od lat jest on związany z Polskim Radiem i że sporo potrafi. Z tekstu można jeszcze się dowiedzieć, że MW również „dał się poznać jako ceniony pisarz”. Niestety, nie ma w korespondencji ani słowa o Wolskim poecie, płomiennym i bezkompromisowym psalmiście, rymującym nieomylnie po zwycięskiej stronie każdej rewolucji.

„Na osobne nadmienie zasługują Pana realizacje telewizyjne”, pisze prezydent, ale z tytułu tych zasług niczego nie nadmienia, co może znaczyć, że nie ogląda „W tyle wizi”, a na „Polskie zoo” miał w domu szlaban.

Z dorobku Wolskiego w pamięci prezydenta zostało „60 minut na godzinę” i film „Smoleńsk”. Z tym filmem prezydent trochę ryzykuje, bo co prawda słyszy ciągle pod oknami, że prawda jest blisko, ale nie aż tak, żeby już dzisiaj serio chwalić Wolskiego za jego wkład scenariuszowy. To przecież autor o zacięciu satyrycznym, a na razie smoleńskie pochody dochodzą do pałacu i stojąc, dochodzą do prawdy. Trzeba zaczekać z komplementami dla scenarzysty, kiedy pochód ruszy dalej, pod siedzibę Polskiej Akademii Nauk.

Cztery wyprostowane palce środkowe Filipa i Lucjana to w istocie propozycja nowego języka.

„Gratuluję doskonałego wyczucia języka”, napisał prezydent do słynnego nadredaktora i to może wyjaśniać, dlaczego ten list nie przejdzie do historii epistolografii i dlaczego okadaniem Wolskiego Kancelaria Prezydenta RP zakończyła obchody 22 lipca.

Lipiec 22 przechodzi do historii jako ważny polski miesiąc ze względu na liczne ofiary dziennikarskie. Stracił miejsce w zespole „Znaku” red. Jarosław Gowin, przez 10 lat na przełomie wieków naczelny tego pisma. Redakcja wyjaśniła, że „za wspieranie działań obozu rządzącego zmierzających do pozbawienia niezależności władzy sądowniczej”.

Komunikat wymienia kilka nazwisk, z którymi opinia publiczna kojarzy środowisko „Znaku”, wśród nich Tadeusza Mazowieckiego, Stanisława Stommy i Jerzego Turowicza, oraz przypomina o imponderabiliach, którym to środowisko jest wierne, a z którymi w sprzeczności znalazło się zachowanie redaktora Gowina, w przebraniu wicepremiera w rządzie PiS. Przy okazji warto wyjaśnić, że imponderabilia to nie jest

nowa rodzina dezodorantów. Nie wypada pytać w sklepach z bielizną ani upominać się o nie w Kancelarii Sejmu przy kwitowaniu wyprawki poselskiej. Nie można tego dotknąć, choć widać, słyszać i można poczuć, nawet przez ekran telewizora.

Jest pewna okoliczność, która może usprawiedliwić dzisiejsze czyny i wszystko, co w przyszłości zrobi Jarosław Gowin. Powiedział on niedawno, że mamy (MY w tych ustach znaczy – Polska) wszelkie przesłanki, aby twierdzić, że branża gier wideo stanie się naszą narodową specjalnością. Osobiście zagrał w spocie promującym odnośną kampanię. W materiale widać profesjonalizm, wicepremier przekonująco podaje do kamery najważniejsze przesłanie filmu: „Robienie gier jest fajniejsze niż granie”.



FOT. VIA TWITTER

Redakcja „Znaku” ułatwiła tylko ostateczny wybór byłemu koledze. Od tej pory JG może robić wyłącznie to, co fajniejsze.

Niepotrzebną ofiarą Lipca 2017 padli Filip S. i Lucjan O. Podaję inicjały nazwisk, bo ci dwaj młodzi mężczyźni pokazywali pod Sejmem „fucki” innym uczestnikom demonstracji, a jak się okazało, byli tam służbowo, bo współpracują z TVPiS Info. Kiedyś zmadrzeją i zaczną się wstydzć z obu powodów.

Tymczasem dowódca oddziału newsów partyjnej telewizji pochopnie skreślił ten zgrany duet. Nie dostrzegł w ich choreografii nowego narzędzia do odświeżenia załatującej już narracji propagandowej. Te cztery wyprostowane palce środkowe Filipa i Lucjana to w istocie propozycja nowego języka. Weźcie ich, ten wyższy chłopak niech fakuje za prezentera, a niższego posadźcie na pasku i niech robi to samo. Przekaz zyska na wyrazistości, a was ominie gniew Rady Języka Polskiego. Kiedy w ogóle nie będzie już słów w dyskusji publicznej, co wam robi Rada, której chodzi tylko o słowa?

Doskonałego wyczucia palców pogratuluje wam, dla odmiany, Kancelaria Prezesa Rady Ministrów. ■

BEZPŁATNY

NEWSLETTER



ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Jeśli nie, to można to zrobić na stronie www.tygodnikprzeglad.pl, podając swój adres e-mail, lub dzwoniąc do redakcji, tel. 22 635 84 10 wew. 111.

Dostając newsletter, w każdy poniedziałek otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGŁĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY
W KONTAKCIE!



BOBRY – OPANOWAŁY KRAJ, ZDOBYWAJĄ WARSZAWĘ

Mamy dziś w Polsce ponad 100 tys. bobrów, za cztery lata może ich być 140 tys.

Przemysław Miller

Kilka lat temu, żeby zobaczyć bobra, trzeba było spędzić noc na mokradłach w dolinie Czarnej Hańczy. Dziś największego polskiego gryzonia można spotkać nad Wisłą w centrum Warszawy, w Poznaniu, Krakowie, Szczecinie, Trójmieście, a nawet w okolicach Łodzi. I to jest bardzo poważny problem.

KUNSZTOWNY BUDOWNICZY

Już w X w. książęta otaczali bobra szczególną opieką, a polowania na te zwierzęta były przywilejem sprawujących władzę. W XIII w. na dworach została wprowadzona funkcja bobrowniczego, do którego

nych latach sprawy pozostawiono już w rękach natury. Dziś w Polsce mamy ponad 100 tys. bobrów.

Niestety, błyskawiczny przyrost populacji tych zwierząt przynosi szkody wynikające z budowy przez nie grobli, tam i kaskad na ciekach wodnych, poczynając od małych strumyków, na rzekach skończywszy. W wyniku tej kunsztownej „inżynierskiej” pracy powstają różnej wielkości rozlewiska – tzw. stawy bobrowe, które na terenach nizinnych mogą mieć powierzchnię nawet kilkudziesięciu hektarów, zwłaszcza gdy bobry wybudują cały system tam w obrębie jednego strumienia, potoku lub rzeki.

Oczywiście są i plusy takiej działalności. Bobrowe budowle zmniejszają szczyt potencjalnej fali powodziowej, podwyższają i stabilizują poziom wód gruntowych – zwłaszcza na terenach

ble i wały przeciwpowodziowe, wycinają drzewa ozdobne i owocowe, na co szczególnie skarżą się sadownicy z okolic Góry Kalwarii, Grójca i Warki, niszczą plantacje ogrodnicze, wyjadają uprawy marchwi, kapusty, kukurydzy i buraków położone m.in. na terenie wilanowskich Zawad. Jamy i kanały wykopane przez zwierzęta doprowadzają do licznych tąpnięć i zapadania się ziemi na polach i łąkach Mazowsza, Wielkopolski oraz Śląska.

Straty w uprawach są znaczne, niekiedy całkowicie pozbawiają rolników czy sadowników dochodu z ich ciężkiej pracy. Odtworzenie zniszczonego przez bobry sadu trwa kilka lub kilkanaście lat. W gospodarstwach rybackich wydrążonymi przez gryzienie kanałami wypływa ze stawów woda wraz z hodowanymi

w nich rybami. Na skutek działalności bobrów zaburzeniu ulegają stosunki wodno-powietrzne w glebie, co prowadzi do

Zagrożeni niszczycielską działalnością bobrów ludzie będą się uciekali do mało humanitarnych metod. W ruch pójdą sidła i inne żelastwa.

obowiązków należały ochrona i dokarmianie zwierząt w zimie. W 1919 r. bobry zachowały się w Polsce jedynie w dorzeczu Prypeci i Niemna, a ich populacja szacowana była na 235 osobników. Dzięki aktom prawnym z lat 1919 i 1934, stanowiącym fundament ochrony przyrody, liczebność bobrów tuż przed wybuchem wojny zwiększyła się do ok. 400 osobników. Po zakończeniu wojny zakupiono w ZSRR 26 sztuk tych zwierząt. W 1974 r. z inicjatywy prof. Wirgiliusza Żurowskiego i pracowników Stacji Doświadczalnej PAN w Popielnie na Mazurach rozpoczęto Program Aktywnej Ochrony Bobra Europejskiego. Do 1992 r. corocznie kilkadziesiąt bobrów wyhodowanych w Popielnie przesiedlano na nowe tereny, dzięki czemu populacja tych zwierząt w Polsce zwiększyła się do ok. 2,3 tys. osobników. W następ-

z deficytem wody, a ponadto powodują niezwykle pożyteczne osadzenie się cząsteczek organicznych i mineralnych. Ale w przypadku wolnego biegu rzeki i łagodnej rzeźby terenu te zalety stają się mankamentami. Strumienie i rzeki tracą pierwotny charakter, do tego stopnia, że trudno znaleźć odcinki, w których rzeczka płynie swoim właściwym korytem. Cierpią na tym cenne ryby z gatunku łososiowatych, przywykłe do szybszych rzek i potoków na Pomorzu, Kujawach czy Dolnym Śląsku. Zagrożona jest również rzeka Pastęka na Warmii.

SMAKOSZ KAPUSTY I KUKURYDZY

Na terenach zamieszkałych przez bobry i ludzi dochodzi do podtopień gruntów rolnych. Bobry niszczą gro-

jej zakwaszenia i rozwoju niekorzystnej mikroflory. Przy długo utrzymujących się podtopieniach dochodzi do tzw. zaduszenia roślin z uwagi na brak powietrza w glebie. Wszystko to niekorzystnie odbija się na uprawach rolnych.

Bobry dają się we znaki drogowcom i kolejarzom, podkopują bowiem nasypy kolejowe i drogowe na nowo oddanych odcinkach dróg i autostrad, blokując przepust. Bardzo często ścinane przez bobry drzewa spadają na linie energetyczne i telefoniczne. Z aktywnością tych gryzoni od lat borykają się władze Warszawy, Poznania, Szczecina i Wrocławia. W stolicy bobry zdomowiły się w Jeziorku Czerniakowskim i w stawie pałacowym w Wilanowie. We Wrocławiu upodobały sobie opuszczone i zaniedbane stare baseny portowe na Odrze, podobnie sytuacja

wygląda na Warcie w Poznaniu oraz w innych częściach kraju.

W chronionych rezerwach leśnych na Warmii, Mazurach i Pomorzu bobry wycinają wiele cennych gatunków drzew, a podtopienia na tych terenach grożą atakiem owadów, którym wyjątkowo dobrze służy środowisko wodne. Dorosły bóbr w ciągu roku może ściąć nawet ok. 200 dużych drzew. Zważywszy na to, że w 60-letnim lesie na 1 ha przypada ok. 1,5 tys. drzew, a w 100-letnim – ok. 400, szkody te są bardzo dotkliwe dla środowiska. Ponieważ gryzoń ten żyje przeciętnie do 30 lat, a zdarzają się też okazy

nych umocnień brzegów i skarp, chroniąc je przed erozją wodną i skutkami powodzi.

JAK W SZWECJI I FINLANDII

Zwolennicy ścisłej ochrony bobrów w Polsce uważają, że najlepszym środkiem zaradczym są planowe odłowy zwierząt najbardziej dających się we znaki ludziom oraz sprawnie działający system odszkodowań. Teoretycznie jest to dobry pomysł. W praktyce jednak przesiedlone zwierzęta będą wyrządzać takie same szkody jak w poprzednim miejscu.

Wydaje się, że polowania na bobry wzorem krajów proekologicznych, Szwecji i Finlandii, są jedynym skutecznym antidotum na powiększającą się w postępie geometrycznym populację tych zwierząt. Jeśli to tempo się utrzyma, jest bardzo prawdopodobne, że już za cztery lata liczba osobników będzie wynosiła ok. 140 tys. Zagrożeni niszczycielską działalnością bobrów ludzie będą się uciekali do mało humanitarnych metod ich eliminowania. W ruch pójda sidła i inne wymyślne żelastwa, które będą najpierw sprawiać zwierzętom nieopisane cierpienia, a dopiero później zadawać śmierć.

W Szwecji i Finlandii, które mogą służyć za wzór w dziedzinie ekologii, władze kierują się zasadą zrównoważonego zachowania środowiska naturalnego, która jest gwarancją uniknięcia tego typu kłopotów. Dlatego najwyższa pora przestać udawać, że nie ma problemu. Trzeba zapewnić takie regulacje prawne, aby nadal skutecznie i rozsądnie chronić bobra przy jednoczesnym wyeliminowaniu zagrożeń wynikających ze wzrostu jego populacji.

W przeciwnym razie rozdęta ponad dopuszczalną miarę przez pseudoekologów ochrona środowiska zakończy się jego nieuchronną apokalipsą. Ponieważ od zarania dziejów w świecie przyrody jest tak, że każdy nadmierny i niekontrolowany wzrost jest ograniczany siłami natury, populacja bobra powinna zależeć od jego odwiecznego selekcjonera – człowieka, który, jak przystało na rasowego drapieżnika, polował na bobry nie dla próżnej przyjemności, ale dla smacznego i pożywnego mięsa.

Ochrona gatunkowa na miarę XXI w. powinna przede wszystkim oddziaływać na świadomość społeczną i mobilizować ją wtedy, gdy w rachubę wchodzi bezpośrednie zagrożenie chronionego zwierzęcia. W wypadku bobrów może to być np. interwencja na rzecz zabezpieczenia żeremia, udaremnienie kłusownictwa lub zapobieganie prześladowaniu dziko żyjących osobników, które przypadkiem znalazły się poza swoją ostoją, wśród ludzkich siedzib. Jednak zdecydowana większość działań na rzecz jakiegokolwiek ochrony gatunkowej musi przebiegać zawsze pod okiem doświadczonych naukowców i ekspertów, gdyż jest to gwarancją sukcesu całego przedsięwzięcia. ■



Bóbr, największy polski gryzoń. Waży od 15 do 30 kg, mierzy nawet metr długości. Żyje w wolno płynących wodach i leśnych jeziorach. W Polsce od 1919 r. jest pod ścisłą ochroną.

starsze, w ciągu całego życia może wykarczować spore obszary leśne. Kolejnym bardzo istotnym skutkiem nadmiernej liczebności bobrów jest niszczenie niezwykle cennych z ekologicznego punktu widzenia nadwiślańskich i nadwarciańskich lasów łęgowych oraz Wielkiego Łęgu Obrzańkiego, które, ze względu na nieduży udział w ogólnej powierzchni lasów w Polsce, stanowią bardzo ważne środowisko przyrodnicze. Zniszczeniu ulegają również drzewostany nadrzeczne, które nie tylko pełnią funkcje przyrodnicze, ale też stanowią istotne elementy natural-

Dlatego, ponieważ zmieniły się realia, należy zliberalizować prawo dotyczące ochrony tego gatunku, tak by pogodzić racjonalną, prawidłową ochronę gatunkową tego zwierzęcia z możliwością jego kontrolowanego odstrzału. Wbrew obawom takie rozwiązanie nie pociąga za sobą ewentualnej zagłady bobrów. Składa się na to wiele czynników. Jednym z nich jest efektywność polowań. Zgoda na ściśle limitowany odstrzał w przypadku tych zwierząt nie oznacza takiej samej liczby zastrzelonych osobników. Wbrew pozorom upolowanie bobra nie jest proste, nawet dla bardzo doświadczonego myśliwego. Bóbr jest aktywny w nocy, w dodatku to zwierzę bardzo ostrożne i płochliwe, ma nieprzeciętny zmysł pozwalający wykryć grożące mu niebezpieczeń-

LECZENIE DLA WYBRANYCH

Co roku jest 2-4 tys. nowych zachorowań na samoistne włóknienie płuc.
Do programu lekowego zostanie zakwalifikowanych tylko 200 osób

Barbara Jagas

Śmierć przychodzi przez uduszenie. Ale wcześniej trzeba cierpieć przez około trzech i pół roku, bo tyle trwa nieleczone IPF – idiopatyczne (samoistne) włóknienie płuc. A to oznacza życie z dusznością, brak sił, by się ubrać lub zrobić sobie śniadanie, niemożność porozmawiania, bo wypowiedzenie paru słów męczy, nie mówiąc już o mało estetycznym wyglądzie – sinych wargach, paznokciach i uszach.

„Piszę w imieniu taty, który ma zdiagnozowane IPF, a który ostatnio bardzo schudł, każdy krok go wyczerpuje, ma problemy z oddychaniem i śpi tylko na siedząco. Był w szpitalu dwukrotnie, ale lekarze rozłożyli ręce, mówiąc, że nie ma dla niego ratunku, ponieważ choroba jest zbyt zaawansowana, aby starać się o wejście do programu leczenia. Czy mam czekać, aż umrze? Zrozpaczona Renata”.

„Proszę o pomoc dla 62-letniego męża, który się dusi od kaszlu i robi siny na twarzy. Dostawał od pulmonologa sterydy na rozszerzenie oskrzeli, ale w końcu okazało się, że ma IPF. Nie bardzo wiedzieliśmy, co to jest. Sięgnęliśmy do internetu i teraz jesteśmy przerażeni, bo na to nie ma leków. Ratunku, pomocy! Krystyna”.

Tego typu rozpaczliwych postów można znaleźć wiele na forach internetowych, bo ludzie nie wiedzą, co to za choroba, a jeśli już się dowiedzą, to nie mają pojęcia, co robić dalej.

Dopiero jeden z chorych, Lech Karpowicz, który zorientowawszy się, że nie ma w Polsce leku na IPF, założył Towarzystwo Wspierania Chorych na Idiopatyczne Włóknienie Płuc i wraz z dr Katarzyną Lewandowską spowodował, że lek od tego lata, w Warszawie od sierpnia, ma być dostępny i refundowany w całej Polsce.

NIE DLA KAŻDEGO

To wielka radość, niestety nie dla wszystkich, bo ledwie garstka cho-

rych skorzysta z refundowanej terapii. Na przykład w Warszawie do programu lekowego pirfenidonem zostanie zakwalifikowanych tylko 40 osób, Ministerstwo Zdrowia przeznaczyło bowiem na ten cel kwotę 1,6 mln zł, podczas gdy pod opieką Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc znajduje się 300 chorych. W skali kraju leku ma wystarczyć dla 200 osób. Tymczasem co roku mamy 2-4 tys. nowych zachorowań na samoistne włóknienie płuc. A leczenie kosztuje 8 tys. zł miesięcznie.

Do zwłóknienia płuc dochodzi na skutek działania mechanizmów naprawczych organizmu. Jak w miejscu uszkodzonej skóry powstaje blizna, tak w płucach zwłóknienie. W IPF proces naprawczy nie zostaje zahamowany, mimo że uszkodzenia już nie ma. Następuje bliznowacenie tkanki płucnej, co prowadzi do utraty czynności płuc – przestają one przekazywać tlen do krwi. Dlatego jednym z objawów jest uczucie duszności z powodu niedotlenienia.

Przyczyny IPF nie są znane, wiadomo jedynie, że choroba powstaje na skutek jakiegoś czynnika uszkadzającego płuca, które są narażone na kon-

tolerancja na wysiłek, chory szybko się męczy, czynności, które przedtem były łatwe do wykonania, powodują zadyszkę, trzeba często się zatrzymywać przy chodzeniu, odpoczywać. – Te objawy są długo lekceważone przez pacjentów, którzy myślą, że po prostu się starzeją – zwraca uwagę dr Lewandowska. Kolejnym objawem jest kaszel, najczęściej suchy, napadowy, w miarę postępu choroby duszność i kaszel nasilają się, aż w końcu ma się duszności nawet w spoczynku, również kaszel jest intensywniejszy. W bardziej zaawansowanym stanie występuje sinica – niebieskawe zabarwienie ud, końcówek palców, uszu. Charakterystyczne są tzw. pałeczkowate palce – końcówki palców poszerzone, a paznokcie wypukłe.

IPF jest chorobą rzadką. Szacuje się, że zapada na nią 5-11 osób na 100 tys., ale już w grupie po 65. roku życia częstość zachorowań wzrasta do 100 na 100 tys. mieszkańców, czyli w tym przedziale wieku na IPF zapada 1 na 1000 osób.

Droga do diagnostyki i leczenia jest dłuższa, niż być powinna. A to dlatego, że choroba pozostaje sta-

Lek na IPF od tego lata ma być dostępny w Polsce..

takt z toksycznymi substancjami ze środowiska zewnętrznego. – Duża ich część może mieć wpływ na powstanie zwłóknienia płuc – mówi dr Katarzyna Lewandowska, pulmonolog z Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc.

Dokładnie nie wiadomo, co uszkadza płuca i wyzwała IPF, ale znane są czynniki ryzyka: starszy wiek, kiedy to mechanizmy obronne i naprawcze organizmu w sposób naturalny ulegają upośledzeniu, płeć męska – nie wiadomo dlaczego, palenie papierosów – ponad 70% pacjentów to byli palacze, a także predyspozycje genetyczne.

TRZESZCZENIE PŁUC

Na początku można nie odczuwać żadnych objawów. Z czasem maleje

bo poznana. Chorzy na IPF zgłaszają się do lekarza z dusznością i kaszlem. Po osłuchaniu doktor stwierdza trzeszczenie płuc. Jak zaznacza dr Lewandowska, są to objawy spotykane w wielu chorobach, np. w zapaleniu płuc i niewydolności serca. Często zatem stawia się opóźnioną diagnozę, wcześniej lecząc chorych nieskutecznie na inne schorzenie. Dr Lewandowska sugeruje, że przy stwierdzeniu duszności, kaszlu i osłuchowego trzeszczenia płuc lekarz powinien skierować pacjenta na rentgen klatki piersiowej. Ale – jak sama zaraz dodaje – we wczesnym stadium zmian może nie być lub są tak niewielkie, że radiolog nie zwróci na nie uwagi. Dopiero w stadiach bardziej zaawansowanych pojawiają



W większości krajów Unii Europejskiej lekarz może wybrać jeden z dwóch leków.

Pacjentów z podejrzeniem IPF należałoby od razu kierować na tomografię komputerową.

się w płucach charakterystyczne siateczkowate zagęszczenia, które radiolog powinien już wychwycić.

Najlepiej byłoby kierować chorych z podejrzeniem IPF od razu na tomografię komputerową, które to badanie już na wcześniejszym etapie wykryje samoistne włóknienie płuc, a w stadium zaawansowanym radiolog zobaczy tak charakterystyczne zmiany – tzw. plaster miodu i poszerzone oskrzela. Ale na tego typu badanie trzeba mieć skierowanie od pulmonologa, a potem jeszcze odczekać w kolejce. W ten sposób czas leci, a choroba się rozwija. Inne badania oceniające stan narządu to pletyzmografia płuc i pojemność dyfuzyjna płuc, czyli ocena całkowitej pojemności płuc i ich zdolności do przekazywania tlenu do krwi. Niestety, są one możliwe już tylko w specjalistycznych ośrodkach.

Dlatego chorzy na IPF i lekarze opiekujący się nimi apelują o powołanie sieci centrów eksperckich, które zajmowałyby się pacjentami z tym schorzeniem. – Choroba wymaga wnikliwej diagnostyki, ponieważ przypomina wiele schorzeń, a także rodzajów zwłóknień płuc, a trzeba wyłonić jedno, by móc je leczyć – mówi dr Lewandowska. – Gdybyśmy

mieli takie centra eksperckie zajmujące się chorobami śródmiąższowymi, moglibyśmy szybciej reagować, a tak zanim pacjent dotrze do ośrodka akademickiego, miną dwa-trzy lata i może się okazać, że nie zdążymy u niego rozpoznać choroby, bo umrze.

OSTRE KRYTERIA

Kryteria zakwalifikowania do programu lekowego były surowe. Mogli się do niego dostać tylko pacjenci w łagodnym i umiarkowanym stadium choroby. Tymczasem są dane, jak twierdzi dr Lewandowska, że również u chorych w bardziej zaawansowanym stadium terapia przynosi efekty. Dlatego nie powinno się z niej rezygnować, a tak się robi, zgodnie z zaleceniami NFZ, gdy u pacjenta schorzenie pogorszy się o jeden stopień. Takim osobom pozostaje leczyć się na swój koszt, a jest to wydatek 96 tys. zł rocznie.

Lech Karpowicz liczy jednak na to, że pomimo dzisiejszych problemów z dostępem do pierwszego leku dojdzie do rejestracji kolejnego – nintedanibu, który ma podobny mechanizm działania, hamujący tempo spadku pojemności życiowej płuc. Obydwa leki, zwane antyfibro-

tycznymi, spowalniają postęp choroby o ok. 50%. To bardzo dużo dla cierpiących. I byłoby wspaniale, gdyby chorzy mieli dostęp do obu. Lekarze wraz z chorymi apelują o to, by w Polsce oba były refundowane. Dzięki temu lekarz z pacjentem mieliby wybór terapii. – A ponieważ choroba atakuje ludzi w starszym wieku, którzy zażywają wiele leków, możliwość wyboru jest bardzo ważna. Może bowiem się okazać, że jeden lek będzie kolidował z innymi, które pacjent bierze, albo będzie źle tolerowany – tłumaczy dr Lewandowska. – Powinno być u nas tak jak w całej Europie – dodaje.

W większości krajów Unii Europejskiej lekarz, który rozpoznaje IPF, wypisuje receptę na jeden z dwóch leków, potem chory idzie do apteki i dostaje go za darmo lub płaci kilka euro. W krajach Europy Środkowej i Wschodniej leczenie jest trudniej dostępne, istnieje centralna komisja kwalifikująca. Tyle że tam chorzy mają od dwóch lat dostęp do obydwu leków, a u nas to, niestety, ciągle jeszcze przyszłość. Miejmy jednak nadzieję, że decydenci zrozumieją potrzeby tysięcy chorych, którzy się duszą i ciągle mają nadzieję na poprawę swojego losu. ■

WORLD PRESS PHOTO

Pięć postawionych 30 lat temu, nigdy niewykończonych budynków, grożących zawaleniem, bez kanalizacji i elektryczności, stało się miejscem życia 300 rodzin, które musiały opuścić fawele w związku z rządowymi planami rozbudowy Rio de Janeiro. Squatom nadano ironiczną nazwę Copacabana Palace – luksusowego hotelu w Rio, z widokiem na słynną plażę. Zgodnie z oficjalnymi danymi brazylijskiego Instytutu Geografii i Statystyki w kraju jest 1,8 mln bezdomnych.

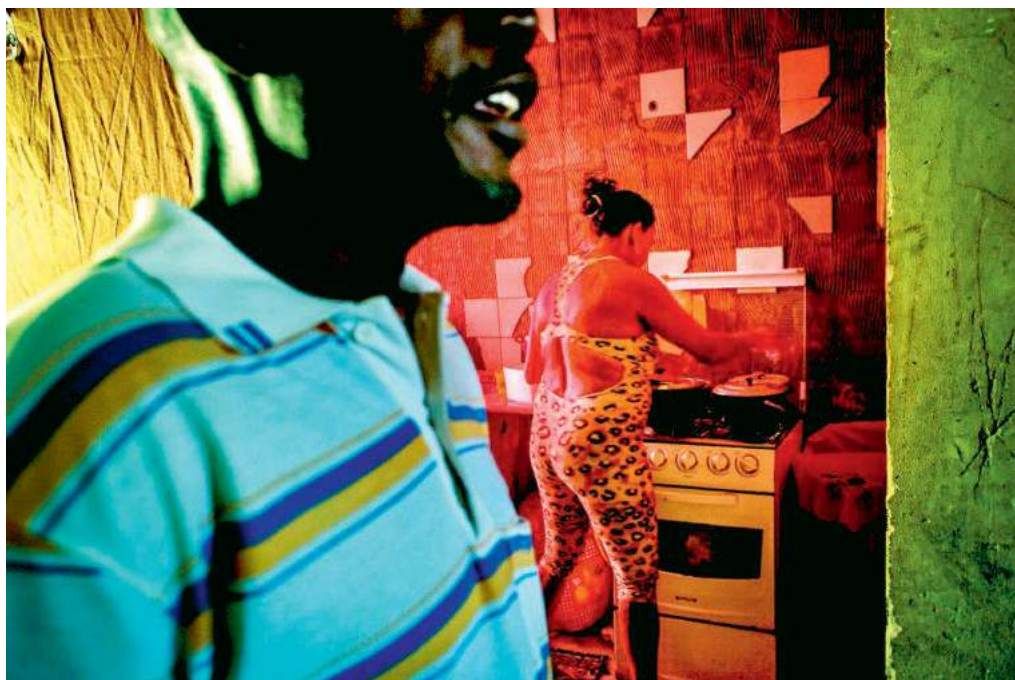


W CENIE LUKSUSU





**Peter Bauza, Niemcy –
trzecia nagroda w kategorii
Życie współczesne, reportaż,
World Press Photo 2017.**



Marta i Adam Biernat

W torfowych domostwach upragnionego światła najmniej było oczywiście w okresie zimowym. (...) Tę jakże ponurą przestrzeń próbowano rozświetlać na wszelkie dostępne wówczas sposoby, co było niestety zadaniem bardzo trudnym. Każdy skrycie marzył, by dokonywać tego za pomocą świec, ale nie każdy mógł sobie na to pozwolić z uwagi na fakt, że świece należały do bardzo kosztownych produktów. Najczęściej wykonywano je z wosku pszczelego, a że pszczoł na Islandii nigdy nie było, musiano sprowadzać je z innego łądu. Przeciwnie sytuacji obywateli zapalali więc świece tylko podczas najbardziej istotnych momentów w roku. Najpowszechniej natomiast były stosowane w kościołach; jednak nie podczas wszystkich zimowych nabożeństw, a jedynie przy najważniejszych okazjach.

Około roku 1400 mieszkańcy wyspy nieoczekiwanie odkryli, iż nie muszą wcale odkładać specjalnych oszczędności na pszczele cacka, gdyż mogą zacząć wytwarzać własną wersję świec. Co więcej, ze względu na to, że miały one być wykonane ze zwierzęcego tłuszczu, czyli materiału ogólnie dostępnego, niemal każdy Islandczyk mógł stać się posiadaczem

Dzięki prywatnym świeczkom na Islandii zapanował duch romantyzmu.

Ich dotąd niewyobrażalnej ilości. To cudowne odkrycie zmieniło wszystko. Wieść o fantastycznej, innowacyjnej koncepcji w szalonym tempie dotarła do wszystkich mieszkańców torfowych posiadłości i na wyspie zapanowała wręcz nieopisana radość. W ten sposób świece weszły do powszechnego obiegu, a w *torfbærinn* stała się jasność. Jasność oczywiście kameralna, a taką właśnie najbardziej upodobali sobie Islandczycy. Produkowano świece przeznaczone dla wszystkich domowników, które palono w pomieszczeniu, gdzie zasiadała cała rodzina, oraz świece prywatne. Był to doskonały prezent na każdą okazję, a obdarowywani Islandczycy niezmiennie się z niego cieszyli. Ten,

GOŚCIE, GOŚCIE JADĄ!

Na Islandii na gości czekano z utęsknieniem. Ich wizyty były niesamowitą rozrywką i formą wiadomości na żywo

kto posiadał świecę, zyskiwał wolność. Gdy nie chciało mu się spać, a reszta rodziny już dawno chrapała, mógł zapalić własną świeczkę i oddać się jakiemuś przyjemnemu zajęciu, np. czytaniu sag. Dzięki prywatnym świeczkom na wyspie zapanował duch romantyzmu. Trudno było oddawać się zalotnym konwersacjom w obecności kilku rodzin zgromadzonych w głównej izbie, dlatego przyszłe pary i pary posiadające świece miały okazję szeptać sobie miłe słówka i spoglądać w oczy na osobności, gdy wszyscy w najlepsze drzemali.

Popularyzacja świec była dla wszystkich tak niesamowicie radosnym wydarzeniem, iż każdy nowy świeczkowy sezon postanowiono odpowiednio celebrować. Gdy rozpoczynały się zimowe szarugi i na użytek czekały setki przygotowanych do nowej pory roku świec, świętowano *ljósatími*, czas światła. Początkowo nazywano tak wieczór, podczas którego zapalano pierwsze świece, a który wypadał w połowie września. Podniosła i płomienna atmosfera tak się jednak Islandczykom spodobała, że stwierdzili, iż miniaturowe święto powinni obchodzić za każdym razem, gdy zapalają świeczki. W ten sposób terminem *ljósatími* nazywano wieczorną

porę, której towarzyszyły rozbłyśki płomieni. *Ljósatími* poprzedzała tak zwana *rökkurstund*, czyli godzina zmierzchu. (...) *Rökkurstund* była zbyt jasna, aby opłacało się zapalać świece, i zbyt ciemna, aby móc robić coś pożytecznego. Uczyniono więc z niej wypełnioną ciszą godzinę wypoczynku przed rozpoczęciem aktywności *kvöldvaka* – ot, taki czas przyjemnego odrętwienia. Dorośli przerywali i tak zresztą niezbyt częste rozmowy, a jeśli już się odzywali, to szeptem. To samo nakazywano również dzieciom (...).

Gdy w XIX w. na Islandię dotarły lampy naftowe, nic raczej nie zapowiadało ich późniejszej wielkiej popularności. Wyspiarze od zawsze byli ludźmi z natury niezbyt lubiącymi zmiany, nieważne jakie by one były. Islandczycy są często na przysłowie *ekki*, „nie” – niezależnie od tego, czy chodzi o modyfikacje potężne, umiarkowane, czy niewielkie. Na nowość, jaką były owe lampy, także spoglądali z nieufnością, a nawet i ze zniesmaczeniem – i to przez naprawdę długi czas. Dotąd przyzwyczajeni do stonowanego, przygaszonego światła, otrzymali nagle możliwość głębokiego wglądu w zakamarki swych *burstbær*, i to nie ruszając się z miejsca. Już choćby ten fakt wydał im się nieprawdopodobny i po-





wikińskich. Zazwyczaj jedna deska służyła właścicielowi przez całe życie, tak że dbano o nią szczególnie pieczołowicie, co jakiś czas ją odnawiając. Islandczycy to wciąż naród bardzo sentymentalny. Wiele osób namiętnie kolekcjonuje rodzinne pamiątki. (...)

Dzbanków zawsze należało mieć pod ręką sporo, ponieważ na farmach pojawiali się goście, a czasy były takie, że zjawiali się zazwyczaj bez zapowiedzi. Na szczęście dla gospodarzy niespodziewaną wizytę można było na rozmaite sposoby sobie przepowiedzieć. Gdy kogoś uparcie śwędziała głowa (pomimo wielokrotnego jej podrapania), był to znak, że gość dostłownie przed chwilą opuścił swoje domostwo, a co więcej – nie nadchodzi z daleka, ale z sąsiedztwa. Goście byli za płotem, gdy któremuś z domowników mimo wczesnej godziny zachciało się ziewnąć lub gdy pomimo spożycia obfitej kolacji nadal miało się ochotę na dodatkową przekąskę. Wizytę zapowiadał nawet... kot liżący się po

dejrzany. Koniec końców, islandzcy torfowicze nigdy lampom naftowym do końca nie zaufali. Wydawało im się także, iż owe lampy z pewnością muszą być od wystużonych na przestrzeni stuleci świec zdecydowanie bardziej łatwopalne. (...)

Gdy myśli się o islandzkich domostwach, jako pierwsze z wielu tamtejszych detali przychodzą do głowy dzbánki. Dzbánki przeróżnych kolorów i kształtów, dzbánki poustawiane wszędzie. Dzbanków nigdy nie było za dużo; nie można było przecież przewidzieć, jak dużo będzie ich potrzeba, zwłaszcza że rodziny były wielopokoleniowe i wielodzietne. Barw-

Nigdy nie należało zaproponowanego posiłku odmawiać.

ne emaliowane dzbanuszki stały się więc w ogólnej wyobraźni typowym elementem skandynawskiego wyposażenia, niegdyś niebawale praktycznym, a dziś zazwyczaj romantycznym nawiązaniem do przeszłości. (...) Z kuchni i łazienek przeskoczyły także figlarnie do restauracji i kawiarenek, by tam stać się niezwykle popularnym elementem wystroju.

Prócz osobliwej i rozrastającej się kolekcji dzbanków, z której właściciele byli niezwykle dumni, wielką popularnością cieszyła się wówczas jedna z najbardziej interesujących form wyspiarskiego rzemiosła, czyli *rúm-fjalir*. Pojęcie to jest mariażem dwóch islandzkich słów – *rúm*, czyli łóżko, oraz *fjalir*, deska. *Rúm-fjalir* używano już w staroislandzkich domostwach. Królowały w nich nietypowe łóżka wbudowywane w pochylą część dachu w taki sposób, że jedna ze stron była otwarta na przejście pośrodku. Wszyscy członkowie rodziny spali zazwyczaj w jednym pomieszczeniu, tak więc przestrzeń legowiska była sferą bardzo prywatną, deski natomiast ją porządkowały i nadawały bardziej intymny charakter. Takową deskę od łóżka można było wsunąć w jego krawędź, wykorzystując jako rodzaj bariery, prowizoryczne biurko bądź tacę, na której stawiano posiłek.

Rúm-fjalir były dla wielu pokoleń Islandczyków niezwykle cenne, podobnie jak kołdry, tyle że akurat ich urzędnicy dziwnym trafem nie konfiskowali. Z czasem *rúm-fjalir* przestały pełnić jedynie funkcję praktyczną i zostały jednym z ważniejszych elementów wystroju wnętrz. Rzeźbiono w nich np. kunsztowne wzory nawiązujące do zdobień celtyckich oraz

Islandczycy to naród sentymentalny. Wiele namiętnie kolekcjonuje rodzinne pamiątki.

brzuchu. Nie mógł jednak tego robić w standardowej, wygiętej kociej pozycji, ale z wyprostowanymi łapkami. Jeśli pies wyciągnął na leżąco zarówno przednie, jak i tylne łapy, ktoś niebawem miał się znaleźć u drzwi. Goście byli tuż-tuż, gdy wtem wcześniej niezauważona mucha zaczynała krążyć po salonie kąpielowym. Jeśli irytujący owad nie przestawał bzyścić i w trakcie swej buczonej arii przysiadł na jakiejś osobie, mogła ona spodziewać się nagłej wizyty. A gdy zamierzano właśnie orzeźwić się filiżanką mocnej, lecz niestety niezbyt aromatycznej w XIX w. na Islandii kawy, a czajnik zaczął wydawać niestandardowe piski, można było zaraz wstawiać wodę na kolejną porcję naparu, gdyż goście prawie łomotali w drzwi. Poza tym gdy do domku torfowego przybywał, dajmy na to, od dawien dawna niewidziany krewny lub też zbłąkany wędrowiec, należało go bacznie obserwować. Jego intencje można zaś było odczytać, czerpiąc sygnały z własnego nosa: mia- ▶

► nowicie jeśli zaczynał lekko swędzieć z prawej strony, oznaczało to, że gość jest osobą o dobrym sercu i szlachetnych intencjach. Gorzej było, kiedy załaskotała lewa strona nosa. Wtedy czym prędzej należało skrócić wizytę i jak najszybciej pozbyć się podejrzanego osobnika, gdyż lewostronna łaskotka donosiła o jego złych zamiarach oraz dwulicowości.

Jeżeli gość zjawiał się w dzień, powinien zapukać trzy razy. Do islandzkich drzwi po trzy razy łomotano od wieków, a w obyczaju tym tkwił zlepek starodawnych zabobonów i tradycji chrześcijańskiej. Trójka była symboliczną cyfrą oznaczającą Tróję Świętą, a dodatkowo numerem magicznym, który chronił domostwo przed wszelkiego rodzaju siłami zła. Jeśli zapukań było dwa albo cztery i więcej, broń Boże nie należało

ście przerażających mocy, które lubiły w tym czasie podszywać się pod przybyszy. Dlatego zabronione było nawet zbliżanie się do drzwi. Islandczycy będący w podróży zawsze starali się o tym pamiętać, gdyż w przeciwnym razie zamiast gościny mogliby otrzymać od losu przykrą niespodziankę i zamarznąć, z nadzieją oczekując na wpuszczenie pod ciepły dach. (...) Krótko mówiąc, Islandczycy za bardziej przerażające uznawali złowieszcze pukanie do drzwi po zmroku aniżeli mamroczącą coś pod oknem postać wyłaniającą się z przepastnych ciemności nocy. (...)

Warto podkreślić, że na gości czekanono kiedyś z prawdziwym utęsknieniem. Ich wizyty były zawsze wręcz niesamowitą rozrywką i formą wiadomości na żywo. Opowieści ciągnę-

zgodnie z islandzkim *savoir-vivre'em* powinno się wygłosić kilkuminutowy monolog zachwalający nieopisaną gościnność gospodarza, gościnność tak wielką, iż nie jest się nawet w stanie ukończyć tak hojnej strawy.

Gdy kogoś uparcie swędziała głowa, był to znak, że gość przed chwilą opuścił swoje domostwo.

Po posiłku gość zaopatrzonego w dodatkową energię raczył domowników jeszcze kilkoma opowieściami z farmerskiego życia w innym rejonie. Na zakończenie spotkania robił całuną rundkę po całym domu, a potem, w zależności od pory dnia lub nocy, odjeżdżał, odchodził lub kładł się spać. Jeśli był przyjezdnym, a nie



Wielką popularnością w dawniejszych czasach cieszyła się jedna z najbardziej interesujących form wyspiarskiego rzemiosła – *rúmfjalir*.

otwierać, gdyż u progu z pewnością czekał znikczemniały duch, demon lub inne parszystwo. Kiedy mimo wszystko gospodarz otworzył drzwi i pomyślnie ujrzał przed sobą któregoś ze swoich druhów, gość całował go w usta i wypowiadał powitalne zdanie: *Sal vertu!*, czyli: „Bądź szczęśliwy!”. Dziś swych gospodarzy często wita się podobnie, tyle że całus z ust przeskoczył na jeden z policzków. Gospodarz odpowiadał za to: *Komdu sal!* – „Przyjdź szczęśliwy!”.

Jeżeli gość był szczególnie ważny, mógł dzielić z kimś łożo. Najczęściej wybierał niezamężną dziewczynę...

W przypadku gdy gość zjawiał się wieczorową porą, gdy na zewnątrz panował mrok, powinien zapukać trzykrotnie nie do drzwi, lecz w okno. Ten obyczaj pozostawał oczywiście aktualny w miesiącach zimowych, gdyż latem ciągle było widno. Wszyscy wiedzieli, że trzykrotne stukotanie nocą do drzwi oznacza sprytny podej-

ty się więc w najlepsze, a w tym samym czasie kilka kobiet zajmowało się gościem. Trzeba było go rozebrać z przemoczonej zwykle odzieży, umyć mu stopy ciepłą wodą i odziać ponownie w suche rzeczy, oczywiście nie przeszkadzając przy tym zbyt w snuciu historii. W dalszej kolejności przynosiły dla niego strawę.

Choćby nie wiadomo jak sytym lub zmęczonym oraz bez apetytu by się było, nigdy nie należało zaproponowanego posiłku odmawiać, gdyż odmowę uznawano za niemal niewybaczalny afront. Naturalnie, gdy gość był dobrze wychowany, przed rozpoczęciem pałaszowania powinien zacząć powtarzać kurtuazyjne: „ależ nie trzeba było” – i dopiero po kilku minutach zająć się swym talerzem. Ale, ale! Nie należało się jednak zapędzać i ofiarowanego posiłku skończyć – to była jeszcze większa niegrzeczność aniżeli odmowa jedzenia. W tym punkcie wieczoru

należał do członków rodziny, lub był znajomym, a nie przyjacielem, lokowano go gdzieś w kącie pokoju, gdzie uprzednio przygotowano dla niego pościelanie. Jeśli był krewnym bądź jednym z przyjaciół, ktoś oddawał mu swoje łóżko. Jeżeli gospodarz wyjątkowo go cenił, a gość w społeczności uchodził za poważaną osobę, to wedle tradycji pozwalano mu dzielić z kimś łożo, a osobę tę gość mógł sam wybrać. Najczęściej oczywiście wybierał szczególnej urody niezamężną dziewczynę, której z kolei tłumaczył niemożność samotnego spania swą szczególnie uciążliwą fobią ciemności. (...)

Fragmenty książki Marty i Adama Biernatów *Rekin i baran. Życie w cieniu islandzkich wulkanów*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2017



Tajemnicza pani Ć.

Nie tak dawno, jeszcze w lipcu, sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych zaakceptowała kandydaturę Jarosława Domańskiego na stanowisko ambasadora w Iranie. Niby nic, ale bardziej pamiętliwi zaczęli sobie przypominać – jakże to tak, przecież w październiku 2015 r., na zakończenie poprzedniej kadencji Sejmu, kilkanaście dni przed wyborami, przegłosowano kandydaturę Barbary Ćwioro na ambasadora w Iranie. Co więc się stało? Czyżby, jak wielu ambasadorów, została odwołana po kilkunastu miesiącach pracy? Otóż nie. Wręcz przeciwnie. Barbara Ćwioro ma się jak najlepiej.

Wróćmy do 8 października 2015 r., do posiedzenia Komisji Spraw Zagranicznych. Barbara Ćwioro została tam przedstawiona jako absolwentka orientalistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, która w roku 2002 odbyła staż w ambasadzie RP w Teheranie. Potem, w latach 2005-2008, „była zatrudniona w sekretariacie ministra na stanowisku asystenta podsekretarza stanu odpowiedzialnego za relacje dwu- i wielostronne z państwami pozaeuropejskimi oraz za politykę bezpieczeństwa w ramach NATO i OBWE, problematykę ONZ, negocjacje w sprawie tarczy antyrakietowej. Uczestniczyła w pracach zespołu ds. Iranu”.

Później pracowała m.in. w Departamencie Unii Europejskiej MSZ.

Podczas obrad komisji wywiązała się dyskusja między posłami, bo jeden z nich, John Godson, zapytał wprost: „Po pierwsze, pani ma 39 lat. Mówimy o regionie, w którym szacunek dla wieku ma istotne znaczenie. Po drugie, przepraszam, nie chciałbym, żeby zabrzmiało to seksistowsko, ale pani jest kobietą. Czy pani, jako młoda kobieta, będzie skuteczna jako ambasador?”.

Te słowa wywołały furję u przedstawiciela PiS, czyli Witolda Waszczykowskiego, który natychmiast replikował: „Nie wiedziałem, że kiedy przechodzi się do PSL, to »odjeżdża się« z inteligencją, panie pośle. Tak wyglądają dziś kobiety w Iranie. Poza tym, że noszą chusty, wyglądają jak na całym świecie. Wiceprezydent Iranu jest kobietą. Jest wiele kobiet w parlamencie. Są ministrami, zaczynają pojawiać się w roli ambasadorów. Kilkanaście do 20% kobiet pracuje, a nawet prowadzi własny biznes. Ten zarzut jest bezsensowny. Wynika z pozycji ignoranta”.

Skąd ta pełna emocji obrona? Oto kilka słów wyjaśnienia. Kiedy Barbara Ćwioro przyjechała do ambasady do Teheranu na staż, szefem tej placówki był Witold Waszczykowski. A gdy była asystentem podsekretarza stanu odpowiedzialnego „za politykę bezpieczeństwa w ramach NATO i OBWE, negocjacje w sprawie tarczy antyrakietowej”, był nim również Witold Waszczykowski.

Barbara Ćwioro przez trzy lata była jego asystentką. A to, że Waszczykowski był szczególnie do niej przywiązany, potwierdza informacja „Newsweeka” z tamtego czasu. Otóż w sprawie Ćwioro doszło do dealu ówczesnego szefa MSZ Grzegorza Schetyny z ówczesnym posłem PiS. Innymi słowy, Waszczykowski wychodził dla niej u Schetyny placówkę.

A potem, po wyborach, okazało się, że pani Ćwioro z wyjazdu zrezygnowała. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta – widzimy ją dziś na stanowisku dyrektora Departamentu Polityki Europejskiej. I, jak się popatrzy na strukturę MSZ, jest to dyrektor wyjątkowo uprzywilejowany. Struktura organizacyjna mini-

sterstwa zakłada, że departamenty podlegają wiceministrom, oni tematycznie koordynują dane obszary. Ale jest jeden wyjątek – Departament Polityki Europejskiej podlega bezpośrednio szefowi MSZ. Innymi słowy, Barbara Ćwioro podlega tylko ministrowi Waszczykowskiemu i nikomu innemu.

To jest celowe. Minister miał mówić, że musi mieć w MSZ kogoś, komu mógłby ufać. To z nią omawia ważne sprawy, to do niej kierowana jest często korespondencja z innych departamentów, to ona może wejść do ministra, kiedy chce. Pani Ćwioro przesiaduje więc w pracy do późna w nocy, bo jest osobą pracowitą. Lub inaczej – pracowitością próbuje nadrobić braki w innych dziedzinach. Nie ma co się oszukiwać, departament europejski z reguły był kierowany przez nietuzinkowych dyplomatów, zawsze był jednym z najsilniejszych w MSZ, a panią Barbarę, na razie, trudno byłoby do tej grupy zaliczyć.

A co z Iranem? W 2015 r. słusznie zastanawiano się nad zmianą ambasadora, bo dotychczasowy, Juliusz Gojło, kierował placówką w Teheranie od 2011 r. Nadchodził więc naturalny czas jego powrotu do kraju. Ale po tym jak Barbara Ćwioro została w Warszawie, pobyt „starego” ambasadora został przedłużony. I dopiero teraz znaleziono mu następcę. Dlaczego trwało to tak długo? Czyżby minister trzymał dla pani Ćwioro ambasadę, tak na wszelki wypadek? Jeżeli tak, to dobrze wyszło, bo Juliusz Gojło był dobrym ambasadorem. Choć śmiesznie – bo jest absolwentem MGIMO, więc dla PiS trędowatym. Tymczasem minister go krył...

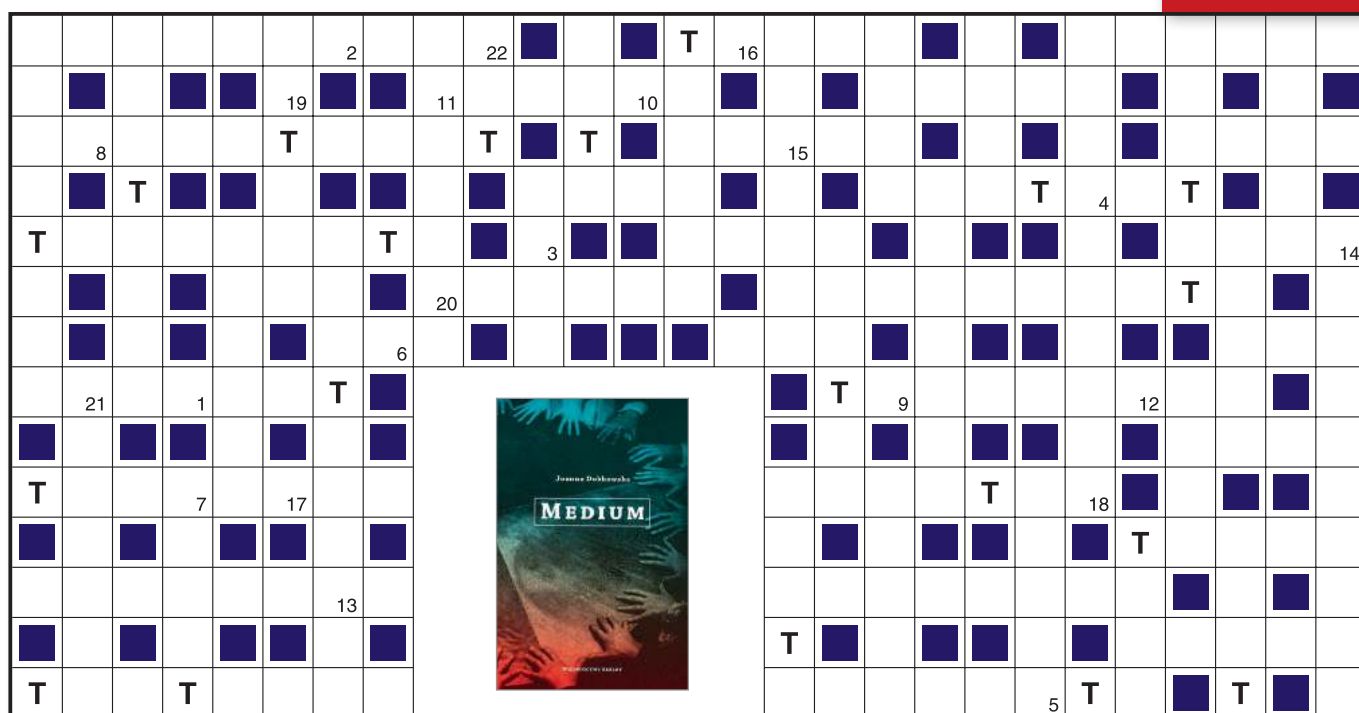
Hmm, skoro teraz odpuścił Teheran, jakie plany to sygnalizuje? Przechodzimy w sferę spekulacji – minister miał obiecać pani Ćwioro stanowisko podsekretarza stanu, jeśli przetrwa i się wzmocni. Jeśli nie – to stanowisko ambasadora w Pradze. Albo jeżeli on pojedzie do Nowego Jorku jako ambasador w ONZ, ona też tam pojedzie jako jego zastępczyni.

I tego ostatniego im życzymy, dla dobra Polski, MSZ i ich samych.

Attaché



Komentarz do opinii szefa MSWiA Mariusza Błaszczaka, że protest w obronie sądów gromadził wielu spacerowiczów oraz przebiegał w atmosferze pikniku.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpowiadających wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- nominacji, sprzedaży, dobrej woli
- wódka z trzciny cukrowej, ryżu
- zbiornik na paliwo w aucie
- z głową lwa, ciałem kozy, ogonem smoka
- imię pisarki Wharton
- odwrotność umiarkowania, zwłaszcza w polityce
- wiersz o tematyce żalobnej
- w USA on, a nie wyborca, wybiera prezydenta
- sieć księgarń w Polsce
- homerycki z akcją w światach bogów i bohaterów
- korzystne zrządzenie losu
- pospólstwo, plebs

- zręcznościowa, planszowa, komputerowa
- strzela do bramki na lodzie
- utwór jak ulotne wrażenie
- król bez Ziemi
- ...Machabeusz
- policjant we Włoszech
- wzmacnia siłę ciosu pięścią
- zbija je, kto ma duże zyski
- zjazd np. naukowców, lekarzy
- być z kimś w nim to spotykać się
- można ją stracić nad pojazdem
- do niego to do drugiej potęgi
- chłopiec pomagający podczas mszy
- respekt, posłuszeństwo
- dostaje pracę, bo jest z rodziny
- czerwona karczmia
- np. włosowa, czyli sierść
- dawna nazwa Amu-Darii
- maszyną do obrębiania brzegów
- krótkie wiosło bez duki
- rząd światel oświetlających scenę

- w chuście świętował odejście do cywila
- stan zniszczenia, rozpadu
- odludek
- widowisko z angielską
- poświętnik czczony
- rzekło się je, kobyłka u płota
- spadkobierczyni
- długi skok
- potocznie zgoda, przyjaźń
- płyty szkła, lodu
- budowana na rzece
- otrzymuje je autor utworu
- wraca się z nią lub na niej
- publiczną zarządza Jacek Kurski
- pokazuje, ile stopni
- barwny luk na niebie
- ptak dobry do ćwiczenia dykcji
- to, co kogoś obraża
- taniec wiedeński
- zawór w dętce
- witulka
- otwór w beczce, kanistrze
- niemiecki konstruktor sterowców
- pod kuchennym kranem
- ...Orszyn, żona Edwarda Stachury

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrovolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-817”. Do rozlosowania książki „Medium” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.817.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 6 sierpnia 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-814” z 16 lipca: *Zło nie zna miłości.*

Nagrody otrzymują: Jan Konieczny z Zabrze, Daniela Kryle z Wrocławia, Maria Wawrzak z Potopu Górnego.

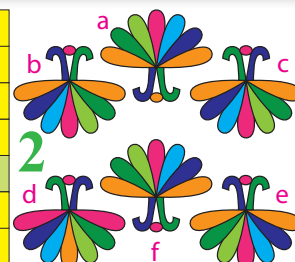
ĆWICZ UMYŚL, PÓKI CZAS

1. Odczytaj dwa hasła zaczynające się od pól zielonych i mające wspólne pola różowe.

#a	ć	oś	ln	wo	śc	zę
#w	ol	i#	od	t#	ia	zc
ia	no	śc	wa	es	#j	#s
śc	ko	i.	ga	.	ta	wą
	el	wi	y#	ym	ds	Po
Wi	ś	#c	rz	ie	#m	
el	ko	zł	ow	ie	ka	

2. Znajdź dwie identyczne figury.

1



odra

**MARIAN PILOT,
PISARZ**

Od dłuższego czasu zachęcam polskie środowisko intelektualne do sporządzenia książki – podręcznika o plebejskiej historii Polski. To by przewróciło do góry nogami całe wyobrażenie o historii naszego kraju. Pierwsza Rzeczpospolita była przecież państwem niewolniczym! A dzisiejsi neosarmaci wynoszą ją pod niebiosa. Zresztą w odpowiedzi na zajadłe sarmatyzmy literatura chłopska znowu staje się modna, popularna. Zupełnie tak, jak popularna była w latach 50., 60.

**TYGODNIK
ANGORA**

**ANDRZEJ JAROSZEWICZ,
SYN PREMIERA PIOTRA
JAROSZEWICZA**

Policjant, który jako pierwszy przyjechał na miejsce zbrodni, w rozmowie ze mną w cztery oczy sugerował, że „to może być sprawa rodzinna”. Między ojcem i Solską było źle od lat, a nawet twierdzę, że od samego początku. Może macocha zgodziła się pomóc komuś, kogo interesowały dokumenty zgromadzone przez ojca, i potem wszystko wymknęło się spod kontroli? Proszę pamiętać, że gdy tata był związany i torturowany, to ktoś przebrał go w czystą koszulę, założył bandaż i podał leki. Czy tak zachowują się zawodowi zabójcy albo prymitywni, pospolici przestępcy?

STYL

**MAJA POPIELARSKA,
AUTORKA PROGRAMU
„NOWA MAJA W OGRODZIE”**

To był wakacyjny kaprys 20 lat temu. Przeczytałam w gazecie ogłoszenie, że RTL7 szuka prezenterów. Nabór odbywał się na uniwerku, poszłam z przyjaciółką. Był sierpień, ale deszczowy dzień, wzięłam parasol. Weszłam z tym parasolem i podobno komisja uznała, że choć nie szukali nikogo do pogody, to... go mają. Potem przyszła propozycja z TVN. Wszystko wymyślił Mariusz Walter. Stał na korytarzu naszego starego studia i zapytał: „Nie znasz kogoś, kto by mógł zrobić program o ogrodach?”. Podpuszczał mnie, bo i tak wyszło na to, że gospodynią zostanę ja.

WO

**EWA FARNA,
PIOSENKARKA**

Nabijam się z krytyki, robię o tym piosenki, robię jaja na koncertach, mówię o tym wszystkim publicznie. Cały ten temat wagi jest dla mnie w ogóle absurdem. Ja nie czuję się otyłą osobą, nie czuję, że bym była anormalna. I jeżeli mnie ktoś tak nazywa, to tego nie akceptuję. Bo to, że mam 5 kg, a nawet 10 kg więcej, nie znaczy, że jestem otyła. Przypuszczam, że większość dziewczyn wygląda bardziej jak ja niż jak Kate Moss. Cemu was nie obchodzi, że nie chleję, nie biorę narkotyków i nie robię skandalu seksualnych?

Aby język giętki...

**PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM**

Trzeba zburzyć to męczeńskie, cierpiętnicze pozerstwo Kaczyńskiego. To jego samoobsadzanie się, fałszywe i oszukańcze, w roli ofiary.

JANUSZ SANOCKI O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE

Ziobro i jego hunwejbini są groźniejsi dla naszej cywilizacji niż milion islamskich terrorystów.

PIOTR LIROY-MARZEC O PAWLE KUKIZIE

Ego gubi Kukiza. To on otacza się ludźmi z wyrokami, nie ja.

KAZIMIERZ KUTZ O ŻYCIU

Osiągnąłem, co mogłem. Nie skurwiłem się i nie zidiociałem.

**JADWIGA SZTABIŃSKA
O DAŻENIACH PiS**

Giętke prawo. Giętka sprawiedliwość. Giętka wykładnia. Wręcz nieznośna giętkość. Ma być bowiem dokładnie taka, jakiej chce PiS.

**PIOTR DUDA
O MARSZAŁKU KUCHCIŃSKIM**

Nawet nie odpisuje na pisma do niego kierowane. Ale tak dłużej być nie może.

**KAROLINA GRUSZKA
O ROSYJSKIM TEATRZE**

Ogromny wpływ miało na mnie rosyjskie środowisko teatralne. W Rosji dostałam warsztat aktorski, którego nie dostałam w Akademii Teatralnej.

WILHELM SASNAL O ŻONIE ANNIE

Samica Alfa. Naszym życiem zawiaduje głównie Anka, z czym ja doskonale się czuję.

**ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI
O CHODZENIU DO TEATRU**

Głównie chodzę do teatrów, w których gram, wtedy kiedy gram.

ANDRZEJ STASIUK O PISANIU

Gdybym nie był żonaty, to pewnie pisałbym bez przerwy. Choć jestem dość leniwy i lubię nic nie robić, upijać się z przyjaciółmi i słuchać muzyki.

**AGNIESZKA RADWAŃSKA
O DAWIDZIE CELCIE**

Ja mam wręcz uczulenie na wiecznych chłopców. Dawid, choć niewiele starszy, nie boi się dorosłości.

MACIEJ STUHR O RODZICACH

Tata miał rolę prezesa, a mama menedżerki, która perfekcyjnie wszystkim zarządzała.



Oto do czego może prowadzić różnica poglądów. Morisset, Australia.



ŚWIĘTA WŁASNOŚĆ INTELEKTUALNA

Białe sari z trzema niebieskimi pasami na obrzeżach – strój zakonny św. Matki Teresy z Kalkuty i założonego przez nią Zgromadzenia Misjonarek Miłości – otrzymało opiekę prawną jako „znak chroniony”. To pierwszy tego typu przypadek, gdy ochronę prawną otrzymał strój jako „własność duchowa”. Teraz za wykorzystanie jego wizerunku, np. w książkach czy filmach, trzeba będzie płacić. Sprawa, którą nagłośnił włoski tygodnik „Panorama”, budzi sprzeciw watykańskich kardynałów.

ZESPÓŁ ZAPŁACI ZA MURAWĘ

Irlandzki zespół rockowy U2 poczuł się odpowiedzialny za zniszczoną murawę Stadionu Olimpijskiego w Berlinie. Kiedy się okazało, że ogromna liczba fanów przybyłych na koncert ją zniszczyła, muzycy zdecydowali się przeznaczyć 90 tys. euro na wymianę nawierzchni. Całkowity koszt renowacji szacuje się na 130 tys. euro.

PODCIĄĆ SKRZYDŁA

W Londynie urzędnicy wlepili mandat pięciolatce, która na ulicy sprzedawała wyrabianą przez siebie lemoniadę. Dziewczynka rozstawiła przed domem stoisko z napojem, a że w pobliżu odbywał się festiwal muzyczny, mogła liczyć na zyski. Przedsiębiorczość dziecka została jednak ukarana 150-funtowym mandatem.



Kiedy zapłakana dziewczynka opowiedziała o zdarzeniu tacie, ten poszedł do urzędu. Po jego interwencji wydano oświadczenie, że nie powinno dojść do ukarania dziecka, a rodzinie należą się przeprosiny.

ZAKAZANY OWOC

W Czechach wprowadzono wysokie grzywny za zbieranie jagód w Karkonoszach w wybranych fragmentach parku narodowego. Problem stanowią nie turyści, ale zbieracze (głównie z Polski), którzy napętniają kosze bardzo blisko granicy i często nieświadomie ją przekraczają. Grzywna może wnieść nawet 10 tys. czeskich koron, czyli ok. 1,5 tys. zł.

GWIAZDORSKA CENA

Znany hiszpański piosenkarz Julio Iglesias sprzedaje właśnie cztery działki o łącznej powierzchni ok. 30 tys. m kw. na prywatnej wyspie Indian Creek w Miami. Jeśli uda mu się sprzedać ziemię za cenę, którą zaproponował, oficjalnie stanie się ona najdroższym kawałkiem ziemi w okolicy. Za tę część wyspy piosenkarz zażyczył sobie 150 mln dol.

ZAKAZ WSTĘPU

Próby dyscyplinowania turystów w Wenecji nie przynoszą rezultatu. Ostatnio sześciu młodych podróżników z Belgii

ZE SMAKIEM



Ciasto drożdżowe z kurkami w śmietanie

ANDRZEJA POLANA

Składniki: 90 dag mąki, 500 ml wody, 2,5 dag soli, 1,5 dag drożdży, 25 dag świeżych kurek, cebula dymka, 100 ml śmietany 36%, 30 dag bryndzy owczej, świeży tymianek, czarny pieprz, sól, 2 opakowania sera mozzarella w zalewie.

Z mąki, wody, drożdży i soli przygotowujemy ciasto drożdżowe i odstawiamy do wyrośnięcia. Wyrośnięte dzielimy na porcje i rozwałkowujemy na cienkie placki. Każdy smarujemy olejem. Na patelni przesmażamy na maśle cebulę dymkę, dodajemy kurki, chwilę przesmażamy i dodajemy śmietanę, a na koniec tymianek. Porce kurek w gęstym sosie śmietanowym wykładamy na ciasto, obrzucamy bryndzą i kawałkami mozzarelli. Posypujemy czarnym pieprzem i wstawiamy do piekarnika nagrzanego do temperatury 250 st. na ok. 8-10 minut.

Przepis pochodzi z programu „Dzień Dobry TVN”



ĆWICZ UMYŚŁ, PÓKI CZAS – ODPOWIEDZI:

1. Wielkość człowieka mierzymy wielkością wolności. Podstawą szczęścia jest wolność, a wolności odwaga.
2. f, c



Miks świata wirtualnego z realnym – animacja w czasie rzeczywistym zaprezentowana podczas wystawy zaawansowanych technologii w Tokio.

skakało do Canal Grande z 12-metrowego mostu Konstytucji. Dzięki kamerom umieszczonym w pobliżu udało się ich odnaleźć. Sprawcy wybryku otrzymają zakaz ponownego wjazdu do miasta, co włoskie prawo dopuszcza jako karę za chuligańskie zachowanie.

30 LAT CZYTANIA

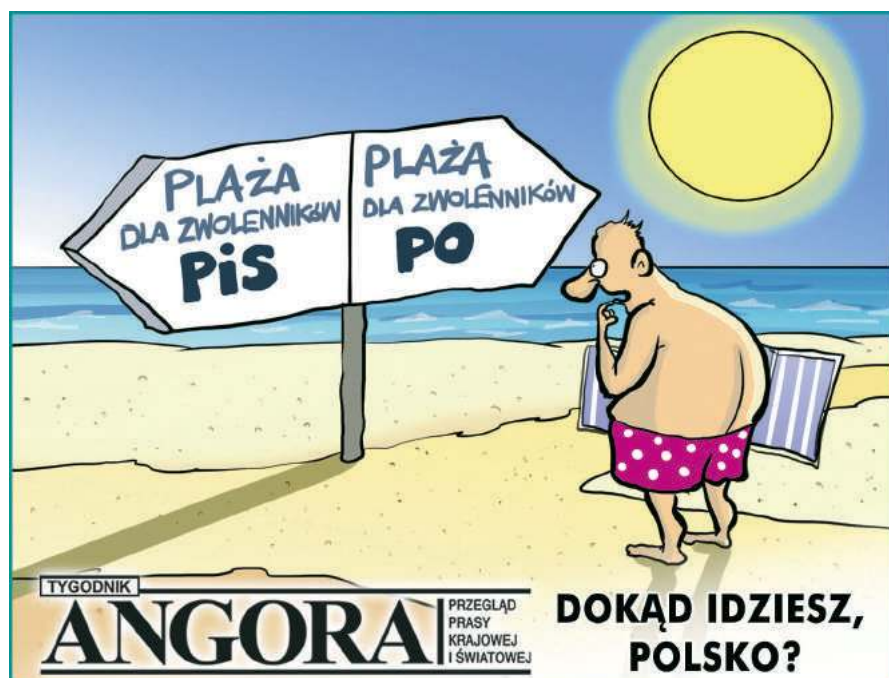
Do jednej z filii Miejskiej Biblioteki Publicznej we Wrocławiu ktoś anonimowo oddał pięć książek, wypożyczonych w latach 1980, 1983 i 1985. Przeszło 30 lat przeleżały w domu czytelnika, a teraz zostały wrzucone do całodobowej wrzutni przy bibliotece. Nie wiadomo, kto wypożyczył książki, bo rejestrów już dawno nie ma, a ewentualna kara za przetrzymanie się przedawniła. Licząc dług według obecnych stawek, wyniosłby 13,5 tys. zł.

INTERNETOWY ROZWÓD

Mieszkanka Tajwanu wniosła do sądu sprawę rozwodową, gdyż mąż nie odpowiadał na jej wiadomości. Właśnie te wiadomości, które mąż odczytywał, a na które zupełnie nie reagował, były dla sądu ostatecznym dowodem na rozpad małżeństwa. Nie wiadomo, czy mąż już wie, że jest rozwodnikiem, bo nie pojawił się na żadnej rozprawie, a skan wyroku otrzymał mejlem.

POZA SCHEMATEM

Nowy wzór prawa jazdy wprowadziły władze amerykańskiego stanu Oregon. Dokument nie musi zawierać informacji o płci kierowcy. Jeżeli ktoś nie identyfikuje się z żadną płcią, może zaznaczyć na formularzu o wydanie prawa jazdy opcję „płeć niesprecyzowana”. To pierwszy stan w USA z tego typu prawem jazdy.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 **wew.** 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
redakcja@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

REDAGUJE KOLEGIUM

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Kacper Leśniewicz, Mariola Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordynski, Wojciech Osinski (Berlin),
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczynska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Katowice)
Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:**
Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski
Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka

*Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie
artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.*

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi,
al. Piłsudskiego 82

Prenumeratę krajową od dowolnego numeru można
zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu”.
Prenumerata roczna – 289 zł, półroczna – 149 zł,
kwartalna – 79 zł

Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden
kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka,
Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł.
Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną
na konto Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.

Dodatkowe informacje o prenumeracie
Dział Kolportażu: tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać na stronie **www.prenumerata.ruch.com.pl**. Pytania prosimy kierować
na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do
Centrum Obsługi Klienta „RUCH” tel.: +48 (22)
693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze
w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy
XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

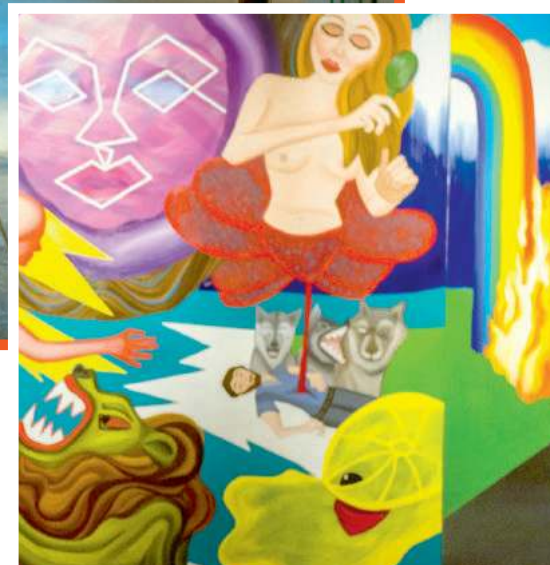
Projekt graficzny

ARTREPUBLICA
Rafał Poławski
i Magdalena Jonas-Poławska

Finansowe wspieranie „Przeglądu”
Fundacja Oratio Recta

KOD SWIFT: WBPPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

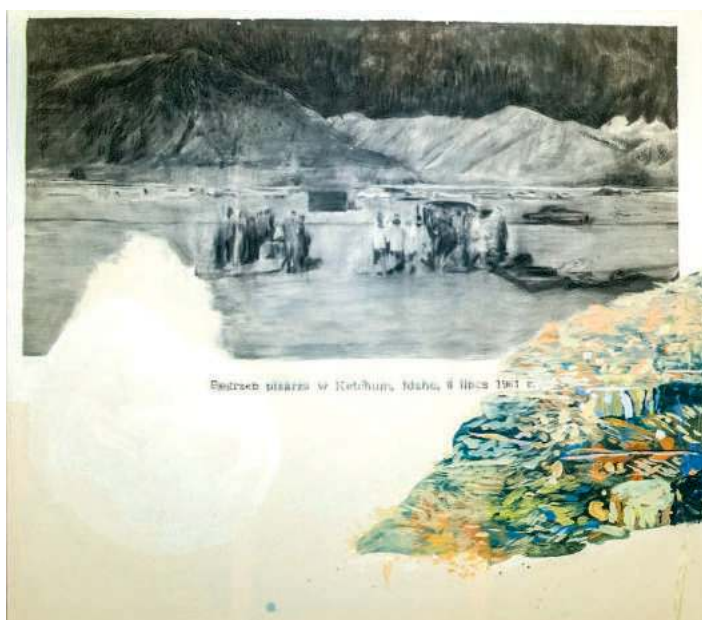


Najlepsze Dyplomy 2017 Akademii Sztuk Pięknych



Zbrojownia Sztuki w Gdańsku
ul. Targ Węglowy 6
do 27 sierpnia

„Najlepsze Dyplomy Akademii Sztuk Pięknych” to ogólnopolska wystawa o charakterze konkursowym, w której biorą udział wybrani absolwenci ze wszystkich publicznych uczelni artystycznych, z kierunków malarstwa, grafiki, rzeźby oraz intermedii. Wydarzenie to stanowi niecodzienną okazję do przyjrzenia się różnorodnym tendencjom i poszukiwaniom artystycznym młodych twórców z całej Polski, prezentuje szerokiej publiczności najciekawsze indywidualności twórcze i współczesne zjawiska w sztuce, wspiera artystów w samodzielnym zaistnieniu na rynku sztuki.



23 Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce



www.jazznastarowce.pl

Rynek Starego Miasta, Warszawa
soboty, godz. 19⁰⁰

Organizator

**JAZZ ART
FUNDACJA**

1 lipca

Francesco Cafiso Quartet

8 lipca

John Pizzarelli Celebrates Sinatra
& Jobim @ 50 with Daniel Jobim

15 lipca

Oregon & Ralph Towner

22 lipca

Nicholas Payton Afro
„Caribbean Mixtape”

29 lipca

James Carter Quartet
„The Flying Particles”

5 sierpnia

Marek Napiórkowski Sextet

12 sierpnia

TurBiKon – Grzegorz Turnau
| Robert Kubiszyn | Cezary Konrad

19 sierpnia

Christian Bakanic's Trio Infernal

26 sierpnia

Josemi Carmona & Javier Colina
feat. José Ruiz Bandolero

Patronat Honorowy: Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Prezydent m. st. Warszawy

Projekt współfinansuje m. st. Warszawa



Dofinansowano
ze środków

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Partner



Partner



Gramy dla kultury

Partnerzy



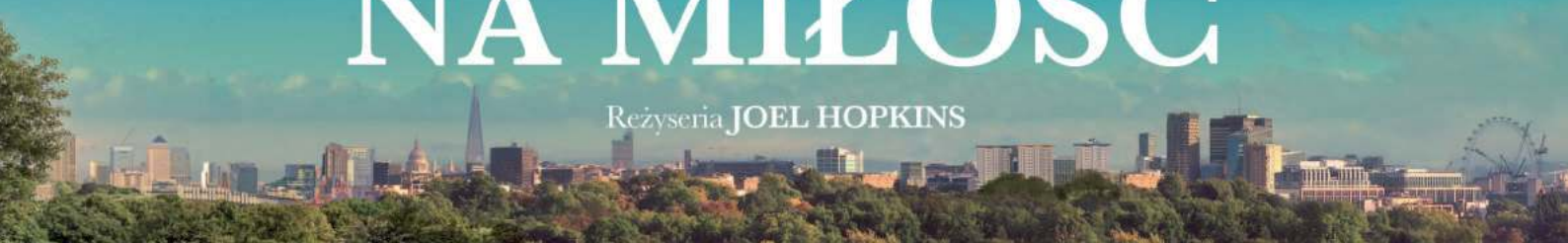
Patroni Medialni



PSYCHOLOGIES



ZAWSZE JEST CZAS NA MIŁOŚĆ

Reżyseria **JOEL HOPKINS**

**„WZRUSZAJĄCY, PEŁEN
HUMORU – SPRAWI, ŻE
BĘDZIECIE SIĘ CHCIELI
ZAKOCHAĆ”**

BEST



STYLOWI.PL

WIZQZ

eprasa.pl e22c96d241